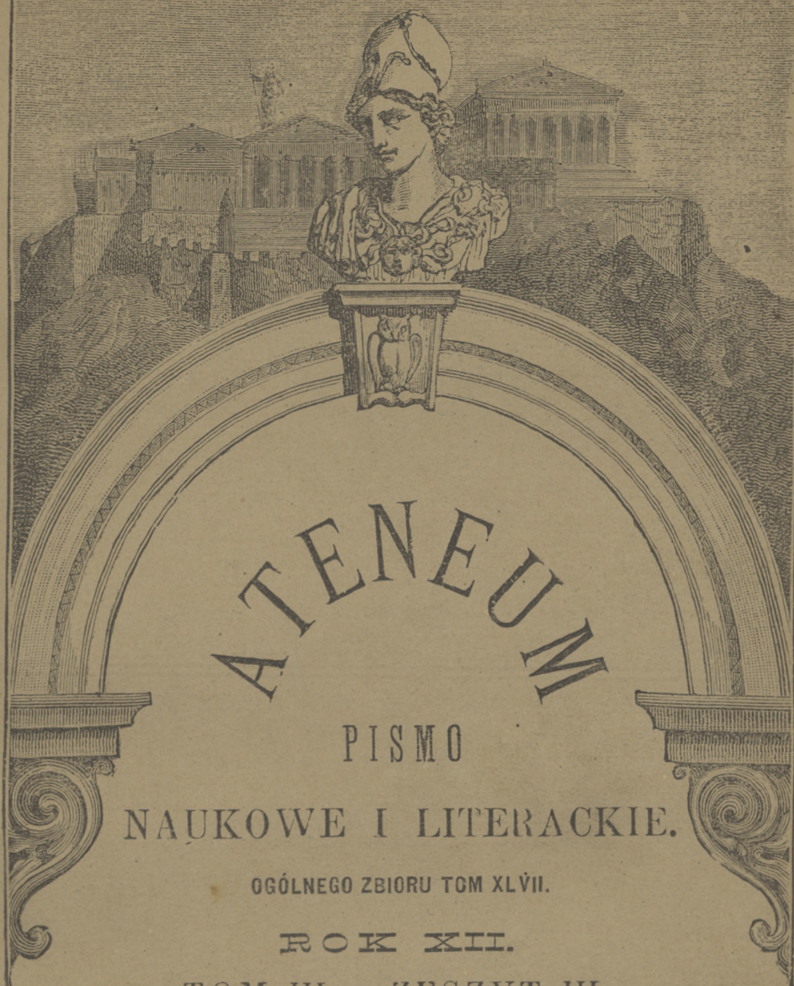


ATENEUM

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLVII.

ROK XII.

TOM III. — ZESZYT III.

Wrzesień.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1887.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 3 Września 1887 r.



PRZYCZYNY
DZIEDZICZNOŚCI I ZMIENNOŚCI
U ROŚLIN I ZWIERZĄT.

Ch. Darwin. The variation of animals and plants under domestication. Londyn 1868. T. II. Rozdział XXVII: Provisional hypotesis of Pangenesis. — *W. K. Brooks*. The law of heredity. A study of the cause of variation and the origin of living organisms. Baltimore 1883, pag. XII, 336. (Według referatu F. Müller'a w czasopiśmie *Kosmos*. Zeitschrift für die gesammte Entwicklungslehre. 1886, str. 68—73). — *C. v. Nägeli*. Mechanisch-physiologische Theorie der Abstammungslehre. Mit einem Anhang: 1. Die Schranken der naturwissenschaftlichen Erkenntniss. 2. Kräfte und Gestaltungen im molekularen Gebiet. Monachium i Lipsk. 1884, p. XI, 822. — *E. Strasburger*. Neue Untersuchungen über den Befruchtungsvorgang bei den Phanerogamen als Grundlage für eine Theorie der Zeugung. Jena, 1884, p. 176.—*August Weismann*. Ueber die Vererbung. Jena 1883, str. 59.—*August Weismann*. Die Continuität des Keimplasma's als Grundlage einer Theorie des Vererbung. Jena 1885, p. VI, 122. — *August Weismann*. Die Bedeutung der sexuellen Fortpflanzung für die Selections-Theorie. Jena 1886, p. VIII, 128. — *August Weismann*. Zur Frage nach der Vererbung erworbener Eigenschaften. Biologisches Centralblatt. Tom VI, p. 33—48.

Zasadą teoryi Darwina powstawania gatunków są dwa powszechnie znane zjawiska, towarzyszące rozmnażaniu się roślin i zwierząt: dziedziczność, polegająca na przechodzeniu pewnych znamion z pokolenia w pokolenie,—oraz zmienność, która sprawia, że każdy osobnik danego gatunku posiada pewne, jemu tylko właściwe, drobne wyłączności, przechodzące na potomstwo drogą dziedziczenia cech rodzicielskich.

Skutkiem szybkiego stosunkowo mnożenia się wszystkich istot organicznych, w każdym gatunku za dużo istnieje osobników, gdyż warunki bytu nie wystarczają na ich utrzymanie. Ponieważ każda istota żyjąca usiłuje zachować życie, zdobywając niezbędne jego warunki, przeto pomiędzy wszystkiemi osobnikami świata organicznego powstaje współzawodnictwo, szczególnie zawzięte pomiędzy osobnikami tego samego gatunku, których potrzeby są jednakowe. To współzawodnictwo nazwał Darwin *walką o byt*.

Z walki o byt zwycięsko wychodzą osobniki najlepiéj uzdolnione do zdobywania sobie niezbędnych warunków bytu. Ponieważ pomiędzy osobnikami składającemi gatunek zachodzą pewne, chociaż drobne różnice, przeto istnieją osobniki nieco lepiéj i nieco gorzéj uzdolnione do prowadzenia walki. Osobniki uprzywilejowane łatwiéj zdobywają warunki bytu, a tém samém zabierają je osobnikom upośledzonym, które skutkiem tego muszą ginąć. Wymieranie osobników mniéj uzdolnionych do walki o byt i zachowywanie życia przez lepiéj uzdolnione, oznacza Darwin mianem *wyboru naturalnego*.

Widzimy tedy, że zasadą teoryi Darwina jest dziedziczność i zmienność, oraz przeludnienie ziemi organizmami i wynikająca ztąd walka o byt, która z konieczności prowadzi do wyboru naturalnego.

Dziedziczności i zmienności zbyt są widoczne, aby mogły być podawane w wątpliwość.

Ściśle mówiąc, dla teoryi Darwina wystarcza pewność, że oba te zjawiska rzeczywiście istnieją, a nie może jéj zachwiać brak znajomości ich głębszéj przyczyny, zmuszający do poprzestawania na samym tylko fakcie, co do istoty swojéj niezrozumiałym. Darwin usiłował jednak głębiéj sięgnąć i wystąpił z teoryą dziedziczności i zmienności, która natrafiła na silną opozycyą przeciwników, starających się zastąpić ją innemi hipotezami.

Zadaniem niniejszéj pracy jest zapoznanie czytelników z rozmaitemi poglądami na źródło dziedziczności i zmienności organizmów, oraz wykazanie stosunku tych poglądów do teoryi Darwina wyboru naturalnego, która w świecie naukowym znalazła powszechne niemal przyjęcie, gdyż spory i wątpliwości głównie dotyczą przyczyn i granic zmienności gatunków, któréj zresztą nikt nie przeczy.

DZIEDZICZNOŚĆ.

Do najpospolitszych zjawisk życia codziennego należy podobieństwo dzieci do rodziców. U wyższych organizmów drogą dziedziczności z pokolenia na pokolenie przechodzą najdrobniejsze szczegóły budowy, najdrobniejsze szczegóły właściwości cielesnych i duchowych. Rośliny i zwierzęta przez długie szeregi pokoleń bez zmiany zachowują tysiączne charakterystyczne szczegóły budowy, a nawet w wielu razach nie zmieniają się w ciągu całego geologicznego peryodu. Słusznie więc zapytujemy o przyczynę zjawiska, t. j. możemy zapytać, jakim sposobem pewien osobnik z taką dokładno-

ścią może przenosić na potomstwa swoję własną budowę? Możemy na to odpowiedzieć, że z pomiędzy milionów komórek składających ciało rośliny lub zwierzęcia, w najrozmaitszy sposób wyróżnionych i przedstawiających najrozmaitsze kształty, jakotéż posiadających najrozmaitsze przeznaczenie, oddziela się pojedyncza komórka rozrodcza, która odrywa się od organizmu i odznacza zdolnością odtworzenia w nowym osobniku wszystkich właściwości rodzicielskich. Odbywa się to drogą podziału i nadzwyczaj skomplikowanego wyróżnienia powstających komórek. Daléj jednak powstaje pytanie: jakim sposobem pojedyncza komórka może posiadać zdolność odtwarzania danego osobnika z tak wielką dokładnością?

Odpowiedź na to pytanie jest bardzo trudna. Dotychczas nie może być wyprowadzona wprost ze spostrzeganych faktów, jako ich bezpośrednie uogólnienie, lecz należy jéj szukać w bardziéj oderwanych teoryach, które o tyle posiadają faktyczną podstawę, że są wyprowadzone drogą dedukcyi z rzeczywistych, chociaż nielicznych spostrzeżeń, oraz pozwalają wytłómaczyć znane fakta.

Jako pierwszą próbę rozwiązania zajmującego nas zagadnienia należy uważać teoryą dziedziczności *Demokryta z Abdery* († r. 370 przed n. Chr.), który mniemał, że wszystkie części ciała rodziców wydzielają nasienie, oraz że z nasienia każdéj części zostaje odtworzona odpowiednia część nowego osobnika.

Odbiciem tych poglądów Demokryta jest teorya *pangenezy*, wypowiedziana przez *K. Darwina*, wielkiego twórcę teoryi powstawania gatunków drogą naturalnego wyboru. Teorya pangenezy jest pokrótce następująca.

Komórki, t. j. pierwiastki anatomiczne ciała, mogą się rozmnażać przez podział, zachowując przytém tę samę naturę i ostatecznie zamieniają się na tkanki i substancyą ciała. Komórki przed porzuceniem stanu czynnego, t. j. przed wejściem w skład uformowanéj tkanki ciała, wydają drobniutkie ziarenka czyli atomy, które swobodnie krążą po ciele, a mając dostateczny pokarm mnożą się drogą podziału, następnie zaś rozwijają się na takież komórki, jak te, z których same powstały. Te ziarenka są zalążkami *(gemmules)* komórek. Przechodzą one z rodzica na potomka i pospolicie rozwijają się zaraz w następném pokoleniu, często jednak w stanie uśpionym bywają przekazywane z pokolenia w pokolenie i późniéj się rozwijają.

Rozwój zalążków, według Darwina, zapewne zależy od ich połączenia z innemi, w części rozwiniętemi komórkami lub zalążkami, które je bezpośrednio poprzedzają w naturalnym biegu rozwoju. Zalążki powstają we wszystkich komórkach ciała i w każdym ich

stanie rozwojowym, a uśpione posiadają wzajemne powinowactwo, skutkiem czego skupiają się w pączkach lub pierwiastkach płciowych organizmu. Zatém, ściśle mówiąc, nowego organizmu nie wydają ani pączki, ani pierwiastki płciowe (rozrodcze), lecz wydają go komórki całego organizmu rodzicielskiego. Organy płciowe nie wytwarzają tedy pierwiastków płciowych (jaj i nitek nasiennych), lecz są jedynie miejscem gromadzenia się zalążków.

U najprostszego zwierzęcia (pierwotniaka) złożonego z jednolitéj substancyi, jeden atom wydany przez którąkolwiek część ciała byłby w stanie odtworzyć całość. Jeżeli u danéj istoty dolna i górna strona różni się od części bocznych, wówczas dla odtworzenia całości potrzebaby tyle atomów czyli zalążków, ile jest odmiennych części ciała. To samo dzieje się u wyższych zwierząt i roślin, u których muszą powstawać tysiące zalążków przez rozmaite części ciała wydawanych. Tak np. gdy salamandrze odetniemy nogę, na ranie powstaje skorupa, pod którą nienadwérężone komórki rozmaitych tkanek, jak kości, mięśni, nerwów i t. d. łączą się z rozproszonemi zalążkami tych komórek, które w nienaruszonéj nodze bezpośrednio za niemi następowały. Zalążki nieco się rozwinąwszy, łączą się z innemi zalążkami następujących z kolei komórek i t. d. dopóki nie powstanie odtwarzana noga. Tym sposobem zawsze odtwarza się tylko odcięta część nogi, ani mniéj, ani więcéj.

Jeżeli dla jakiéj przyczyny pewne części ciała ulegają zmianie, wówczas zalążki będące cząstkami zmienionych komórek z konieczności odtwarzają zboczenie u potomków. Gdy zboczenie wypływa ze zmienionych warunków bytu, wówczas nowe warunki bezpośrednio działają na tkanki ciała, z których téż powstają zmienione zalążki i te ostatnie przechodzą na potomstwo ze swemi nowonabytemi własnościami. W razie zmiany skutkiem ćwiczenia lub bezczynności pewnego organu, budowa odpowiedniéj części ciała ulega zmianie i skutkiem tego wydaje przeobrażone zalążki. Tym sposobem mogą być dziedziczone wszelkie zmiany zaszłe w jakimbądź wieku zwierzęcia lub rośliny.

Pospolicie, a może zawsze, zboczenie w budowie potomstwa powstaje dopiéro wtedy, gdy pewien gatunek przez kilka pokoleń był wystawiony na wpływ zmienionych warunków bytu. Pochodzi to prawdopodobnie ztąd, że do potomstwa przechodzi znaczna ilość zalążków wydzielonych przed wytworzeniem się zboczenia danego organu, potrzeba więc czasu, aby zalążki zmienione rozmnożyły się do tego stopnia, że nareszcie biorą przewagę nad niezmienionemi.

Wogóle, zmiany organizmu mają pozostawać skutkiem braku, albo skutkiem nadmiaru pewnych zalążków, jako téż skutkiem ich

zlewania się z sobą, przestawienia i rozwoju dawno uśpionych, albo też skutkiem zmian zachodzących w samych zalążkach, wydawanych przez komórki zmodyfikowane działaniem rozmaitych wpływów.

Zalążki muszą po pewnym czasie umierać i ulegać zniszczeniu, bo organizm nie byłby wstanie wyżywić ich do nieskończoności. Tak więc, gdy pewien organ zanika, długi czas zachowują się jego szczątki, gdyż w ciele odpowiedniéj istoty znajdują się zalążki powstałe w czasie, gdy jeszcze istniał organ. W końcu jednak te ostatnie niewątpliwie giną i wówczas następuje zupełne usunięcie organu z ciała, bez możności odtworzenia go.

Okaleczenia nie przechodzą na potomstwo, raz dla tego, że drugi rodzic nie jest nienadwerężony, a powtóre z powodu, że okaleczały rodzic przekazuje potomstwu zalążki, które powstały w organie przed jego utratą.

Pomimo obecności w organizmie zmienionych zalążków, zawsze znajdują się rozproszone po ciele zalążki powstałe w téj saméj części ciała przed zaszłą w niéj zmianą. Te ostatnie przy sprzyjających warunkach mogą odtworzyć dany organ w jego formie pierwotnéj i nie zmienionéj, a wtedy powstała zmiana może zniknąć na pewien czas, lub nazawsze. Taki powrót do utraconych poprzednio znamion zdarza się bardzo często, zwłaszcza przy zmianie warunków bytu i skutkiem krzyżowania odmiennych form. Powrót do dawnych znamion może być częściowy, a wówczas przy płodzeniu oprócz zalążków niezmienionych są też w różnym stopniu czynne zalążki charakteru mieszanego.

Znamiona utajone polegają na obecności zalążków, które rozwijają się w pewnych tylko warunkach, pomimo że zawsze istnieją. Tak u każdego osobnika istnieją zalążki obu płci, lecz rozwijają się zalążki jednéj z nich, a drugiéj pozostają utajone. W niektórych jednak razach mogą się rozwinąć pewne właściwości innéj płci; tak np. samice ptasie, niezdolne do niesienia jaj, przybierają niekiedy odzież samczą.

Tak więc teorya pangenezy opiera się na przypuszczeniu, że produkty płciowe, z których powstaje nowy osobnik, są niejako wyciągiem czyli ekstraktem z całego ciała rodziców, a tém samém substancya rozrodcza, z któréj powstaje potomek, jest substancyą zebraną z całego ich ciała.

Ponieważ ciało istot wielokomórkowych składa się z ogromnéj ilości komórek, przeto u wyższych istot należałoby przypuszczać niesłychaną ilość zalążków krążących po ciele, oraz należałoby przypuszczać mniejszą wprawdzie, ale zawsze ogromną ich ilość w pierwiastkach rozrodczych, tj. w jajku i ciałku nasiennem albo

ziarnku pyłku, gdzie byłoby ich tém więcéj, że według teoryi pangenezy mają w nich także istniéć zalążki wielu dawniejszych pokoleń. Wreszcie, z uwagi, że komórka składa się z rozmaitych odmiennych części, należałoby przypuszczać, że dla jéj odtworzenia potrzeba tyle odmiennych zalążków, ile jest jéj części składowych. Tym sposobem dochodzimy do wniosku, że jajko i ziarnko pyłku drzewa, lub ciałko nasienne zwierzęcia np. ssącego, każde z osobna, musiałyby zawierać biliony zalążków, co jest wprost niemożebne, z uwagi na bardzo małe wymiary tak jednego jak drugiego pierwiastku płciowego. Niepodobieństwo jeszcze się potęguje, gdy zwrócimy uwagę na okoliczność, że właściwie nie chodzi tu nawet o całe jajko, lub całe ziarnko pyłku czyli téż ciałko nasienne, lecz o ich mikroskopowo drobne cząstki, tj. o ich jądra, jak się o tém poniżéj przekonamy. Według Nägeli'ego, dużą lipę składa 2000 bilionów komórek. W jądrze jajka i pyłku tego drzewa powinnyby się tedy znajdować znacznie liczniejsze zalążki, gdyż każda komórka musiałaby wydawać dużo zalążków, odpowiednio do składających ją różnorodnych części, a nadto w tych jądrach byłyby jeszcze nagromadzone zalążki wielu poprzednich pokoleń. Pomijając inne powody, już dla wyłożonéj tu przyczyny teorya pangenezy nie może być utrzymana, lecz musi upaść. Zresztą sam Darwin uważał ją tylko za tymczasową, zdolną jedynie powiązać wiele faktów, będących dotąd bez związku. Sam on przyznaje, że istnienie swobodnych zalążków jest dowolném przypuszczeniem.

Brooks widząc, że nie zliczone mnóstwo zalążków jest słabą stroną teoryi pangenezy, usiłował ratować ją, zmniejszając ich liczbę tym sposobem, że ich powstawanie ograniczył tylko do wypadków, gdy komórka znajduje się w niepomyślnych warunkach bytu skutkiem zmiany otoczenia. Zresztą, znajdując się w odpowiednich warunkach, ma ona pełnić jedynie właściwe sobie czynności jako część organizmu. Cząsteczki wydzielane przez komórkę będącą w niewłaściwém otoczeniu są jéj zalążkami. Mogą się one rozpościerać po ciele, mogą przenikać do jajka, lecz samcze komórki rozrodcze posiadają szczególną własność przyciągania ich.

Komórka zmieniona ma ciągle wydawać zalążki i tym sposobem dopóty ma przenosić zmianę na odpowiednią część ciała następujących po sobie pokoleń, dopóki wybór naturalny nie utrwali zmiany najodpowiedniejszéj, poczém komórka powracałaby do równowagi a tém samém ustawałoby wydawanie zalążków. Jajko, z którego powstają istoty w ten sposób wybrane, jako zaopatrzone w odpowiednie zalążki przenosiłoby zmianę na jajka potomstwa, tym sposobem zmiana byłaby dziedziczną. Wprawdzie Brooks znacznie

zmniejsza liczbę zalążków wydawanych w danym przeciągu czasu, pomimo to jednak i do jego teoryi stosuje się zarzut uczyniony pangenezie Darwina, że z czasem w komórkach rozrodczych musiałaby się nagromadzić taka ilość zalążków, jaka w tak małych utworach w żaden sposób pomieścić by się nie mogła. Właściwie chodzi tu tylko o czas: według teoryi Darwina przepełnienie organizmu zalążkami nastąpiłoby prędzéj, według teoryi Brooksa później.

W swéj teoryi wpływu zewnętrznych warunków bytu na komórki, składające pewien organizm, Brooks oczywiście pomieszał dwie różne rzeczy: przystosowanie części ciała do całego organizmu i przystosowanie tejże saméj części ciała do zewnętrznych warunków bytu. Oczywistą jest bowiem rzeczą, że pewna część ciała może być najlepiéj przystosowana do całości organizmu, a pomimo to nie odpowiada zewnętrznym warunkom bytu. W takim razie, według Brooksa nie ma powodu do zmienności a tém samém nie ma powodu do wydawania zalążków, czyli innemi słowy, w takim razie istota nie mogłaby się przystosowywać do otaczających ją warunków bytu i musiałaby zginąć.

Ostatecznie więc teoryi pangenezy nie można przyjąć ani w pierwotnéj, ani w zmienionéj formie. Zdawało się, że należy ją uznać za przebrzmiałą, gdy niemiecki badacz *Gaule*, prawdopodobnie nie wiedząc o pangenezie, o któréj wcale nie wspomina, na pozór nadał jéj nowe życie.

W całym szeregu prac mikrograficznych, ogłoszonych przed niedawnym czasem, a mających za przedmiot histologiczną budowę krwi, Gaule dowodzi, że w czerwonych ciałkach krwi powstają drobne istoty (*cytozoa*), które mogą przechodzić do osocza krwi, gdzie się samodzielnie poruszają. Ze spostrzeżeń na żabach Gaule przychodzi do wniosku, że pierwsze zawiązki tych cytozoów powstają z mięśni prążkowanych, a właśnie substancya tych mięśni ma być przeznaczoną do wytwarzania pierwiastków płciowych. Ztąd drogą rozumowań Gaule dochodzi do następującego wniosku.

Cytozoon jest osobnikiem łączącym w sobie ogół tkanek organizmu, oraz osobnikiem, który łączy w sobie obiedwie płcie. Skoro potomek ma być obrazem rodzica, więc materyał, dostarczony częściom płciowym do wytworzenia komórek rozrodczych, musi zawierać części składowe rozmaitych tkanek rodzicielskiego osobnika. Tym sposobem każdy cytozoon byłby nagromadzeniem zalążków Darwina. Według Gaule'go, krew ma roznosić cytozoa po ciele i składać je w organach płciowych; a jajko i nitka nasienna byłyby tedy wyciągiem z całego ciała rodzicielskiego. Możnaby więc mniemać, że wynaleziono zalążki Darwiną i uratowano teoryą pangenezy.

Niestety, trudno powątpiewać, że cytozoa Gaulego są prawdziwemi pasorzytami, nie mającemi nic wspólnego z wytwarzaniem pierwiastków rozrodczych, a tém bardziéj z dziedziczném przelewaniem cech rodzicielskich na potomstwo. Zatém pangeneza nic na odkryciu cytozoów nie zyskała.

Według teoryi pangenezy, jak widzieliśmy, pierwiastki rozrodcze, tj. jajko i pyłek lub ciałka nasienne mają być wyciągiem z całego ciała rodziców i tym sposobem mają przekazywać potomstwu znamiona rodzicielskie, że zalążki każdéj komórki odtwarzają w potomku tę właśnie komórkę. Teorye dziedziczności, które obecnie mamy rozbierać, zasadzają się na przypuszczeniu, że ciało każdego zwierzęcia lub rośliny składa się z dwojakiéj substancyi: z plasmy somatycznéj, służącéj do utrzymania życia każdego osobnika, i z plasmy będącéj źródłem dziedziczności, tj. plasmy przelewającéj na potomstwo znamiona rodzicielskie. Téj ostatniéj plasmie rozmaite nadawano znaczenie i upatrywano ją w rozmaitych częściach organizmu.

Nägeli, tak zaszczytnie znany ze swych prac botanicznych, w obszernem dziele wyłożył teoryą, w któréj poraz pierwszy uzasadnił powyższe rozróżnienie plasmy odżywczéj i *idioplasmy*, tj. plasmy będącéj materyalną pódstawą dziedziczności. To niewątpliwie słuszne rozróżnienie, będące cennym nabytkiem fizyologii płodzenia, wyprowadza on z faktu, że zdolność przekazywania potomstwu swoich właściwości jest równie silna tak u ojca jak u matki, pomimo że jajko jest setki, nawet tysiące razy większe od ciałka nasiennego, a w normalnym przebiegu procesu tylko jedno takie ciałko ma udział w zapłodnieniu. Można to wyjaśnić jedynie tym sposobem, że tylko pewna część jajka i nitki nasiennéj składa się z idioplasmy, gdy tymczasem resztę tworzy plasma odżywcza. Według tego przypuszczenia, podobieństwo dziecka do ojca lub do matki zależałoby od tego, czy większa ilość idioplasmy znajduje się w nitce nasiennéj lub w jajku.

W jajku i w ciałku nasiennem są nagromadzone wszystkie znamiona gatunkowe tak samo, jak w rozwiniętym organizmie. W jajku kurzém tak samo jest zawarty gatunek tego ptaka ze wszystkiemi jego właściwościami, jak w saméj kurze. Różnica, zachodząca pomiędzy jajkiem kurzém i żabiém, jest taka sama jak pomiędzy kurą i żabą. W jajkach téj różnicy nie spostrzegamy, bo nie jest ona widoczna, gdy tymczasem u odpowiednich zwierząt łatwo daje się uchwycić. O słuszności tych twierdzeń nikt chyba powątpiewać nie będzie.

Każda dająca się spostrzegać właściwość, według teoryi, istnieje w idioplasmie jako zawiązek. Każdy osobnik, każdy organ osobnika, każda część organu, zawdzięcza swe powstanie szczególnéj modyfikacyi, albo raczéj pewnemu szczególnemu stanowi idioplasmy. W każdym punkcie organizmu ma ona przeto inne własności.

W komórkach rozrodczych (w jajku i w ciałku nasiennném) znajduje się nieskończona rozmaitość idioplasmy, która odpowiada wszystkim znamionom całego szeregu przodków danego osobnika Tę nieskończoną rozmaitość tworzą drobniutkie krople idioplasmy, których nie możemy wykryć ani za pomocą reakcyi chemicznych ani za pomocą narzędzi fizycznych. Idioplasma jajka jest obrazem dorosłego osobnika. Zawiązki zawarte w idioplasmie rozmaite mają widoki rozwoju; jedne stale się rozwijają, inne zaś długi czas pozostają utajone i rozwijają się tylko w pewnych warunkach.

Podczas rozwoju jajka, jego idioplasma rośnie aż do chwili wydania płodu, a następnie rośnie w młodym osobniku i rozpościera się w jego ciele aż do zupełnego ukończenia wzrostu, poczém ostatecznie przechodzi w idioplasmę rozrodczą, zawierającą wszystkie zdolności rozwojowe gatunku. Tak więc idioplasma, według téj teoryi odbywa obieg: z rozrodczéj staje się idioplasmą ciała (somatyczną) i znowu powraca do stanu idioplasmy rozrodczéj.

Według Nägelego, idioplasma składa się z drobnych ciałek (micellów) ułożonych w podłużne zbite pasma, które przebiegają po całém ciele, tworząc w niém nieprzerwaną sieć. W ciele i w jądrze bardzo wielu komórek zwierzęcych i roślinnych rzeczywiście widać sieć znacznie gęstéj plasmy zanurzoną w rzadszéj plasmie. Nägeli mniema, że to jest właśnie sieć idioplasmatyczna, ponieważ zaś ta sieć, według jego teoryi, ma być w całém ciele nie przerwana, przeto, na mocy czysto teoretycznych wywodów przyszedł on do wniosku, że plasma komórek musi się z sobą łączyć, i tym sposobem przepowiedział połączenie, które niedługo potém rzeczywiście wykryto tak u roślin, jako téż u zwierząt.

Przedstawiona teorya idioplasmy wkrótce musiała uledz stanowczéj zmianie, skutkiem dokładniejszego zbadania roli jądra i ciała komórkowego, czyli innemi słowy *nucleoplasmy* i *cytoplasmy*. Świetne spostrzeżenia prof. Edwarda von Beneden'a nad zapłodnieniem u robaków (*Ascaris megalocephale*) i prof. Edwarda Strasburgera nad zapłodnieniem u roślin jawnokwiatowych dowiodły, że tylko jądra mają czynny udział w zapłodnieniu: ponieważ zaś przez zapłodnienie właściwości rodziców zostają przelane na dzieci, przeto oczywistą jest rzeczą, że to przelewanie znamion, będące właśnie dziedzicznością, odbywa się za pomocą samych tylko jąder. Jedy-

ném siedliskiem idioplasmy są jądra komórek. Tak więc teorya Nägelego musi uledz zmianie ze względu na to, że ciało komórki czyli cytoplasma nie ma udziału w zjawiskach dziedziczności, skoro zaś idioplasma mieści się w samém jądrze, więc można powątpiewać czy idioplasma tworzy sieć, gdyż o połączeniu jąder pomiędzy sobą nic dotychczas nie wiadomo. Zresztą nie podobna stanowczo określić, jaką część plasmy jądrowéj należy uważać za idioplasmę. Zdaje się, że przelewanie znamion rodzicielskich na potomstwo następuje za pomocą nitek plasmatycznych jądra, ale te nitki składają się z dwóch substancyi: przejrzystéj, zbitéj nitki i zawartych w niéj ciałek, które posiadają zdolność pochłaniania rozmaitych barwników (mikrosomy). Na tymczasem nie podobna stanowczo powiedziéć, która część składowa nitki jądrowéj może być materyalnym substratem dziedziczności.

Po należytém udowodnieniu, że substancya będąca siedliskiem dziedziczności mieści się w jądrze, prawdopodobnie w jego nitkach plasmatycznych, pozostaje do rozstrzygnięcia pytanie: czy plasma rozrodcza, posiadająca wszystkie zdolności rozwojowe gatunku, w całości zamienia się na plasmę składającą ciało danego osobnika (somatyczną), a następnie, w chwili powstawania pierwiastków płciowych z téj plasmy somatycznéj znowu powstaje plasma rozrodcza,—czyli téż plasma rozrodcza nigdy nie powstaje z plasmy somatycznéj, lecz podczas rozwoju każdego osobnika pewna jéj część nie zamienia się na somatyczną, i bez zmiany przechodzi do potomka, który ją potém znowu przekazuje swemu potomstwu itd. do nieskończoności.

Jak widzieliśmy, pierwsze z tych przypuszczeń, polegające na obiegu plasmy w ciele organizmów, znalazło zwolenników w osobie Darwina, Brooks'a, Nägeli'ego, oraz prof. E. Strasburger'a, który pod tym względem stanął po stronie Nägeli'ego.

Przeciwko temu poglądowi powstał prof. August Weismann, dzielny badacz na polu zoologii, który w następujący sposób z wielkim talentem przeprowadził własną *teoryą jednociągłości plasmy rozrodczéj*.

U istot jednokomórkowych jednociągłość plasmy jest bardzo widoczna, gdyż potomek jest częścią całego ciała rodzicielskiego. U wyższych, wielokomórkowych istot, których ciało składa się w wielu komórek, tylko niektóre z pomiędzy tych ostatnich (komórki rozrodcze) mogą wydawać potomstwo, pozostałe zaś (komórki somatyczne) nie mają w tém żadnego bezpośredniego udziału. W każdéj komórce rozrodczéj znajduje się plasma rozrodcza i somatyczna.

Weismann wyobraża sobie, że podczas rozwoju każdego osobnika maleńka ilość plasmy rozrodczéj zawiązka pozostaje bez zmiany i służy do wytwarzania komórek rozrodczych nowego organizmu. To przypuszczenie nie daje się dowieść ani wprost, ani pośrednio, wszakże lepiéj odpowiada faktom, aniżeli przypuszczenie wytwarzania w organizmie substancyi rozrodczéj z komórek somatycznych. Teorya jednociągłości plasmy rozrodczéj stawia sprawę dziedziczności na równi z rozmnażaniem istot jedno-komórkowych, u których ta sama substancya bezustanku rośnie, oraz od czasu do czasu dzieli się i tym sposobem wydaje nowe osobniki. Według tego zapatrywania się, różnica pomiędzy jedno- i wielo-komórkowemi osobnikami polegałaby tedy na tém, że u tych ostatnich po każdym podziale komórki rozrodczéj następuje proces rozwojowy, prowadzący do wytworzenia osobnika wielokomórkowego, złożonego z wielu komórek somatycznych. Osobnik taki pod względem objętości nieskończenie przewyższa ilość plasmy rozrodczéj, która pozostała bez zmiany, lecz pod względem rozwojowym jest on tylko jéj ubocznym produktem przeznaczonym na śmierć niechybną, gdy tymczasem plasma rozrodcza pod osłoną wielokomórkowego ciała rośnie, powiększa się i wydaje nowe pokolenie komórek rozrodczych, posiadających zdolność wydawania następnego pokolenia ciał, w których się powtarza ta sama sprawa. Tym sposobem plasma rozrodcza, przechodząc z pokolenia w pokolenie, nie zamiera, jest nieśmiertelną. Można ją sobie wyobrazić jako podziemną, czołgającą się łodygę, z któréj w pewnych odstępach wznoszą się rośliny, t. j. osobniki następujących po sobie pokoleń.

Plasma rozrodcza jest jedyną twórczą substancyą świata organicznego, która nietylko utrzymuje najrozmaitsze formy organizacyi, ale nadto jest ich pierwotném wyrażeniem do tego stopnia, że każda trwałość i zmienność typu jest wynikiem losów, jakim one ulegają. Cały zresztą organizm jest pod pewnym względem dodatkiem komórki rozrodczéj i dopóty pozostaje niezmienionym, dopóki jéj molekularna budowa, a właściwie budowa jéj jądra, żadnym nie ulega zmianom, gdy tymczasem wszelkie zaburzenie w budowie tego jądra pociąga za sobą odpowiednie przekształcenie organizmu.

Plasma rozrodcza może być domieszana nietylko do komórek w ścisłém znaczeniu rozrodczych, lecz bywa rozmaicie rozpostarta w organizmie. Niektóre rośliny, np. begonie, można wyhodować z kawałka łodygi podziemnéj (kłącza), z kawałka korzenia, nawet z liści. Należy przypuszczać, że każda komórka, zdolna do wydawania nowego osobnika, zawiera w swém jądrze jakąś cząsteczkę niezmienionéj plasmy rozrodczéj, która w odpowiednich warunkach rośnie i wydaje nową roślinę.

W jądrze odpowiedniéj komórki znajduje się plasma rozrodcza nietylko rodziców, od których pochodzi dany osobnik, ale nadto dziadów, pradziadów i t. d. aż do najodleglejszych przodków. Naturalnie, plasmy rozrodczéj rozmaitych pokoleń jest tém mniéj, im bardziéj pokolenia są oddalone od danego osobnika. Nawet niezbyt odległe pokolenie, np. dziesiąte, już będzie wyobrażone w jądrze rozrodczém danego pokolenia bardzo małą ilością plasmy. Pomimo to atawizm, t. j. powrót do dawno utraconych znamion, dowodzi, że plasma rozrodcza bardzo odległych przodków może w danym razie objawić swój wpływ na rozwój osobnika.

Budowa molekularna nukleoplasmy rozrodczéj, t. j. plasmy rozrodczéj jądra, posiadającéj wszystkie zdolności i skłonności niezbędne do odtworzenia całego organizmu ze wszystkiemi jego znamionami, musi być bardzo zawiła. W miarę rozwoju osobnika ta nukleoplasma musi się coraz bardziéj upraszczać, gdyż stopniowo dzieli się na odcinki, będące zawiązkami coraz mniejszych części organizmu, a zatém odcinki muszą posiadać coraz prostszą budowę molekularną, odpowiadającą tym utworom organizmu, jakie mają z nich powstać. Tak u wielu zwierząt po pierwszym podziale jajka powstają dwie kulki przewężne, na pozór zupełnie do siebie podobne, lecz w rzeczy saméj odmienne, gdyż każda z nich rozwija się jako odmienna część organizmu (jedna wydaje utwory ektodermy, druga utwory entodermy). Zatém połówki komórki jajowéj posiadają w tym razie odmienną wartość, a tém samém odmienną budowę molekularną. Ponieważ odmienny rozwój kulek przewężnych jest wyrażeniem ewolucyjnych zdolności ich nukleoplasmy, a tém samém molekularnéj budowy téj ostatniéj, przeto przychodzimy do wniosku, że nukleoplasma każdéj kulki odmiennie jest zbudowana. Ponieważ zaś utwory powstające z każdéj kulki są prostsze od utworów organizmu, rozwijającego się z całkowitego jajka, należy więc wnioskować, że każda z nich posiada nukleoplasmę mniéj zawile zbudowaną aniżeli jądro jajowe.

Takie uproszczenie nukleoplasmy coraz daléj postępuje w miarę posuwającego się podziału, czyli przewężania jądra jajowego. Po każdym podziale jądra powstają coraz liczniejsze odcinki nukleoplasmy; każdy z nich wyobraża zawiązek coraz mniejszéj części powstającego osobnika, że zaś o zawiłości budowy nukleoplasmy sądzimy ze skutków jéj działalności, przeto musimy przyznać, że w miarę coraz większego wyróżnienia tkanek rozwijającego się organizmu, w miarę jak się zmniejsza ilość zawiązków, mających powstać z jednego kawałka nukleoplasmy, zawiłość budowy téj ostatniéj musi się stopniowo zmniejszać. Budowa plasmy jądrowéj musi

być najprostsza w rozmaitych tkankach dojrzałego organizmu, bo komórki tych tkanek, t. j. komórki somatyczne, mogą wydawać tylko podobne sobie pierwiastki anatomiczne.

Jeżeli plasma jądrowa tkanek zupełnie rozwiniętego osobnika posiada budowę tak dalece uproszczoną, zachodzi pytanie, jakim sposobem mogłaby się ona zamienić na plasmę rozrodczą, któréj budowa, jak widzieliśmy, musi być nieskończenie skomplikowana, gdyż posiada zdolność i potęgę wytworzenia całego osobnika ze wszystkiemi jego tkankami i wyspecyalizowanemi nukleoplasmami?

Podczas rozwoju zarodka zmiany w jądrze komórki jajowej odbywają się bardzo powoli i wymagają długiego stosunkowo czasu, trudno więc przypuszczać, aby zamiana powrotna nukleoplasmy tkankowéj (somatycznéj) na rozrodczę mogła się odbywać jednym skokiem. Przeciwnie, i w tym razie należałoby spodziewać się zmian powolnych i stopniowych, których jednakże nie spostrzegamy; mamy więc prawo przypuszczać, że się nic podobnego nie dzieje, że zamiana nukleoplasmy somatycznéj na rozrodczą jest wprost niemożliwa, co dostarcza jednego więcéj dowodu na korzyść teoryi jednociągłości plasmy rozrodczéj.

Dla braku miejsca muszę poprzestać na tém treściwém przedstawieniu pięknéj teoryi Weismanna śmiało pomyślanéj i dzielnie przeprowadzonéj, sądzę jednak, że to co powiedziałem, wystarczy do wykazania jéj prostoty i wysokiego stopnia prawdopodobieństwa, jakim się inne teorye dziedziczności poszczycić nie mogą, oraz wystarczy do pozyskania dla niéj uważnego czytelnika.

ZMIENNOŚĆ.

Darwin za źródło zmienności uważał wpływ warunków zewnętrznych oraz spotęgowane używanie lub bezczynność danego organu. Wyobrażał on sobie, że wszystkie te przyczyny powodują zmianę zalążków, a tém samém powodują odpowiednią zmianę potomstwa. Wpływ warunków zewnętrznych może się, według niego, objawiać jako zboczenie pewnego organu rodzica, który skutkiem tego wydaje zmienione zalążki, albo jako zboczenie zalążków zawartych w pierwiastkach rozrodczych. Wzmocniona wprawa lub bezczynność w odpowiedni sposób modyfikują dotknięty niemi organ, a tém samém modyfikują jego zalążki i powodują właściwą zmianę u potomstwa. Tak więc zmiany nabyte przez dojrzałego rodzica przechodziłyby na potomstwo i stają się dziedzicznemi.

Brooks także przyjmuje dziedziczność zmian nabytych przez rodzica, gdyż komórki, znajdując się w niepomyślnych warunkach bytu, mają się zmieniać i dopóty wydzielać zalążki, dopóki nie powrócą do równowagi, a zalążki zmienionych komórek służyłyby do odtwarzania u potomków tych samych różnic. Skłonność do zboczeń w komórkach somatycznych ma być wynikiem z ich natury mieszanéj, a to w sposób następujący. Z uwagi, że jajko zapłodnione przedstawia połączenie pierwiastku samczego z samiczym, ma ono być mieszańcem podobnym do mieszańca dwóch np. odmian. Ten sam charakter mieszańców posiadałyby wszystkie potomne komórki jajka, t. j. komórki składające ciało danego organizmu, oraz jego komórki rozrodcze. Ponieważ ten autor mieszańcom przypisuje większą skłonność do zboczeń, aniżeli czyste formy pierwotne, przeto wszystkim komórkom organizmu powstałego z zapłodnionego jajka także należałoby przypisać szczególną skłonność do wytwarzania nowych odmian. Tak więc, według tego poglądu, zapłodnienie pociągałoby za sobą spotęgowanie zmienności organizmów. W jajku Brooks widzi pierwiastek zachowawczy, będący siedliskiem dziedziczności, a w ciałku nasiennem pierwiastek postępowy, będący źródłem zmienności.

Późniéj będziemy mieli sposobność bliżéj rozpatrzéć prawdopodobieństwo tych przypuszczeń; na tymczasem zauważę tylko, że nie ma zasady przypisywać jajku i ciałku nasiennemu rozmaitego znaczenia przy płodzeniu. Wprawdzie Brooks na poparcie swego zdania przytacza przykłady mieszańców, u których wpływ ojca zawsze jest silniejszy, nap. mieszańców ogiera z oślicą, lub klaczy z osłem, wszakże przykłady nie dostarczają żadnego dowodu, gdyż można przeciwko nim postawić inne, wykazujące, że wpływ matki bywa silniejszy od wpływu ojca. Nawet u człowieka w téj saméj rodzinie często spotykamy dzieci podobne to do jednego, to do drugiego rodzica.

Nägeli także przyjmuje dziedziczność zmian nabytych przez rodzica, lecz główną podstawę jego teoryi stanowi wewnętrzny popęd idioplasmy do ciągłéj powolnéj zmiany ku wyższéj organizacyi; obok tego uznaje on także wpływ niektórych zewnętrznych warunków bytu.

Według tego zasłużonego botanika, organizmy posiadają dążność do zmieniania się z przyczyn wewnętrznych, t. j. odpowiednio do wrodzonych własności idioplasmy. Dowodem tego ma być rozmaitość roślin powstałych z nasion tego samego rodzica i wyhodowanych na téj saméj grzędzie, oraz wyrastanie na tym samym pniu odmiennych gałęzi. Daléj, dowodu ma także dostarczać rozwój osob-

nikowy (ontogenia), t. j. rozwój pojedynczych organizmów. Rozwój osobnikowy odbywa się pod wpływem przyczyn wewnętrznych, mając tedy na uwadze podobieństwo rozwoju osobnikowego i rozwoju całego świata organicznego (filogenii), Nägeli przychodzi do wniosku, że cały świat organiczny rozwinął się wskutek przyczyn wewnętrznych.

Jak w jajku są nagromadzone wszystkie znamiona danego gatunku, np. ptaka, a jedna zmiana wywołuje drugą aż do wytworzenia całego osobnika, tak, według Nägeli'ego, w kropli plasmy pierwotnéj istnieje substancya prostéj budowy, która ma się zmieniać i wywoływać dalsze modyfikacye, stając się tym sposobem punktem wyjścia całego szeregu rozmaitych organizmów.

Idioplasma—ciągnie daléj ten badacz — podobnie jak kryształ, rośnie skutkiem osiadania z płynu odżywczego (plasmy odżywczéj) nowych cząstek, czyli micellów, które grupują się odpowiednio do istniejącego układu jéj cząstek. Micelle idioplasmy, podobnie jak kryształy osiadające w ługu, rozmaitéj są wielkości i kształtu, a nadto niejednakowy mają skład chemiczny. Utrzymanie zupełnie jednakowego układu tych cząstek jest zatém niemożebne; dlatego idioplasma musi się ciągle, chociaż powoli zmieniać, zatém w komórkach rozrodczych potomka jest ona nieco odmienna od idioplasmy rodzica. To porównanie do kryształu dobrze uwydatnia myśl sędziwego botanika, który utrzymuje, że zmiany odbywające się w idioplasmie prowadzą do stopniowego wyróżnienia coraz liczniejszych części, skąd organizm staje się stopniowo coraz zawilszym, czyli coraz wyższym. Jestto *zasada wydoskonalenia* według Nägeli'ego. Zmiany idioplasmy są według niego nadzwyczaj powolne, dla tego pierwiastkowo wcale ich nie dostrzegamy; stają się one widoczne dopiéro po pewnéj liczbie pokoleń, gdy się odpowiednio rozwiną i spotęgują. Zresztą, sądzi on, że zmiany odbywają się z rozmaitą energią; po epoce szybszych zmian zapewne następuje dłuższy spokój.

Uczony badacz, którego teorye rozpatrujemy, przyznaje, że oprócz przeobrażeń idioplasmy z przyczyn wewnętrznych, czyli oprócz dążności do wydoskonalenia, zmienność istot organicznych zależy także od wpływów zewnętrznych. Przyczyny wewnętrzne wytworzyłyby według niego taki sam stopień organizacyi, jaki dziś spostrzegamy, ale panowałaby wielka jednostajność budowy. Wpływy zewnętrzne, wywołując przystosowanie pojedyńczych organów, nadają światu organicznemu jego rozmaitość. Następujące przykłady, przytoczone przez Nägeli'ego, wyjaśnią jego pogląd na stosunek obu przyczyn zmienności.

Organy zmysłów w ciągu rozwoju świata zwierzęcego ten sam zachowują charakter, gdyż mają zaspakajać te same potrzeby, lecz odpowiednio do wyższéj organizacyi całego osobnika mają się stawać coraz bardziéj zawiłemi. Wykształcenie z najprostszych zawiązków tak wysoko rozwiniętego organu wzroku i słuchu zwierząt kręgowych nie jest wynikiem działania światła i dźwięków, lecz idioplasma w miarę coraz bogatszego rozczłonkowania ciała skutkiem przyczyn wewnętrznych ma powodować odpowiednio bogate rozczłonkowanie wymienionych organów. Ciągłe działanie światła i dźwięków tylko podtrzymuje przystosowawczy ich charakter. Z drugiéj strony przysadki ciała owadów, będące w równym stopniu doskonałe i jednocześnie zastosowane do rozmaitych ruchów są przytoczone jako przykład wpływu zewnętrznych warunków bytu.

Według rozbieranéj tu teoryi, nie wszystkie wpływy zewnętrzne mogą być źródłem zmian dziedzicznych; owszem wiele z pomiędzy nich nie pozostawia w idioplasmie stałego śladu, lecz ich działanie jest przemijające. Do takich chwilowo działających wpływów zewnętrznych zaliczono pokarm, w części klimat.

Obfitość pokarmu pociąga za sobą bujny wzrost, lecz odmienny pokarm wywołuje zmiany przemijające. Tak rośliny alpejskie, czyli halne, które od bardzo dawna, bo przynajmniéj od czasów epoki lodowéj, w tych samych żyją warunkach i posiadają znamiona odpowiadające ich pobytowi, będąc przeniesione na doliny, bujnie wyrastają, ale te nowe cechy zachowują tylko dopóty, dopóki nie zostaną napowrót przeniesione w góry. To samo stosuje się do zmiany stanowisk ocienionych i słonecznych, oraz do rozmaitego podścieliska geologicznego. Jemioła jest na różnych drzewach jednakowa, tylko na sośnie odmiennie wyrasta, ale możeby się znowu zmieniła, gdyby ją przeniesiono na brzozę lub drzewo owocowe.

Rozwój osobnikowy dosadnie dowodzi, jak dalece pokarm jest bez znaczenia dla organizmów, byle tylko znajdował się w dostatecznéj ilości. Tak mianowicie na dziecko jednakowo wpływa fizyczna budowa ojca i matki, tymczasem przed urodzeniem, a czasami i po urodzeniu otrzymuje ono od matki olbrzymią stosunkowo ilość pokarmu, który oczywiście nie działa na budowę jego idioplasmy. Jedném słowem, zdaniem Nägeli'ego, pokarm nie przeobraża idioplasmy, która tak samo żyje bez względu na źródło pokarmu, podobnie jak maszyna tę samą wykonywa pracę, bez względu na to, czy ją porusza wiatr, woda, para, spadający ciężar, naciągnięta sprężyna lub siła zwierzęca.

Trudno nie zgodzić się na te wywody, którym można jedynie zarzucić zbytnią krańcowość w bezwarunkowém odrzucaniu wszelkiego wpływu pokarmów.

Warunki zewnętrzne mają niekiedy bezpośrednio wywoływać zmiany. Tak np. ciepłe futro zwierząt zimnego klimatu i zimowe futro w klimatach umiarkowanych miały powstać skutkiem bezpośredniego wpływu zimna. Byłby to bezpośredni wpływ klimatu, którego autor nie uznaje ze względu na rośliny, a zatém wpadł w sprzeczność z samym sobą. Najważniejsze znaczenie w wywoływaniu zmian organizacyi Nägeli przypisuje wpływom pośrednim czyli *bodźcom*, t. j. wpływom, które wywołują pewne oddziaływanie czyli reakcyą organizmu. Oddziaływanie ma polegać na ruchu drobinkowym, który nie jest dla nas widoczny, lecz kończy się łatwo dostrzegalném zjawiskiem.

Według téj teoryi podrażnienia, bodziec działając przez długi przeciąg czasu, t. j. przez wiele pokoleń, może do tego stopnia zmienić idioplasmę, że powstają dziedziczne zboczenia. Do zjawisk tego rodzaju zalicza nasz autor heliotropizm i geotropizm roślin, t. j. ich dążność do pochylania się ku światłu, oraz do wyrastania w kierunku pionowym łodygą do góry i korzeniem ku dołowi. Bodźce mają wywoływać powstawanie i rozwój broni u zwierząt, jak rogi, pazury, kły, które miały się rozwinąć skutkiem podrażnienia pewnych części powierzchni podczas napadu lub obrony. Pod wpływem bodźca miały téż powstać łodygi pnące się i wijące.

W przeobrażeniach roślin Nägeli wielką rolę przypisuje działaniu owadów. Łaskotanie, jakie owady sprawiają roślinom, łażąc po ich powierzchni, oraz drobne ukłócia tych zwierząt dużo, według niego, wywołały zmian budowy. Łaskotanie powoli rozwinęło w liściu muchołówki (*Dionaea muscipula*) zdolność zamykania się i chwytania owadów. Łaskotanie i ukłócia spowodowały rozwój płatków korony. Ukłócia drażniąc krótkie korony kwiatowe spowodowały ich wydłużenie się. Następnie zaś owady nie mogąc smoczkiem dostać miodu, czyniły wysilenia, aby sięgnąć do dna kwiatowego. Pod wpływem podrażnienia, wywołanego przez wysiłek fizyczny i psychiczny, powstający skutkiem spotęgowanéj żądzy dostania się do miodu, smoczki dopóty się wydłużały, dopóki trwało wydłużanie się korony kwiatowéj. Miodniki kwiatów także powstały skutkiem nakłóć przez owady i t. d. i t. d.

Oddziaływanie organizmu na bodźce zawsze ma być pożyteczne, bo chroni organizm od ich wpływów. Jeżeli oprócz tego bezpośredniego pożytku zostaje osiągnięta jaka pośrednia korzyść dla sprawy zapłodnienia, ma ona być jedynie szczęśliwym przypadkiem. Zatém do takich szczęśliwych przypadków należałoby zaliczyć wszystkie wzajemne przystosowania kwiatów i owadów, barwę kwiatów, obecność miodników i t. p.

Bardzo powszechném jest mniemanie, że wpływy zewnętrzne tak u niższych, jako też u wyższych organizmów mogą mieć najrozmaitsze skutki, że ze wszystkich tych skutków zachowują się tylko te, które są pożyteczne. Przeciwko takiemu poglądowi Nägeli stanowczo powstaje, a natomiast za bardziéj prawdopodobne, nawet jedynie uzasadnione, uważa on przypuszczenie, że istnieje tylko korzystne oddziaływanie organizmu na wpływy zewnętrzne. Wybór naturalny i usuwanie skutkiem niego osobników mają być niepotrzebną hipotezą, bo zupełnie wystarcza teorya działania bodźców.

Po tak stanowczém orzeczeniu możnaby mniemać, że teorya Darwina stanowczo została odrzucona, jednakże w rzeczy saméj wcale tak nie jest. Mianowicie zaś zasłużony botanik przyjmuje istnienie tak walki o byt, którą nazywa konkurencyą, jako też wyboru naturalnego, lecz inaczéj je pojmuje aniżeli Darwin i mniejszą wyznacza im rolę. Według jego teoryi, zmiany zachodzące w organizmach nie mogą być nieokreślone i nie mogą odbywać się w różnych kierunkach, lecz mają drogę dokładnie wytkniętą przez budowę i własności idioplasmy. Zatém wybór naturalny nie może wpływać na wyrobienie i wydoskonalenie znamion, lecz służy jedynie do usuwania pewnych form, a tém samém służy do tworzenia przerw pomiędzy rozmaitemi grupami organizmów. W razie nieograniczonego rozwoju wszystkich zdolności ewolucyjnych roślin pod wpływem samych tylko zasad mechanicznych, t. j. pod wpływem samego tylko wewnętrznego popędu do wydoskonalenia, pozostałyby wszystkie formy roślinne, jakie dziś istnieją i żyły by one obok siebie tak samo, jak to rzeczywiście ma miejsce, ale oprócz nich istniałaby nieskończona ilość innych form, gdyż znajdowaliby się obok nich potomkowie form wypartych i wymarłych.

Nägeli uznaje, że w państwach organicznych, obok zmian skutkiem doskonalenia się organizacyi, mającego określony kierunek, oraz obok zmian przystosowanych, występuje także współzawodnictwo (konkurencya), które rozdziela i ogranicza rozmaite skupienia, ale żadna grupa państwa organicznego nie zawdzięcza mu swego istnienia, tylko pojedyncze grupy, skutkiem usuwania rozmaitych form pośrednich, występują wyraźniéj, w sposób bardziéj charakterystyczny. W rozbieraném dziele wiele spotykamy pięknych porównań, objaśniających myśli autora. Niepoślednie miejsce zajmują też następujące porównania, uwydatniające jego poglądy na walkę o byt i wybór naturalny. Bez współzawodnictwa — powiada on — państwo roślin (i zwierząt) byłoby jak mgła drogi mlecznéj, a skutkiem współzawodnictwa stało się ono firmamentem z jasno świecącemi gwiazdami. Porównywa on też państwo roślin do wielkiego

drzewa rozgałęzionego od saméj podstawy, na którém końce gałęzi byłyby wyobrażeniem jednocześnie żyjących form. Drzewo posiada ogromną siłę wegetacyjną; gdyby się rozwijało bez wszelkiéj przeszkody, utworzyłoby ono olbrzymi krzak z niezliczonemi i poplątanemi rozgałęzieniami. Wymieranie pojedynczych form, jakby jaki ogrodnik, bezustanku obcina drzewo, obrzyna mu gałęzie i gałązki czyniąc tym sposobem pojedyncze jego części wyraźnie dostrzegalnemi. Jedném słowem, według téj teoryi, wydoskonalenie i przystosowanie są mechanicznemi czynnikami wytwarzania bogactwa form, a współzawodnictwo i usuwanie form, czyli właściwy darwinizm, jest tylko mechanicznym czynnikiem wytwarzania przerw w obu państwach organicznych.

W swojém dziele, które nas tu zajmuje, Nägeli poświęcił krytyce darwinizmu obszerny rozdział. Tych poglądów rozbierać nie będę, gdyż je p. Józef Nusbaum w niniejszém piśmie należycie ocenił (1885, tom IV, str. 146—160), nieco jednak zastanowię się nad teoryą postępowego rozwoju organizmów z pobudek wewnętrznych.

Konstytucya danego organizmu, oraz fizyczna natura każdego gatunku niewątpliwie ogranicza jego zdolność do przeobrażeń. Dany gatunek nie może się zmieniać w każdym możliwym kierunku, nie może przybrać form wszelkiego innego gatunku. Chrząszcz nie może się przeobrazić na zwierzę kręgowe, nawet nie może się stać konikiem polnym lub motylem, lecz przedewszystkiém może się zamienić na innego chrząszcza należącego do téj saméj rodziny, nawet do tego samego rodzaju. Nowe nabytki mogą się jedynie łączyć ze szczegółami już istniejącemi i tym sposobem rozwój świata organicznego ma wytknięte pewne kierunki. Nie dowodzi to jednak, aby rozwój odbywał się wyłącznie z wewnętrznych pobudek, wynikających z molekularnéj budowy substancyi organicznéj.

U zwierząt tyle mamy dowodów przystosowania najdrobniejszych szczegółów budowy do ich czynności, że pomimo niemożności wykazania przystosowań w każdym danym wypadku, mamy prawo utrzymywać, że w zwierzęciu nie ma żadnéj części bez znaczenia; że każdy organ, każdą komórkę, nawet każdą część komórki określa niejako rola, jaką organizm ma odegrywać wobec świata zewnętrznego.

W zwierzęciu wszystko zależy tedy od przystosowania. Jako przykład możemy tu przytoczyć wieloryby, które niewątpliwie powstały ze zwierząt lądowych drogą zastosowania do pobytu w wodzie.

U wielorybów wszystko jest przystosowane do życia w wodzie: ogólny kształt ciała, jego pokrycie, obfity tłuszcz podskórny, budowa kończyn, budowa ucha, krtani, płuc, naczyń krwionośnych, po-

łożenie nozdrzy itd. U wielorybów właściwych nawet ogromnie wydłużone szczęki są przystosowane do pokarmu tych olbrzymów, który się składa z drobnych mięczaków zamieszkujących oceany niezliczonemi tłumami. Aby głód zaspokoić tak drobną zdobyczą wieloryby muszą ją chwytać w ogromnéj liczbie, co téż czynią, wypełniając wielką ilością wody ogromną swą paszczę i przepuszczając wodę przez pasy fiszbinowe. Woda wycieka, drobne mięczaki pozostają w paszczy. Te doskonałe przystowania nie mogły powstać skutkiem wewnętrznéj siły przeobrażającéj.

Teorya przeobrażenia gatunków z pobudek wewnętrznych wcale nie wyjaśnia drobiazgowego przystosowania zwierząt do warunków ich bytu. Nie wyjaśnia téż, dla czego każdy gatunek zawsze powstał tam, gdzie był, lub jest najodpowiedniejszym. Zatém teorya nie ma prawa bytu, zwłaszcza, że rozmaite gatunki i obszerniejsze skupienia oczywiście powstały bez udziału przypuszczalnéj siły, która jest podstawą teoryi, co pozwala wnosić, że ta siła wcale nie istnieje.

Co się tyczy poglądów Nägeli'ego na wpływ zewnętrznych warunków bytu, to nie wątpliwie jego zdanie o bezsilności odżywiania pod względem wywoływania stałych zmian dziedzicznych stanowczo jest uzasadnione, wyjąwszy może zbyteczną ich bezwględność. Natomiast cały wywód o bodźcach jest chybiony.

Sprengel, Karol Darwin, Kerner, Delpino, Hildebrandt i H. Müller wykazali zadziwiające wzajemne przystosowania kwiatów i owadów. Kształt kwiatu, jego barwa, wzorzystość, zapach doskonale są przystosowane do zapewnienia mu odwiedzin owadów, zdolnych do przenoszenia pyłku z jednego kwiatu na drugi; nie mniéj doskonale kwiaty bywają przystosowane do niedopuszczania odwiedzin takich owadów, które ze względu na swą budowę nie mogą przenosić pyłku, a tém samém napróżnoby zabierały miód, którego kwiat nie może wydzielać do nieskończoności. Niepodobna mi wchodzić tu w szczegóły, poprzestanę więc na wzmiance, że rozmaite barwy i zapachy są pociągające dla rozmaitych owadów, oraz że plamy i prążki odmiennéj barwy oznaczają miejsce, w którém jest miód ukryty, a tém samém służą owadom za drogoskazy. Wszystkie napomknięte tu szczegóły budowy kwiatów są najściśléj związane ze sprawą rozmnażania się roślin, gdyż nie tylko zapewniają zapłodnienie, t. j. przeniesienie pyłku na bliznę słupka, ale nadto zapewniają krzyżowanie kwiatów, a mianowicie przenoszenie pyłku jednego kwiatka na bliznę drugiego, co jest bardzo pożyteczne dla roślin, gdyż potomstwo kwiatów krzyżowanych jest silniejsze od potomstwa kwiatów, które same siebie zapłodniły. Ztąd powstanie przyrządów, za-

pewniających krzyżowanie, bardzo łatwo daje się wyjaśnić za pomocą naturalnego wyboru, będącego wynikiem walki o byt, ale łaskotanie i nakłówanie przez owady nie może tu dostarczyć żadnego tłómaczenia faktów. Nadto, to łaskotanie i nakłówanie nic nas nauczyć nie może, zkąd się wzięły rozmaite urządzenia zapobiegające samozapłodnieniu. Pożyteczność budowy kwiatów, ze względu na rozmnażanie się roślin, zbyt jest powszechną, aby ją można uważać za szczęśliwy tylko przypadek, jak to uczynił Nägeli.

Teoryja podrażnień nie jest też w stanie wyjaśnić zielonego koloru owadów mieszkających na zielonych częściach roślin i w ogóle nie wyjaśnia sympatycznego zabarwienia zwierząt, t. j. zabarwienia odpowiadającego kolorytowi otoczenia. Teorya nie wyjaśnia podobieństwa owadów do liści lub suchych gałązek i zupełnie jest bezsilną w obec naśladownictwa zwierząt, które na têm polega, że pewne zwierzę, np. owad, z zewnętrznych kształtów i zabarwienia jest podobne, do innego zwierzęcia razem z nim mieszkającego, a należycie zabezpieczonego od napadu nieprzyjaciół. Tak np. bezbronne muchy bywają podobne do os posiadających w żądle doskonałą broń odporną.

Teorya Nägeli'ego jest też zupełnie bezsilna w obec wielu innych faktów, doskonale dających się wyjaśnić za pomocą teoryi Darwina, jak np. fakt, że gąsiennice, dla ptaków jadalne, są niewidocznie zabarwione lub żyją w ukryciu, gdy tymczasem nie jadalne są jaskrawo i widocznie ubarwione, oraz żyją na powierzchni roślin niczêm nie zasłonięte przed wzrokiem swych nieprzyjaciół.

Sądzę, że wykazane tu braki pozwalają, nawet nakazują, uznać teoryą Nägeli'ego o przyczynach zmienności istot organicznych za pozbawioną zasady i zasługującą na stanowcze odrzucenie. Cała ta teorya jest zupełnie dowolna, oparta na własnościach dowolnie przyznawanych idioplasmie. Z têm samêm prawem możnaby obmyśléć dla idioplasmy inne własności, które by nas doprowadziły do odmiennych wypadków.

Weismann, którego teoryą dziedziczności poprzednio poznaliśmy, wystąpił z zupełnie nową, oryginalną teoryą zmienności, w któréj z właściwą sobie przenikliwością i stanowczością powstaje przeciwko możności dziedziczenia zboczeń nabytych, tj. zboczeń, które powstały w rozwiniętym organizmie rodziców skutkiem działania wpływów zewnętrznych. Przedewszystkiêm rozpatrzę motywa Weismann'a przeciwko dziedziczności nabytych zboczeń, a następnie postaram się przedstawić jego własną teoryą powstawania dziedzicznych różnic indywidualnych, będących punktem wyjścia teoryi naturalnego wyboru.

Jak poprzednio widzieliśmy, według Weismann'a, dziedziczność na tém polega, że pewna cząsteczka plasmy rozrodczéj bez zmiany przechodzi z rodzica na potomka. Budowa molekularna i w ogóle własności plasmy rozrodczéj pochodzą tedy od osobnika rodzicielskiego, a nie od osobnika, w którym się plasma w danym czasie znajduje. Osobnik, posiadający plasmę rozrodczą jest pod względem płodzenia jéj odżywczym gruntem, którego kosztem plasma rośnie, ale jéj budowa jest z góry określona. Dążności dziedziczenia, zawarte w plasmie rozrodczéj, zależą od jéj budowy molekularnéj, zatém nie mogą być dziedziczone znamiona powstające w gotowym już organizmie pod wpływem zewnętrznych warunków bytu. Znamiona nabyte przez rozwinięty organizm są tedy przemijające i na potomstwo nie przechodzą.

Wpływy zewnętrzne działające na plasmę rozrodczą niewątpliwie mogą niekiedy wywołać w niéj zmianę, która następnie drogą dziedziczności przechodzi na potomstwo, ale pewne fakta dowodzą, że jéj budowa bardzo trudno się zmienia, a powstałe w niéj zboczenia rzadko kiedy mogą być źródłem nowych znamion. Tak mianowicie zwierzęta, czczone w starożytnym Egipcie i zachowane jako mumie, przez tysiące lat mnożyły się i dotychczas mnożą, stale zachowując swoje znamiona. To samo przedstawiają rośliny i zwierzęta obecnie zamieszkałe w górach lub na głębokiéj północy, które stale zachowują swe znamiona od czasów epoki lodowéj, bez porównania dawniejszéj od czasów starożytnego Egiptu. W ciągu tych tysięcy lat plasma rozrodcza, któréj w jajku nadzwyczaj jest mało, rozrosła się do objętości rzeczywiście nie zmierzonéj, a pomimo to i pomimo tak długiego czasu nie zmieniła się pod względem swéj budowy molekularnéj, oczywiście więc posiada ona budowę nadzwyczaj trwałą, chociaż jednocześnie nadzwyczaj zawiłą.

Pomimo całéj wytrzymałości plasmy rozrodczéj trudno zaprzeczyć, że wpływy tego samego rodzaju działające przez bardzo długi czas mogą spowodować pewną zmianę w jéj budowie. Zdaje się, że nie podobna zaprzeczyć możliwości, aby wpływy temperatury, pożywienia itd. działając przez całe pokolenia, nie były zdolne dotknąć komórek rozrodczych, podobnie jak każdego innego organu, wywołując zmiany w plasmie rozrodczéj. Takie wpływy wywołałyby podobną zmianę wszystkich osobników gatunku zamieszkujących tę samę okolicę. Wiele odmian klimatycznych prawdopodobnie w ten powstało sposób, nie wyłącza to jednak możliwości, że i inne zmiany mogły być spowodowane wpływami zewnętrznemi.

Ćwiczenie i brak wprawy pewnego organu nie małą grają rolę u Darwina, który przypuszcza, że skutki ćwiczenia lub bezczynności

mogą, być dziedziczne powodując wzmocnienie i powiększenie, albo też zmniejszenie odpowiedniego organu. Jako przykład skutków ćwiczenia organu przytacza on dziedziczne wielkie wymiona krów i kóz tam, gdzie je stale doją i stosunkowo znacznie mniejsze w innych okolicach. Przykładów zmiany organu skutkiem bezczynności dostarczają Darwin'owi obwisłe uszy domowych zwierząt, które mogły owisnąć skutkiem bezczynności mięśni poruszających niemi; dalej szczątkowe skrzydła strusia, brak lub szczątkowy stan oczów u zwierząt zamieszkujących ciemne podziemia, brak skrzydeł u owadów wyspy Madery itp.

Weismann z całą stanowczością przeczy powyższym przypuszczeniom i w następujący, bardzo dowcipny sposób, tłómaczy powiększanie się lub zmniejszanie pewnego organu odpowiednio do jego wprawy lub bezczynności.

Organ często używany przez pewien gatunek rzeczywiście powiększa się, ale nie dla tego żeby rozrost ćwiczonego organu osiągnięty przez rodzica przechodził na potomstwo i stawał, się dziedzicznym. Stopień możliwego wykształcenia organu zależy od jego wrodzonych własności, zatém zależy od jego zawiązków w plasmie rozrodczéj. Karła nie można wychować na olbrzyma, ani tępego człowieka nie można uczynić mędrcem. Ponieważ w dzikiéj naturze organ kształcony ciągłą pracą zawsze ma znaczenie w życiu zwierzęcia, przeto wybór naturalny stale wybiera te osobniki, u których organ najbardziéj jest zdolny do wykształcenia, a usuwa posiadające ten sam organ mniéj zdolny do rozwoju. Zatém wybór naturalny usuwa osobniki w których zawiązek w plasmie rozrodczéj mniéj jest uzdolniony do silnego rozwinięcia, a daje pierwszeństwo tym, których plasma posiada wprost przeciwne zdolności. Wypadki osiągnięte wprawą w ciągu żywota pojedynczych osobników nie mają tu żadnego znaczenia ani wpływu.

Zanikanie organów skutkiem braku użycia, a zatém skutkiem bezczynności, niewątpliwie częstem jest zjawiskiem, ale według Weismann'a urzeczywistnia się w sposób następujący, bez dziedziczenia zboczeń nabytych przez rodziców.

Wybór naturalny nie tylko wyrabia właściwości gatunku, ale nadto stale je utrzymuje i nie pozwala im zanikać, gdyż po wytworzeniu typu gatunkowego, najlepiéj przystosowanego do danych warunków, walka o byt daléj się toczy, dotykając najdrobniejszych szczegółów organizacyi. Tak, dla ptaka drapieżnego nadzwyczaj jest ważna bystrość wzroku; współubieganie się o zdobycz stale usuwa osobniki ze słabszym wzrokiem i ciągle utrzymuje jego bystrość. Gdyby ptaki przeniosły się do ciemnych podziemi, jak się to stało

z niektóremi rybami i ziemnowodnemi, wówczas wzrok straciłby wszelkie znaczenie i ptaki z gorszemi oczami wcale nie byłyby upośledzone. Istniałyby tedy obok siebie osobniki z rozmaicie rozwiniętemi i rozmaicie doskonałemi oczami. Taki brak wpływu wyboru naturalnego oznaczył Weismann mianem *panmiksyi* (*Panmixie*).

Gdy skutkiem panmiksyi pewien organ podupada, straciwszy pierwotne swe znaczenie, wówczas walka o byt dąży do usunięcia go z plasmy rozrodczéj, gdyż bez potrzeby zabiera on pokarm, którego ilość jest dla każdego organizmu oznaczona. Nadto na zmniejszenie przyrządu wpływa rozwój sąsiednich organów, które się rozrastają i zabierają mu miejsce, a to tém bardziéj, że w razie zaniku jednego organu inne silniéj się rozwijają, np. w razie zaniku oka silniéj rozwijają się przyrządy słuchu, węchu i dotyku. Takie silnie rozwijające się przyrządy zabierają pokarm organowi zanikającemu.

Pomimo tych wszystkich przyczyn, zanikanie przyrządów ciała bardzo jest powolne, widzimy bowiem, że nawet zupełnie niepotrzebne organy zachowują się uporczywie, chociażby tylko w bardzo małych szczątkach. Niekiedy pozostałości zanikającego organu występują tylko chwilowo u zarodka, np. u zarodka padalca istnieją zawiązki przednich nóg, które potém zupełnie znikają, a zarodek pszczoły lub osy posiada zawiązki trzech par nóg tułowia, których nie ma u rozwiniętego czerwia.

Teorya panmiksyi bardzo dobrze tłómaczy fakta, nie dające się wyjaśnić dziedzicznością zmian, powstałych skutkiem bezczynności danego organu. Do rzędu takich zjawisk należy zanikanie organów, które u dorosłego osobnika nie mogą ulegać zmianie, jak np. zanikanie skrzydeł u owadów. Dojrzały owad nie linieje, a zatém jego skrzydła nie mogą ulegać zmianie, bez względu na ich używanie lub bezczynność. Zanikają téż przyrządy nie mające czynnéj roli w organizmie, np. pylniki pręcików kwiatowych zanikły w kwiatach rozdzielnopłciowych, pomimo że dla pręcików zupełnie jest obojętne, co się stało z ich pyłkiem. Robotnice mrówek jako czerwie posiadają zawiązki skrzydeł, których nie ma u dojrzałego owadu. Robotnice nie rozmnażają się, zatém nie może być mowy o zanikaniu ich skrzydeł skutkiem dziedziczenia następstw bezczynności, lecz fakt z łatwością tłómaczy się wyborem odpowiednich rodziców.

Wszystkie przytoczone wypadki dają się wytłómaczyć jedynie za pomocą panmiksyi, którą téż musimy uznać za rzecz, co najmniéj, nadzwyczaj prawdopodobną. Z drugiéj strony, dziedziczenie skutków bezczynności danego organu okazuje się rzeczą niemożebną.

Instynkty powstały drogą naturalnego wyboru, lecz wprawa w ciągu życia jednostki nie ma żadnego znaczenia, jak tego najle-

piéj dowodzą instynkty raz jeden wykonywane, np. składanie jaj przez samicze owady w odpowiedniém, albo odpowiednio przygotowaném miejscu.

Według powyżéj przedstawionych poglądów, różnice indywidualne, przechodzące na potomstwo drogą dziedziczności, nie mogły powstać ani skutkiem zmian nabytych przez dojrzałych rodziców, ani skutkiem ćwiczenia lub bezczynności danego organu. Jednakże różnice takie istnieją; więc Weismann, odrzucając dotychczas przyjmowane źródło ich powstawania, był zobowiązany do wykazania innych źródeł i rzeczywiście uczynił zadosyć temu obowiązkowi, podając następującą teoryą.

Źródłem dziedzicznych różnic indywidualnych jest płodzenie płciowe, polegające na zlewaniu się jąder dwóch komórek rozrodczych. W tych jądrach znajduje się plasma rozrodcza, a w niéj, jak nam wiadomo, są zawarte dążności dziedziczne organizmu wydającego komórkę rozrodczą. To pomieszanie dwóch plasm rozrodczych jest przyczyną dziedzicznych znamion indywidualnych. Tym sposobem płodzenie płciowe dostarcza materyału, z którego wybór naturalny wytwarza nowe gatunki.

Gdy różnice osobiste raz powstały skutkiem płciowego rozmnażania, muszą się one z biegiem czasu wzmagać, lecz nie pod względem coraz większych różnic, ale pod względem coraz nowego zespolenia rozmaitych znamion indywidualnych. Wyrównanie różnic mogłoby nastąpić jedynie w razie, gdyby pewien gatunek składał się z nadzwyczaj małéj liczby osobników.

Gdy już istnieje pewna liczba osobników różniących się dziedzicznemi znamionami indywidualnemi, wówczas w następném pokoleniu każdy osobnik jest zespoleniem dwóch dążności dziedzicznych; w tém pokoleniu nie będzie dwóch jednakowych osobników, oraz każdy osobnik będzie odmienny od osobników rodzicielskich. W trzeciém pokoleniu każdy osobnik będzie zespoleniem dziedzicznych dążności czterech odmiennych plasm rozrodczych; w czwartém pokoleniu będzie pomieszanych 8, w piątém 16, w szóstem 32, w dwunastém 2048 rozmaitych plasm rozrodczych. Każda z tych plasm może się w pewnym stopniu uwydatnić w téj lub owéj części organizmu, który z nich powstaje. Tak więc już w dwunastém pokoleniu istnieje ogromna rozmaitość kombinacyi znamion osobistych, kombinacyi, których nigdy nie było i nigdy już nie będzie. Ponieważ rozmnażanie płciowe istnieje od niesłychanie dawnych czasów, przeto śmiało można powiedzieć, że każdy osobnik gatunku, rozmnażającego się drogą płciową, posiada możliwie wielką ilość roz-

maitych dążności dziedzicznych, oraz nieskończoną rozmaitość indywidualnych znamion.

Źródła dziedzicznych zmian osobnikowych nie należy szukać u wyższych organizmów, bo u nich, jak widzieliśmy, wpływy zewnętrzne rzadko kiedy mogą wywoływać dziedziczną zmianę. Głównem ich źródłem są organizmy jednokomórkowe, które mnożą się drogą podziału, gdyż u nich każda zmiana zaszła w budowie rodzica przechodzi na obie jego połowy. Gdy następnie u tego organizmu powstało rozmnażanie płciowe, wykształciło ono i spotęgowało zmienność, którą stale utrzymuje w ciągle zmieniających się kombinacyach. Rozmnażanie płciowe dostarcza dziedzicznych znamion indywidualnych, które wybór naturalny opanowuje i używa do wytwarzania nowych form organicznych. Tym sposobem organizm może się przystosowywać do powoli zmieniających się warunków bytu, co niezbędną jest rzeczą do utrzymania gatunku, który w przeciwnym razie łatwo znalazłby się w warunkach nieodpowiadających jego budowie i własnościom, a tém samém musiałby uledz zagładzie.

Rozmnażanie płciowe, rozwinąwszy się u istot organicznych, dostaje się pod władzę wyboru naturalnego, który nie pozwala mu zaniknąć, gdyż daje ono wielką przewagę organizmom zdolnym do takiego płodzenia.

Pomimo takiéj wyższości płodzenia płciowego pomiędzy zwierzętami spotykamy przykłady płodzenia z udziałem samych tylko pierwiastków samiczych, t. j. spotykamy *dzieworództwo* (*parthenogenesis*), polegające na powstawaniu osobników z jajek niezapłodnionych. W dzieworództwie plasma rozrodcza, przynajmniéj niesłychanie długo, bez zmiany przechodzi z pokolenia na pokolenie, a mogące się zdarzyć różnice indywidualne niewątpliwie powodują powstawanie nieco odmiennych pokoleń, lecz nie mogą być rozwijane i potęgowane przez wybór naturalny. Po największéj części dzieworództwo występuje naprzemian z rozmnażaniem płciowém, np. u mszyc lub niższych skorupiaków. W takim razie podnosi ono mnożność gatunku i chroni go od zagłady przez nieprzyjaciół, gdy tymczasem płodzenie płciowe, występujące w pewnych odstępach czasu, podtrzymuje zmienność gatunku, uzdalniającą go do hodowli naturalnéj pod wpływem naturalnego wyboru. U niektórych niższych skorupiaków i owadów, o ile się zdaje, istnieje samo tylko dzieworództwo. Niewątpliwie dzieworództwo tak silnie się rozwinęło jako środek wzmagający mnożność gatunku, bo każdy osobnik wydaje jajka. Wzmocniona mnożność zabezpiecza gatunek od wytępienia, ale jest to środek nadzwyczaj niebezpieczny, gdyż

w razie niekorzystnéj zmiany warunków bytu gatunek nie posiadając zdolności odpowiedniego przystosowywania się musi uledz zagładzie.

* * *

Z powyższego zestawienia rozmaitych teoryi dziedziczności i zmienności okazuje się, że najwięcéj prawdopodobieństwa mają za sobą wywody prof. Augusta Weismann'a, jako odznaczające się wielką prostotą i najlepiéj odpowiadające znanym faktom. Według nich dziedziczność i zmienność przedstawiają się w zupełnie nowém świetle. Teorya Weismann'a w niczém nie ubliża teoryi naturalnego wyboru, lecz jéj nowych sił dodaje wykazując prawdopodobnie źródła zjawisk, na których się ona opiera.

August Wrześniowski.





BOBYLE.

(OBRAZ Z ŻYCIA BEZROLNYCH)

I.

Dwór wilszański miał rozległy ogród, staczający się zwolna po pochyłości jaru. Tuż po za wałem tarniowym leżała wieś z sadami wiśniowemi i grzędami, porosłemi słonecznikiem o żółtéj koronie. Z północnéj strony na straży ogrodu stał rząd topoli wyniosło-śpiczastych, a u stóp ich błyszczał staw poprzez zieloną powłokę rzęsy wodnéj, z odbitemi w jego sennem źwierciedle brzegami jaru, z dębami rozproszonemi na skłonach, z krzakami, z łozą, trzciną, sitowiem, z chałupami i stodółkami chłopskiemi. Pałac, wystawiony na najwyższém wzgórzu, przodem swym z sześciu oknami i gankiem patrzał na pola i kurhany, rozproszone po stepie, jak duże brodawki zielone, owiane sinawą mgłą,—tylną zaś stroną swoją, opatrzoną w drzwi szklane od sali i rzędem okien, biały, z dachem czerwonym, spoglądał na ogród, staw, wieś i łany. Ogród zaroślami swemi z krzaków bzu, kaliny, trzmieliny i świdwy wspinał się po wzgórzach, zapadał w doliny, wieczną wilgocią tchnące lub alejami dębowemi i akacyowemi nęcił ku sobie mieszkańców pałacu do ruchu po obfitym spoczynku, do ćwiczeń wątłych nóżek i krzepkich nóg. Te aleje, odwiedzane kilka razy na dzień przez pana, paniczów i panienki, znużonych obiciami ścian i widokiem sprzętów pokojowych, musiały być zawsze nie zarosłe trawą, nie osypane liśćmi lub gałązkami opadłemi z dębów, wiązów i akacyi.

Od prawego skrzydła pałacu, gdzie mieściła się garderoba, aż do bramy wjazdowéj szumiała zielona ściana bzów, akacyi karłowatych i leszczyny. Wprost ganku—przerywała się, a biegła szeroka ścieżka, zasklepiona nisko konarami jabłoni i wiśni. Na prawo—szła kręto, pagórkiem do ogrodu, na lewo, prościutko, obszyta krza-

kami porzeczek i agrestu, wprowadzała do sadu. Stanowiło to dwie włóki obszaru. Spodem leżała murawa, poprzerywana wszerz i wzdłuż pasami wygracowanemi, po których bokach wzrastały krzewy owocowe, kłujące, splecione i postrzyżone, górą—karłowate jabłonie, grusze, wiśnie i śliwki rozpościerały swe czarne gałęzie, idące od pni krzywych, rozdwojonych i pobielonych wapnem. Część równéj płaszczyzny sadu załamywała się i spadała w dół, w jar, gdzie warzywo sadzono. U stóp drzew było szmaragdowo, a nad głowami wisiało sklepienie kwiecia białego, przewitego zielenią rozpękniętych pączków liści. Gwar pszczół, trzmielów i woń rozkoszna! Pod najgrubszą jabłonią stała budka słomiana, a na niéj zapomniana siermięga brunatna i buty, skrojone niezgrabnie, na dużą stopę, posmarowane dziegciem. Po pod gałęźmi, na czarnéj grzędzie czyjeś szerokie plecy chyliły się przy pracy i bufiaste szarawary lniane trzęsły. Rydel krajał ziemię tłustą, a oddech przyśpieszony wtórował. Na trawie, tuż zaraz czerniły się kretowiny i pies „Burek“ ochoczo grzebał się w nich, prychając.

— Dobrze się zwijasz, mój Tarasie!—zabrzmiał głos dziedzica. Rad jestem, żeś uprzątnął już ulice w ogrodzie.

Na dźwięk wyrazów pańskich pracujący człowiek zrzucił czapkę z głowy na ziemię. Był-to dwudziestokilkoletni niski krępy chłop, miał wyraz zapracowania na twarzy, ciemnym włosem porosłéj,—na czole pot, oko ponure, czarne.

— Dzień dobry, wielmożny panie!

— Co tu będziesz sadzić?

— Pomidory, wielmożny panie...

— Postaraj się, żeby dobre były.

— Będą, wielmożny panie... Tego lata muszą być dobre.. Latoś...

Ale dziedzic szedł daléj.

Dawniejszy ogrodnik, zubożały szlachcic zagonowiec, był nicpoń i pijak, śmiał do panienki się umizgać, więc ruszył sobie precz, a jego miejsce teraz zajął Taras Harny, bobyl. Rozpoczął on służbę o najwcześniejszéj wiośnie, w końcu marca. Obowiązał się doglądać sadu siedm miesięcy. Przed odejściem do domu musiał obejrzéć drzewa i czulsze z nich na mróz pootulać. Miano mu za to płacić ośmdziesiąt rubli i udzielać słomy na opał. Przytém mógł dla siebie trawę wykaszać w sadzie. Po opłaceniu podatku, ledwie starczyło owych pieniędzy na chléb i odzież dla siebie i rodziny.

Wstawał o świcie i z rydlem, gracą lub nożem ogrodniczym uwijał się pod drzewami. Nożycami dużemi obcinał zbyteczne gałęzie, czepiając się, jak kot,—czyścił korę, a potém kwaczem, macza-

nym w roztworzoném wapnie, bielił ją, dla zapobieżenia robactwu i porostom wszelkim. Do wieczornego zmierzchu porał się w ten sposób. Najwięcéj pilności musiał wkładać w inspekty z włoszczyzną. Kalafiory, kapary, pory, selery, rzerzucha i pomidory: były to najulubieńsze smakołyki państwa. Zupa z pomidorów lub barszcz, nim je u stołu w pałacu przełknięto, łechtały mile podniebienie. Fale łaskotliwego omdlenia rozbiegały się po języku i słodkie mrowie ogarniało biesiadnika. Strawa, dostawszy się do żołądka zdawała się tam jeszcze lizać i pieścić jego ściany. Błogość i ufność we własne siły przejmowały duszę, serce radośniéj biło... Taką miał potęgę barszcz ów pomidorowy! Nie dziw, że potém sama myśl o tych potrawach wzbudzała potok uczuć rozkosznych i w czasie narady rodzinnéj nad składem następnego obiadu, gdy kto wymienił którą z nich, energia zjawiała się: szczęki, usta, język i płuca, działając szybciéj, wydawały okrzyk: „niech będzie zupa! niech będzie barszcz!“ Nie dziw, że gdy klucznica, niecierpiana przez służbę, otrzymawszy grubiańskie słowo od Tarasa, biegła zadyszana do państwa na skargę i przez zemstę oskarżała go o zaniedbanie inspektów, o mizerność pomidorów, kalafiorów i kaparów lub ich znikanie; błyskawice krzyżowały się na twarzy pana, a pierś wydymało oburzenie. Wtedy do uszu Tarasowych takie wpadały słowa:

— Po jakiemu pilnujesz ogrodu? Za co ci ja płacę ośmdziesiąt rubli? żeby mi włoszczyznę rozkradano?

— Ależ, wielmożny panie... ja zawsze naglądam... Noc i dzień. Albo to nie dobro pańskie, czy co? To panna Wysokińska, widać, ze złości nałgała na mnie. Ja, doprawdy...

— Dość! Nie ubliżać mi pannie ochmistrzyni! Rozumiész, Tarasie?

— *Bih że mij*! kiedyż bo...

— Mówię: dość, to dość! Pamiętaj, com powiedział, bo pójdziesz precz!

Taras był hardy, więc, wychodząc z pałacu, plunął i zaklął: „Dyable syny! Lichož was wié, jak wam dogodzić?“ Z gniewem wchodził do ogrodu i dopiero gdy poczuł woń ziół, ujrzał zielony aksamit murawy przed sobą, a pojednawczo wyciągnięte konary nad sobą, i szmer lekki w górze, brzęczenie owadów — żal z piersi uciekał w bezmiar pól, on zaś spoglądał wesoło na swe stare znajome, grusze przysadkowate i jabłonie wymalowane wapnem, myślał czegoś uparcie o świniach gromadzkich, z błotem zaschłém po bokach, i potém niespokojnie biegł na skłon jaru, oddzielającego sad od wsi. Tam widział świnie chłopskie ubabrane w glinie szaréj, zmykające z żachaniem przed nim.

W tym światku liści, gałęzi, korzeni i owoców był Taras dodatkiem do sił natury. Gdyby jednakże nie potrzebował sam jeść, nie byłby nim i państwu nie przysporzyłby owoców na wety po zupie pomidorowéj i barszczu. Na to właśnie on męczył swe członki w czasie sprawiania ziemi pod ogrodowiznę. Gdy wrzucił nasienie i zagrzebał „wysadki“, rosło pod okiem przyrody - rodzicielki, on zaś późniéj tylko czuwał, żeby skądkolwiek i jacykolwiek szkodnicy nie wtargnęli czasem. Dalsze losy tych istot, obdarzonych liśćmi i korzeńmi, nie od niego zależały. Pamięć trudów poniesionych, nadwerężonych rydlów i złamanych grabi, zająwszy sporo miejsca w jego duszy, pozwalała mu myśléć, że brał udział. Tymczasem tuż dokoła niego przyroda swojemi sposobami działała, jemu tajemniczą twarz pokazując. Z całego miliona prawd wydartych pracą myśli i dających pewność czynom innych ludzi, stojących powyżéj, jemu, ogrodnikowi dworskiemu, znane były najpłytsze, zapisane w spuściźnie po ojcach. Wiedział, że w marcu „soki“ zaczynały krążyć w drzewach, ale nie umiał sobie wytłomaczyć, czemu na wiosnę pączki pękały, choć rozumiał, że gdy nagle pochłodniało, powolniej listki rosły, i jeśli słońce przygrzewało, a deszczu nie było, więdło wszystko na grzędzie.

Bosy, w szarawarach szerokich, bufiastych, z płótna, chodził od drzewka do drzewka, strzegąc owoców dojrzewających przed dziećmi chłopskiemi, co czyhały za wałem, najeżonym tarniną. W dni letnie, odniósłszy kosz jarzyn do kuchni i nie mając nic lepszego do roboty, Taras kładł się pod jabłonią lub gruszą. Z nieba spadały promienie słoneczne południowe i znużenie ciężkie zdejmowało cały sad. Powietrze leniwe ledwie przepływało poprzez konary i liście drzew, posyłając do uszu Tarasa lekki szmer wiatru. Bezmiar pól, rozciągający się hen! po za ogrodem i dworem i zamglony na krańcach swych niedościgłych oku, ze sklepieniem blado-błękitném, rozpiętém nad nim—stały tknięte niemocą. Leżąc twarzą do góry i schowany w cieniu, lubił Taras patrzéć na pokrajane siatką liści kawałki czystego, niby z kurzu opłókanego błękitu. Obok rozściełała się trawa bujna, soczysta i zielona, słońce ją przygrzewało i wtedy ta gęstwa, z jaskrów, podróżnika i tymianu złożona, kipiała życiem. Rozlegał się skrzypiąco-drżący chór weselny zielonoudych koników polnych. W mózgu Tarasowym zmieniały się bezładnie obrazy, budzone przez to wszystko, co dochodziło jego uszu i oczu. Przesunęła się chata jego bobyla za kołowrotem z sadem wiśniowym i zniknęła, przemknęło widmo Chwedosi z niemowlęciem uśpioném w kołysce, przykrytéj płachtą białą i porzuconéj na zagonie cudzym, gdzie żona zarabiała wiązaniem pszenicy,

smutną pieśń głosem piskliwym zawodząc—i przepadło, zaświeciła twarz pana, wyliczającego pieniądze—i ukryła się w pokojach... Słońce grzało, koniki i świerszcze strzekotały, a motyle różnobarwne, zmęczone ściganiem się, spoczywały pojedynczo i parami na pstrzących murawę, koronach kwiatów, opylone proszkiem żółtym i wachlujące się. Taras podpędzał tok myśli i uczuć nuceniem jakiegoś tropaka, który mu roje wspomnień z rozrywek świątecznych nawiewał, a potém urwał, zasłuchawszy się w gędżbę, w trawie rozlegającą się i taką rozmowę z grajkami łąki wiódł:

— „Grajcie, grajcie! Wesel się, szarańczo obmierzła. Nie długo tego! Jutro wam koniec... skoszę ze szczętem, a trawę sobie zabiorę... Pan pozwolił, trzeba brać! W zimie będzie czém krowy nakarmić... Oj, toż to czmychać będziecie!.. Aha, czmychajcie, hultaje, trajkoty!.. W jarze wasze miejsce. Tutaj panienki przyjdą zaraz żréć truskawki i maliny. Wskoczy który z was, długorogi, za kołnierz, drapnie swoją szorstką łapą skórkę delikatną—biéda! Hałasu tu, strach, jakiego narobią!.. A ten guwerner, co to jemu oczki się śmieją do panny, poskoczy ku niéj: „co się stało? co się stało?“— „aj, konik, konik mi wlazł, panie Henryku!“—„niech pani pozwoli, panno Julio, ja zaraz!“ A psiaż twoja jucha! Ty „zaraz“. Oj, znam ja twoje „zaraz“; oczy ci omało na wierzch nie wylezą od lubości! Słodko ci pod żebrem się zrobi, jak po miodzie, kiéj ino dotkniesz sukni panienki... Mało ci „mołodyć“, co w nocy do oficyn przychodzą?.. Ej, ta Julcia!.. I jéj by już czas za mąż... spali się biedaczka, zatęskni... Tu ziewnął i przeciągnął się smacznie. Oj, pany, pany, jak wam dobrze!..

I przesuwały się przed nim obrazy dobrobytu tych, co mieszkali w pałacu. „Jak tam, w sali dużéj, ładnie!“ Kiedy przechodząc z gracą mimo pałacu, zaglądał zdala w głąb przeze drzwi szklane, widział, lśniącą się posadzkę, miękkie sofy w kątach poustawiane, stoliki, fortepian, świeczniki sterczące ze ścian, obitych okazale, i pająk zwieszający się z pułapu, paniczów chodzących zgrabnie po téj sali, panienki, co pobrawszy się pod ręce, przebiegały w szerz i wzdłuż; porównywał wtedy z tém swoję chatę ciasną, niską i gliną wymaszczoną, z małém okienkiem, dymną od spalonéj słomy. Porównywał i onieśmielony, smutny, oglądając się trwożnie na okna, oddalał się do roboty, myśląc: „jak im dobrze żyć na świecie, nie robią nic, a mają wszystko“. Bywało stoi w alei pod sklepieniem dębów i lip, z twarzą swą smagłą, spaloną, obrośnięty czarno i gęsto, w jednéj koszuli i szarawarach obszernych, kołyszących się niesfornie za poruszeniem, stoi wsparty na rękojeści gracy, spogląda w zwężającą się dal ulicy ogrodzonéj szaremi pniami drzew, zawalo-

néj u dołu kupami trawy więdnącéj, którą dopiero co powyplenial i zostawił za sobą, spogląda, rad, że rychło skończy, a pierś mu wydyma się, wyzierając z pod koszuli czerwona, włochata i mokra. Pot wystąpił kroplami na czole, bo to lipiec, dyszé, a nozdrza drgają. Znudzone graniem i książkami, biegną panny użyć ruchu przed obiadem: „Tarasie, kochanie, serce powóź nas łódką, my się boimy „same“! Ładne były, wdzięczne i zwinne, jak wiewiórki, skórę miały na twarzy i rękach białą i gładką. Praca w polu, promienie słoneczne, rażące ze stropu błękitnego, i wiatr—oszczędziły je... Taras doznał uczuć płciowych, zmieszanych z zawiścią klasową, zapisaną przez dziadów i utajoną gdzieś w przepaściach duszy. „Nie mogę, panienki, trzeba gracować! Któż za mnie zrobi? Pan złaje!“— „Nic to! nie złaje, wieź nas!“ — Siedział w łodzi, a przed nim panny rumiane, wesołe, kapeluszami szerokoskrzydłemi osłonięte. Robił wiosłem, barczysty, silny, a twarz mu ciemniała od dopływu krwi gorącéj. Łódź mknęła ku oczeretom, od których mdła i dławiąca szła woń. Panny dziwiły się, że on taki mocny. Gadały z sobą po francusku, czuł, że o nim. A on, hardy, strzelając okiem po twarzyczkach ich i po wodzie, szeptał sobie: ej, wy, laszki, laszki! czas by wam za mąż!“ Wrócił ze stawu i znowu gracuje. Idzie pan nachmurzony czegoś. — „Śpisz, hultaju, czy co, po całych dniach? Mówiłem, że jutro goście zjadą! Nająłeś się, to służ!“ — „Ej, wy, białorękie!.. to z waszéj winy!“

— Taras, o, Taras! A zbudź się no ino! Śpi, jak kloc... Nuże wstań! Rzekłbyś, że po czarce już!

Nad nim stała Chwedosia, jego żona, z dzieckiem na ręku. Postawiła garnki ze strawą, a sama z twarzą stroskaną, fałdującą się w zmarszczki, pomimo lat dziewiętnastu — usiadła na trawie. Była córką bobyla, przed zamążpójściem swojém chodziła do dworu prać bieliznę i niańczyć pańskie dzieci. Powierzchowność miała pociągającą, rysy drobne, szczupłe biodra i barki, jak u wielu dziewcząt téj wsi. Sypiając w jednéj izbie ze starszymi, nieraz widziała objawy ich miłości niekrępowanéj i nagiéj, rozumiejąc wszystko... Taras ją dostał nietkniętą. W okresie budzących się pragnień krwi była wolną od pokus i napaści we dworze, dzięki niedojrzałości paniczów...

Siedzieli oboje na trawie i łyżkami drewnianemi jedli swą strawę, barszcz ze starą gorzką szperką i kaszą, spożywając dużo chleba razowego za każdém przełknięciem.

— Cóż tutaj słychać?

— A cóż?... zwyczajnie we dworze.... Ot, goście przyjadą jutro.

— Może swaty do panienki któréj?...

— A kaduk ich wie....

— Oj, pora, pora.... Im bardzo potrzeba mężów. Jak jestem na pokojach, panna Julia ciągle mię wypytuje: „a co tam, a jak tam bywa po ślubie?“ Ciekawość, uważasz.

— He, he, he... I ty opowiadasz?

— A juści! — opowiadam. — Ona słucha tak chciwie, że aż strach!...

— Cóż tam u nas? u ludzi? Jałówka nie kuleje?

— Bogać tam kuluje... O ludzi wolałbyś nie pytać... Ty, serce, służysz tutaj w ogrodzie, a tam na wsi przeklinają twoje imię. „Nie dość—powiadają — że pomaga nasze świnie łapać na pańskiéj grzędzie, ale dzieci nasze dźga kijem, dyabli syn!“ — Cóż on winien? — powiadam—na czyim wózku siedzi, tego piosnkę śpiewać musi, toć jego zarobek.“ — „Aha, zarobek! — prawi.—Przecież kruk krukowi oka nie dziobie, a on dla pana o swoich zapomina! Mógłby za ucho malca, powiada, wytargać i tyle. Wielka biéda, że głupie dziecko zerwie kilka gruszek! Pan, powiada, przez to nie zubożeje!“—„Ależ my bobyle chudzi, a pan odegnałby nas za nieposłuszeństwo!“—„Ej, zaprzedaliście się dworowi, powiada, was by po za kołowrot nie puszczać!“

— Hm, psy zajadłe! Któryż to tak złość spędzał?

— A ten że, jak jego... Roman Dribny?

— Aa, tak? On już taki z rodu... Zawsze najgłośniejszy we wsi... I „ometrów“ się ongi nie uląkł, choć w turmie posiedział.... Cóż tam więcéj?

— A nic... zwyczajnie.

— Hm, tak ci to ono niby, jak ten mówił... Może i słusznie gada Dribny....

Taras nie zawsze tak sobie legiwał w cieniu. W czasie żniwa zdawał ogród opiece Kuby, a sam ruszał z kosą na łany pszenicy pańskiéj. Kuba zaś był-to chłopiec do pomocy przy kuchni, a z rana pod okiem klucznicy grzał śmietankę do kawy dla państwa. W wolnych chwilach odbiegał kuchni i zaglądał do sadu, żeby zjeść gruszek i pogawędzić z Tarasem, bo lubił go. Wtedy ten mówił do niego: „Popilnuj, Kubo, sadu, a ja pójdę ukosić trochę pszenicy pańskiéj. Widzisz, serce, od przybytku głowa nie boli. Wpadnie do kieszeni kilka złotych—przydadzą się.“ — „Dobrze, kumie, popilnujemy — odpowiadał chłopiec żartobliwie.“ — „Bóg zapłać! Ale jaki ja ci kum, młokosie?“ Imał w garść kosę i ochoczy, z uczuciem dzielności w sobie szedł na łan falujący złotokłosą pszenicą. Tam zmięszany z bobylami innych wsi lub z uboższymi gospodarzami Wilszanki, zatapiał kosę w gęstwinę zbożową i zamachami sążnio-

wemi kładł za sobą warstwy grube. Z początku czuł przyjemność w tém wytężaniu się rąk, nóg i mięśni grzbietowych, późniéj znużenie ogarniało jego ciało i ochota odlatywała kędyś. Szedł wzdłuż z swą kosą grabiastą, wracał, skąd rozpoczął, żeby znów rznąć naprzód — i ciągle pomykał wszerz. W ten sposób za dwie godziny zmiatał przeszło morgę.

— Hej, hej, powoli!.. naderwiesz się! — krzyczeli na niego ludzie. Nie śpiesz się, mołojcze, do zachodu daleko! Siły szkoda.... Dla swojéj zagrody zachowaj ją!

— Ot, głupi naród! Albo ja pódziennik, jak wy?

— A któżeś?

— Nie tykajcie go! On posztuczny!

— Ho, ho, patrzcie mi go, jaki posztucznik!

— Pi, pi, pi, jaki ci *posnopnik*!

— He, he... patrzcie no ino, jak on się nadrywa!

— I dla kogo?

— Zmiataj, zmiataj!.. żywo!

— Co machnie, to kopica.

A Taras na to odpowiadał: „ot, głupi naród.“

III.

We dworze wilszańskim nie sam tylko Taras Harny służył. Zastał tam swych sąsiadów z za kołowrotu: Antina Puhacza i Musija Wilszańca. Ze ścierką na ramieniu, w pewnych godzinach zjawiać się musiał Antin w pałacu. Były to urocze godziny śniadania, obiadu, podwieczorku i kolacyi. Najcięższéj uczuwał czas imienin i świąt różnych. Stół oblegają goście, a on obnosi półmiski. Rzecz trudna dla nowicyusza-chłopa. Nim od poczesnego końca dojdzie do szarego, nie czuje siebie i potém rzęsistym się oblewa. Przykrości doznane wyrażał przed towarzyszami zwięzłem: „psia służba!“ Chłopiec ten po za pałacem roztropny i przebiegły z wejrzenia, głupiał naraz. Mięszał go widok tylu twarzy białych, delikatnych i tylu wejrzeń śmiałych i swobodnych. Odurzony, tracił chwilami przytomność. Drżący, co chwila jakiś ruch niewłaściwy wykonywał. Przed panią łyżki nie położył, panience talerza zapomniał podać, tam serwetę zrzucił komuś, ówdzie wywrócił szklankę z wodą. Pan marszczy brwi, ale przyzwoitość nie pozwala mu fuknąć gwałtownie. Antin to widzi i, nieraz łajany, czuje, że w powietrzu rychło się rozlegnie nagana. Więc coraz niezgrabniéj się sprawuje. Nic! Nic go złego nie spotkało. Po wybornéj zupie i smakowitéj pieczeni pan skłonniejszym jest raczéj do żartów, niż do gniewu. Opowiada

gościom, że jego lokaj nie zawsze bywa taki głupi, tylko dziś, bo spał za długo i nie może „tumanu“ spędzić z mózgu.

— Antoni! — woła.

Ten stoi u progu, niski, z długim tułowem na krótkich nogach, w kurtce odświętnéj, niepodpasanéj. Brodę podparł palcem, a oczy czarne, roztargnione bezmyślnie, utkwił w stół i biesiadników. W duszy tymczasem, jak na jarmarku: coś się porusza, przeszkadza sobie wzajemnie, depce jedno, drugie....

— Antoni! — woła pan głośniéj.

Posłyszał nareszcie i drgnął, wstrząsając nogawice szerokie.

— Aha... hm... Co panie?—pyta głosem niepełnym, złamanym.

— Śpisz?

Odchrząknął nieborak.

— Ja, panie?.. Nie.

— Ależ tak, tak! śpisz! Myślisz sobie, że w kredensie na łóżku leżysz. Słońce wysoko już w zęby ci grzeje... Smaczno! dalejże na drugi bok — do południa.

Zabrakło wątku, a w brzuchu błogo, więc wszyscy się śmieją z żartu. Antin wtóruje, lecz myśli inaczéj: „Oj, spałem ci ja, prawda! Bodajeście wy tak spali! Da ci spać wasza klucznica, akurat, spodziewaj się!“.

Takim był z początku. Z czasem nabrał roztropności i nawet wobec gości usługiwał zręcznie. Z chłopa wyszedł na pojętnego lokaja. Hojnym nadskakiwał i czapkował, z chłystków drwił półgłosem: „Oj, biedactwo! W dziady wam iść, a nie po panach jeździć i panów udawać!“ Takim i objawów grubiaństwa nie skąpił. Chociaż w tym kraju rzadko kto nie był szczodrobliwym, każdy tam lubił oznaki pokory, zachwytu i uwielbienia, okazywane sobie. Hojność najskuteczniéj wywoływała je. Stawali wtedy twarzą w twarz wspaniałomyślni i pokorni. Jedni rzucali wyniośle dwuzłotówki, drudzy zaś płacili im za to korną postawą, zgiętą w kabłąk od wdzięczności, lub całowaniem rąk.

Jaka jawa, takie sny. Doszło do tego, że we śnie trapiły go zmory lokajstwa. Opowiadał czasem Tarasowi i Musijowi swoje przygody senne.

Obejmie biały słup talerzy, przesuwa się z nim ścieżką śród krzewów od kuchni do kredensu, biega do jadalni i powraca, a na Kubę krzyczy: „żwawiéj, żwawiéj! czy nie wiész, że czekają?“ — „Niech czekają — odpowiada rezolutnie Kuba zniecierpliwiony. Nie pomrą z głodu!“ On za to gderze. On lubi gderać na Kubę, swego pomocnika, bo przecie kazano mu tresować go na lokaja. Przyjemnie to jest czasem fuknąć głośniéj i spędzić żółć nawrzałą.

Gdyby to można rozerwać się na sztuki, tak, żeby każda z nich robiła swoje, prędzéj by szło! I zdaje mu się, że rozpadł się na sztuki, jak padalec pod kijem, i każda z nich robi coś. Ma kilka rąk, kilka głów, oczu i uszu więcéj niż zwykle. W tém czuje kurcz w kolanach i drganie w nogach, a spodowi stopy bosé j coś się opiera. Na szczotkach stoi i ślizga się po téj jasnéj, dużéj, z błyszczącym pająkiem u pułapu sali. Mknie, jak po lodzie, powstrzymać nie może biegu. Pewnikiem szklane drzwi rozsadzi, państwo pobudzi łoskotem i sam z rozpłatanym łbem do ogrodu wyleci, tratując kwiaty w kląbie. Nie, do stawu wpadł! Tfu! gdzie pałac, a gdzie staw—hen! precz w jarze?... Całém ciałem drgnął, padając, i krzyknął. Znowu zasnął, a pasmo widziadeł dziwnych wlokło się daleko. Stoi w wodzie, nie pomnąc już, gdzie szarawary mu się zapodziały i reszta ubrania.... Wié tylko, że gorąco i musi co chwila głowę zanurzać, a strumienie się leją z czupryny. Rozkoszuje się ochłodą przyjemną. „Antoni, Antoni!—bieży piskliwy głos klucznicy po ogrodzie—a nie pójdziesz tam? Zapomniałeś, że do stołu dawać trzeba?“ — „Bodajże was pioruny, syny biesa! — klnie na czém świat stoi. Wykąpać się nie dadzą!“ Ale gdzież to on idzie tak, jak go matka powiła? Do sali... Ztamtąd wpadł do stawu, tam musiały spodnie zostać i koszula.... Ktoś wiosłem pluska. Patrzy — panicz płynie łódką. Przewiesił strzelbę na ramię, buty ma okrutnie zabłocone, a w samym „nosie“ czółna, niby żagiel, na biczysku furmana Ostapa, powiewa jego koszula i dwie nogawice bujają z dyndającemi szczotkami. Wszelki duch... Czary, czy co? — „Nie czary!—odpowiada panicz, rzuciwszy wiosła na brzeg—tylko ot mi zaraz oczyść buty, bo jadę konno!“— „Aha, dobrze—myśli sobie—spodziewaj się! Kuba wyczyści, bo mój pomocnik.“ Spoziera w stronę kuchni, aż tu ci Kuba dźwiga wazę z zupą. „Zaczekaj, obwiesiu, woła.—To do mnie należy!“ Odebrał i sam niesie. Zupa się dymi porządnie, aż ślina rośnie mu w gębie i musi ją połykać, jak wodę. Ale czemuż to nogi nie służą? Źle! Upił się... Święto, więc pohulał sobie na wsi. „Ostrożnie! — pan huknie—upuścisz! No, i upuściłeś!... Ej, pijany jesteś, kotku!“ Drży, jak liść, i dziwi się, że stłuczona waza stoi, a klucznica czerpie z niéj warząchwią...

Pomimo całych niedogodności obowiązków kamerdynera i uczuć nieprzyjaźni, żywionych na dnie duszy względem państwa, jeszczeby zapłakał Antin, gdyby nagle wydalono go ze dworu. Taka jest siła nawyknień. Ciężko lokajować, ale okruch ze stołu pańskiego smakiem wabi i osładza.

Musij Wilszaneć w porównaniu do Antina miał szlachetniejsze zajęcie: był żywicielem mieszkańców pałacu. Prócz tego, zakres

jego służby nie wyrabiał w nim służalczéj strony charakteru. Nie stał ciągle na oku pańskiém. Zasłonięty ścianami kuchni, odległéj od pałacu o sto kilkadziesiąt kroków i odgrodzonéj dwoma kląbami kasztanów, spełniał czynności swoje, nie zatracając wrodzonéj sobie hardości. Nieraz sama pani, naganiwszy go za co, musiała wysłuchać szyderczych uwag o swéj spiżarni. Z rana szedł do gabinetu pana po dyspozycyą. Dziedzic znał się na kuchni i dysponował sam obiady. Musij ze swą twarzą smagłą o czarnym i krótkim zaroście, w siermiędze tabaczkowéj, stawał u progu i słuchał rozkazów, spozierając chmurnie z podełba. Wróciwszy do kuchni, napełniał ją niebawem iście janczarską muzyką. Rozlegał się wtedy rytmiczny, ostry stukot nożów, siekających mięso, lub głuchy łoskot wałka, dającego razy polędwicy, przeznaczonéj na befsztyk. Naczynia kuchenne, poustawiane na stole, wstrząsane, wydawały przeróżne dźwięki. Młode kuraki, skazane na pieczyste, piały niezręcznie lub czubiły się tuż pod nogami Musija, roniąc obficie pierze i krwawiąc sobie grzebienie. Rądle wrzały, parskając, rozpalona płyta od spadających na nią kropel syczała, patelnie skwierczały W powietrzu zawisły zapachy cebuli, pietruszki, mięsa przysmalonego i tłuszczu. A główną sprężynę tego życia kuchennego, Musija, pot oblewa rzęsisty. Każdy pobyt gości zawsze daje się we znaki służbie. Wiele rzeczy wtedy trzeba zrobić śpieszniéj, lepiéj i okazaléj, kosztem szybszych, częstszych i rozumniejszych poruszeń. Temu towarzyszy nieraz większa niezręczność, zbyteczne lub nieodpowiednie czynności, ściągające gniew tego, dla kogo są wykonywane. I Musija spotykała w takich chwilach ostrzejsza nagana. Zwykle zaś spokojniéj i prościéj pracował u płyty. Ponieważ miał dużo fantazyi, prędko u niego rozdrażnienie, właściwe kucharzom i kucharkom, przechodziło w złośliwy dowcip, czepiający się obyczaju pańskiego. Gdyby ucho pani lub panienki podsłuchało kiedy, co tam za rozmowy prowadził z Kubą, przykroby się im zrobiło. Cały wykwintny tryb życia pańskiego, wyższy nabytek cywilizacyi, podlegał niemiłosiernéj, szyderczéj ich krytyce. Było w niéj dużo odwiecznéj zawiści i nieprzyjaźni „młodszéj braci“, atoli i prawdy niemiłéj wiele. Panna Julia mogłaby poświadczyć to. W godzinach przedobiednich, z książką rozpalającą krew, siadywała w altance nieopodal kuchni. Razu jednego słyszy rozmowę Musija z Kubą:

— Leć po wodę! — mówi pierwszy. — Tylko żywo!

— Na co tobie, diad'ku, woda?

— Coś ty zgłupiał? nie wiesz, że szparagi nie płókane?

— Dobrze zaraz, tylko powiedzcie mi, diad'ku Musiju, co tam pany za smak znajdują w tych korzeniach? Przecież to korzenie!

— Głupi! A burak, nie korzeń? a rzodkiew?

— Juści tak...

— Po cóż pytasz? Ot, nie zawracaj głowy, tylko idź po wodę!

— Dobrze zaraz, tylko powiedzcie mi, wy to lepiéj znacie, wy chytry człowiek, co oni mają inny język, niż nasz brat chłop?

— Ozór ci oni mają taki sam, tylko widzisz dogadzają sobie. Ubogi człowiek tego nie potrafi. Tybyś potrafił?

— Juści to smaczne musi być....

— Oj, oj! Jak się najedzą tych łakotek, to ci potém chodzą niby lalki, zwyczajnie na dobréj strawie i na próżniactwie. Nie orzą, nie sieją, nie żną, cepa do ręki nie biorą, ot ci i mają czas zmyślać różne jedzenia, jakie się człowiekowi nie śniły. Z miasta przywożą wszelakie nowości, nad któremi potém łam sobie głowę i poć się, jeśli nie chcesz stracić zarobku... Na tém ich państwo, a ozór ci oni mają taki sam, tylko delikatniejszy....

Niepokój niepojęty ogarniał panienkę na takie wyrazy. Pomimo swych zasad demokratycznych, czuła się bardziéj jeszcze istotą z innego świata, skrzywdzonego wraz z nią rozmową dwóch chłopów. „Chciałaby wtedy uciec, uszy zatknąć lub zatrzéć w pamięci brzęczenie owych zdań ohydnych“—wyrażała się późniéj przed kimś.

Równie Taras, jak jego obaj towarzysze, prócz płacy, mogli jeszcze kosić sobie trawę po zakątkach ogrodu dworskiego. Żeby słuszności nie uwłóczyć, poodgraniczali się. Do Antina należał trawnik kolisty, zieleniejący przed pałacem, i brzegi kląbów kasztanowych, do Musija zaś—murawa rozścielająca się za kuchnią, część pochyłości jaru, zbiegająca ku stawowi, i niektóre miejsca pomiędzy krzakami i drzewami w ogrodzie. Trawa tu była zawsze bujna i pełna jaskrów, dzięcieliny, groszków i gwoździków dzikich, podróżnika, tymotejki, „mietlicy“ i przeróżnych roślin innych. Dla bydła stanowiła ona wyśmienitą karm’, a że szybko odrastała, mogła być kilkakrotnie koszoną do roku. Mieli więc po kilkadziesiąt pudów siana, pan zaś—porządek na dziedzińcu i w ogrodzie. W chwilach kradzionych zajęciu obowiązkowemu—kosili, najmniejszemu źdźbłu, ukrytemu w krzakach, nie darowując. Trzeba było widziéć kucharza, gdy gniewem uniesiony, klął od „bezwstydników“ ludzi, szpecących trawę w ustronnych miejscach... Antina, złorzeczącego psom za ślady tanów miłosnych pozostawiane na bujnéj, zielonéj murawie! Ten gnębił ich wedle możności. Bywało, cała zgraja weselna psów przybłędów, rozskomlona i warcząca, dyabeł wie, skąd zjawia się i sadzi trawnikami, w pląsach nieprzystojnych...

— Będziecież wy tutaj długo swadźby zwodzić?... A niemoc wam ciężka!.. Ot wam...

Drąg leci na wędrowną hałastrę i trafia, nastaje ucieczka ze skowytaniem i podtuleniem ogonów.

— Dam ja wam, pokurcze! Pod samemi oknami... żeby panienki się wstydziły...

Najczęściej nie w porę niszczył widowisko, właśnie w chwili, gdy budziło uwagę... Nieraz, i ślepego naboju szkodnikom nie poskąpił. „Za co Antin je bije?“ — bywało pytają go panny. — „Ej, panienki drogie, wstyd powiedzieć“... zbywał je.

Gdy w pałacu obiad skończono, służba resztek dogryzała. W czasie posilania się wiedli rozmowę o państwie, nie skąpiąc mu złośliwości. Co który dojrzał na pokojach i przedumał w czasie roboty, śpieszył wypowiedzieć. Posiliwszy się, opuszczali duszną kuchnię. Z krzywemi cybuchami w ustach wyprostowywali swe ciała na trawie i brzuchem do ziemi, a plecami do nieba, chłodzili się w cieniu drzew. Gdy tak leżeli, czkawka im przerywała leniwą rozmowę. W powietrzu spiekota i cisza. Ze wsi, tuż za pałacem, ani żywego głosu, bo wszyscy w polu. Obszary wokoło dworu tak wielkie i równe, że słowa ludzi, zgiętych przy pracy, rzucone w przestrzeń, nie obiwszy się o nic, bezsilne, zamierają, nim dolecą ucha. Tylko tuż zaraz, śród kłąbów, po dziupłach, puszczyki przeraźliwym jękiem rozdzierają chwilami powietrze uśpione, pałające i przesiąkłe wonią siana skoszonego świeżo na dziedzińcu. Pod samym nosem Musija kilka ździebeł pszenicy rośnie z ziaren, zaniesionych wiatrem od śpichrza. Jedne kłosy, nalane ślicznie, aż zwisły pod brzemieniem, a inne chude i lekkie, sterczą prosto i dumnie.

— Patrzcie, ludzie! — ozwał się Musij, pykając i budząc innych z ospałości — te kłosy co wam przypominają?

— Co mają przypominać?.. Kłosy — i tyle!

— Nieprawda! Ja wam powiem... Te, co tak czupurnie i hardo spoglądają w górę — to pany, a tamte zgarbione — to nasz brat, cham...

— A prawda! — wykrzyknął Kuba.—To ci ma gębę ten Musij!

— Juści gębacz dobry — cedził Antin — jednakże nie dogodziłeś dziś, bo u stołu krzywiono się, żeś przypalił pieczeń. Panienka talerz odsunęła, panicz także... Choć, co prawda, błogosławiłem ciebie, Musiju, za to, bo człek się pożywił przynajmniéj...

— Niech dają masła więcéj, to nie przypalę... Psia służba!. Służ panu wiernie, a on tobie...

Panienki białolice, delikatne i postrojone gustownie, pobrawszy się pod ręce, przechodziły około trawnika. Spostrzegły chłopów tylu i zmięszały się bojaźliwie. Zapytały, gdzie Taras, i odeszły śpiesznie ku pałacowi, czując ich wejrzenia na plecach swoich i do-

rabiając w wyobraźni ich śmiech szyderczy, stłumiony. Instynktem czuły one w chłopach wrogów utajonych. Wczoraj miały nie miłe zajście podczas przechadzki w jarze. Same poszły i wystawiły się na obelgę niespodziewaną. Kilku kosiarzy, przechodząc mimo, z kosami błyszczącemi na ramieniu, śmieli zawołać: „Oj, panienki, jagódki, a pójdźmy poigrać!...“

W sobotę ‚wieczorem, gdy w gabinecie zatopionym szarym zmierzchem z kąta, gdzie stała miękka, skórą wybita sofa, błyskał ogieniek fajki pana dziedzica, wygodnie spoczywającego, otwierały się drzwi i u progu stawało dwóch ludzi, nieśmiało poruszających członkami.

— Kto tam? — ozywała się sofa głosem dziedzica.

— To my! — odpowiadali chórem Antin z Tarasem.

— A co to? do karczmy zachciało się?

— Wartoby chałupinę odwiedzić... wielmożny panie!

— Któż we dworze zostanie?

— Tymczasem Kuba może.

— No, a cóż z sadem będzie? Pokradną.

— Ii, wielmożny panie — tłómaczył Antin za Tarasa. Toć dzień, nie noc... Kuba dojrzy.

Po chwilowém milczeniu następowało zezwolenie pana z dodatkiem: „ino mi trzeżwo wrócić!“ Tylko kucharz Musij nie udawał się o urlop do dziedzica, bo raz na zawsze wolno mu było wracać na noc do domu, chyba że w powietrzu słota wisiała, a po drodze rozmokłéj ciężko się szło. Wtedy sypiał we dworze.

(*d. c. n.*) *Zygmunt Pietkiewicz* (*Komar*).





POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA W ANGLII.

IV. POWIEŚĆ SATYRYCZNA.

Justyn Mac Carthy.

Thackeray umarł lat dwadzieścia trzy temu. Mógłbym podobno, bez niczyjéj wielkiéj krzywdy, zamknąć niniejszy rozdział tą nekrologiczną wzmianką. Autor powieści pod tyt. „Donna Quixote“ i „Miss Misanthrope“ odstręcza mnie przecież od takowego postanowienia. Nie iżby powieści te odpowiadały w całości, albo nawet w części oczekiwaniom obudzonym przez ich tytuł. Autor obiecał— drugim i sobie samemu — za wiele. Odtworzyć nieśmiertelną epopeję hiszpańskiego satyryka w zastosowaniu do niewieścich ideałów; przepisać w ten sam sposób Moliera, co za temat! Mac Carthy potrącił oń tylko. Jego „Donna Quixote“ jest dość pospolitą ciepłą wdówką, która stawszy się, w skutku małżeństwa *in extremis* dokonanego, panią swoich czynów i dość znacznéj fortuny w 19-tym roku życia, marzy o poświęceniu swéj niezależności i swych dostatków romantycznéj naprawie błędów i krzywd ludzkości, ale nie wiele naprawiwszy i nie stoczywszy nawet jednéj walki jak się należy z wiatrakiem, składa swój wojenny rynsztunek u nóg pierwszego młodzieńca napotkanego na pierwszym zakręcie drogi. Jego „Miss Misantrophe“ słabą jest w swéj nienawiści do ludzi, a nader szybką w powzięciu wręcz przeciwnego uczucia dla innego młodzieńca, którego nic tak bardzo nie zaleca jéj względom.

Ale jest w tych powieściach co innego, o czém autor nie pomyślał może, zabierając się do ich napisania, ale w czém instynkt jego satyryczny wyręczył jego wyobraźnię. Są pojedyncze typy i sceny i obrazy, żywcem uchwycone, pewnych sfer i grup społecznych, które okupują dość ubogą skądinąd treść jego utworów. Polityka

i rzeczy jéj trzymają najwięcéj miejsca w tych humorystycznych obrazowaniach. Nawet kiedy nie pisze on specyalnie politycznéj powieści (jak w „The right Honourable“ np.), Mac Carthy nie może zapomnieć, że jest członkiem parlamentu. *Major Leven*, którego rola w powieści p. t. „Donna Quixote“ pozostaje zresztą nieoznaczoną do końca, nie wszedł dotąd do parlamentu, ale próbował mało dwadzieścia razy. Za każdym razem stanęło mu na wstręcie bądź to, że dał się nakłonić do tracenia czasu i pieniędzy na stawienie swojéj kandydatury tam, gdzie nikt inny zastąpić by go nie chciał, bądź to znowu, że nastręczyła mu się zawsze jakaś osobliwa „krzywda“, dla upomnienia się o którą właśnie oświadczał chęć zyskania poszukiwanego przez się mandatu, a o którą żaden wyborca właśnie na włos dbać nie chciał. „Przywódcy stronnictw przeklinali go między sobą, właził im bowiem wszędzie w drogę, niwecząc ułożone w sztabie głównym kombinacye i rozbijając wyborcze kolegiatury. Zdarzała li się gdziekolwiek kompetycya, zostawiająca przedstawicielowi jego własnego stronnictwa nadzieję uzyskania szczupłéj większości, można było pewnym się mienić, że *Major Leven* zjawi się w ostatniéj chwili z jakąś sprawą, kwestyą czy „krzywdą“, zgoła obojętną dla całego stronnictwa, z któréj uczyni sobie platformę polityczną na to tylko, aby odciągnąć od większości liczbę głosów potrzebną do zapewnienia zwycięstwa przeciwnikowi. A niechże się trafiła zagraniczna czy kolonialna komplikacya, wprowadzająca w kłopot politykę gabinetową! Mniejsza o to, do jakiego stronnictwa gabinet należał, *Major Leven* tak czy siak występował natychmiast z pamfletem, w którym za pomocą imponującéj erudycyi lokalnéj, udawadniał przekonywająco, że ministrowie Jéj Kr. Mości popsuli całą sprawę od początku do końca; że ich urzędowi doradcy nie potrafili widocznie wyszukać nawet na mapie okolic, będących przedmiotem nastręczającéj się trudności; że nikt w żadném z biur rządowych nie ma wyobrażenia o którymkolwiek z języków, których znajomość potrzebną się okazuje w tym przypadku; że on, *Major Leven*, przewidział dokładnie, w pamflecie napisanym przed dziesięcioma laty, wszystko co zdarzyło się obecnie“ i t. d.

„W prywatném życiu *Major Leven* kochał wszystkich i z trudnością mógł być nakłonionym do myślenia źle o kimkolwiek; w stosunku natomiast do ludzi zajmujących publiczne stanowiska, nosił się pozornie z przekonaniem, skłaniającém go do upatrywania w każdym pojedyńczym sekretarzu stanu najniegodziwszego zdrajcy, dążącego świadomie do zrujnowania własnéj ojczyzny. *Major Leven* dawał wiarę wszystkiemu, co słyszał od kogokolwiek, byle nie od ministra, stwierdzającego cośkolwiek publicznie; wtedy bowiem do-

myślał się bezwarunkowo haniebnego kłamstwa. Wogóle wszystkich ministrów, ale osobliwie ministrów do spraw zagranicznych i kolonialnych, miał za łotrów, dopominających się o postawienie ich w stanie oskarżenia....“

Nieźle wygląda obok sylwetka pana *Lefussis*, ex-dżentlemana, chodzącego w podartym surducie i wątpliwéj bieliźnie, ale zajmującego się gorliwie losem Anglii i Europy, rozmawiającego poufale (naturalnie we własnéj wyobraźni) ze wszystkimi ministrami i posłami zagranicznymi, oszukującego czasem naiwne dusze, ale przedewszystkiém siebie samego i swoję nędzę, i prawie zadowolnionego ze swojego losu, prawie wesołego, a mniéj zajmującego się własném jutrzejszym obiadem, jak tem co się stanie z Europą za miesiąc, jeżeli ktoś nie położy tamy szalonéj polityce rządowéj. Kto nie spotkał w swojém życiu jednego i drugiego pana *Lefussis*? Typ jest pospolitym, ale Mac-Carthy potrafił uplastycznić go z niepospolitym artyzmem, a przedstawić z należytą werwą i humorem.

— „Przypuszczałem, że będziesz rad mnie widziéć, mimo obecności téj damy, panie Charlton. Byłem w mieście, jak wiesz, w okolicach Whitehall'u — w *Foreign-Office*, jedném słowem. Rozmawiałem długo z lordem Bosworth, i wiem dokładnie, jak rzeczy stoją. Poseł niemiecki wszedł przed mojém odejściem i Bosworth powtórzył przed nim sporo z tego, cośmy pierwéj mówili; nie wszystko naturalnie, nie wszystko....

„Tu ktoś powinien był prawdopodobnie odezwać się z czémś, p. *Lefussis* zatrzymał się bowiem. Ale Charlton siedział z oczyma wlepionemi w swoje własne chude ręce i nie zdobył się na żadną uwagę. Pani Charlton nie rościła nigdy pretensyi do odzywania się z czémkolwiek tam, gdzie mówiono o lordach, ambasadorach i osobistościach tego rodzaju; Gabriella zaś (Donna-Quixote) nie poczuwała się do obowiązku porzucenia swéj biernéj dotychczasowéj roli.

— „Źle rzeczy wyglądają — ciągnął daléj p. Lefussis, przekonawszy się, iż dotąd nie wywołał zbyt wielkiego wrażenia — i nie widzę nawet jakim sposobem mogłyby one wyglądać gorzéj. Jeżeli ktoś nie zrobi odpowiedniego kroku dla zatrzymania tego gabinetu na jego karkołomnéj drodze, będziemy miéć całą Europę pod bronią przed miesiącem.

— „Wielki Boże! — zawołała pani Charlton, poruszona nareszcie tą przerażającą perspektywą. — Czyż nic się nie da zrobić, panie Lefussis?

— „Bosworth nic nie może — rzekł ten ostatni stanowczo, zwracając obecnie mowę do pani Charlton, jako jedynéj, która

zwróciła należytą uwagę na jego opowiadanie. — Widzi on sytuacyą tak jasno jak ja sam, ale nie może nic. Cóż mógłby on zrobić, pojmuje pani? To nie na jego siły.

— „Czyż doprawdy tak? — zapytała pani Charlton wielce zaniepokojona. — Co za nieszczęście! A czy niema kogo innego, któryby mógł coś zrobić?

— „Zapewne — odparł z godnością — mam nadzieję, że mogę coś zrobić. I spróbuję. Leven może coś zrobić; Taxal może coś zrobić, w skromnych granicach swojego wpływu, w skromnych granicach. Możemy odbyć jeden i drugi meeting; idę ztąd wprost do Taxala i do Levena....

— „Pan znasz majora Levena? — wtrąciła tu Gabriella, słysząc znajome sobie nazwisko.

— „Tak jest, łaskawa pani, tak jest. Znałem Levena w Demerara... zaraz... kiedyż to było? W 52-gim czy 55-tym roku.... Nie jestem pewny.... — A pani?

— „Major Leven jest starym moim i wielce drogim przyjacielem....

— „Doprawdy! — zawołał *Lefussis* i oczy zabłysły mu niewypowiedzianém zadowolnieniem. — Jeżeli tak jest, to powiem pani, pani Charlton, że moje przybycie dzisiejsze do męża pani jest najwięcéj zdumiewającym dowodem udziału Opatrzności w naszych sprawach, jaki da się wyobrazić. Zdaje mi się, że Charlton jest skłonnym do sceptycyzmu w tych materyach; jednak spodziewam się, że nie zamknie uszu przed tém, co mam do powiedzenia.

„Charlton podniósł oczy na chwilę i kiwnął głową, ale nie wyrzekl słowa. Gabryela nie wiedziała teraz co myśléć.

— „Uważ pani — ciągnął daléj *Lefussis* z zapałem — przybyłem tutaj, aby odwiedzić męża pani, nie marząc o tém, abym miał miéć szczęście i zaszczyt być przedstawionym téj oto lady; i nawet gdybym miał miéć ten zaszczyt i to szczęście, nie marząc o tém, abym miał poznać w niéj tak godną przyjaciółkę majora Leven. Czyż niema w tém czegoś opatrznościowego? A toć ta dostojna oto lady potrzebuje usiąść tylko przy biurku Charltona i napisać parę słów polecających mnie majorowi Leven, aby ocalić, kto wie? Europę od wojny!

— „Zdawało mi się, że słyszałem, że pan znasz tego dżentlemana? — wtrącił Charlton, podnosząc nagle oczy.

— „Tak jest, kochany przyjacielu, tak jest; przynajmniéj znałem go, wiész, w Demerara i innych miejscowościach; ale ludzie zapominają jedni o drugich...."

Prawda, że z natury schwycony obrazek?— Ale perłą powieści jest scena na mityngu, w którym major Leven założył sobie obalić, na dobre tym razem, cały wstrętny sobie gmach rządowy.

„Miała to być wielka, ludowa, ażeby nie powiedzieć narodowa, demonstracya. Tłoczono się do *St. James Hall* na godzinę przed rozpoczęciem mityngu. Olbrzymie plakaty wywieszone przed drzwiami zapraszały do tłoczenia się więcéj jeszcze. Loże, parter, galerye i „platforma" sama — przeznaczona dla uprzywilejowanych osób opatrzonych w bilety wejścia—zapełniły się niebawem wielce wzburzoną publicznością. Major Leven i jego przyjaciele znaleźli prawdziwie rozkoszną „krzywdę" do rzucenia gabinetowi między nogi. Urząd kolonialny dał wiedzieć kolonistom z „Wiktorietty", że wypada, aby przyjęli na się pewną część wydatków potrzebnych dla zabezpieczenia kolonii przeciwko napaści któréjkolwiek z obcych potęg. „Wiktorietta" żywiła oddawna już żądzę zetknięcia się z wielkim ruchem politycznym całego świata. Patrzyła ona zazdrosném okiem na wzruszające komplikacye, kłopoty i niebezpieczeństwa, będące uprzywilejowanym udziałem innych posiadłości Wielko-Brytańskiéj korony. Kanada, Indye, Nowa-Zelandya, nawet Jamaika dawały okolicznościowo okazyą do wielkich politycznych i parlamentarnych wstrząśnień, podczas gdy pełna ambicyi „Wiktorietta" nie mogła dosłyszéć się bodaj imienia swego wypowiedzianego w W.-Brytańskim senacie. Takie położenie było upokarzającém dla niektórych wznioślejszych umysłów pomiędzy mieszkańcami kolonii. Zaczém zdało im się właściwą rzeczą wywołać panikę przed urojonym obcym najazdem. Przyjęli oni jako pewnik, że oczy wszystkich obcych państw, nieprzyjaźnie usposobionych dla Anglii, albo zazdrosnych, zwróciły się z osobliwém wytężeniem na ich małą kolonią, i że wroga polityka kontynentalnéj Europy zapatrzyła się na „Wiktoriettę", jako na właściwy punkt, w którym najdotkliwszy cios zadanym być mógł angielskiéj potędze i dumie. Wiktorietta była małą wysepką, zapodzianą gdzieś śród olbrzymich przestrzeni Oceanu. Większa połowa kontynentalnych gabinetów nie słyszała nawet nigdy o niéj. Pewna liczba doskonałych skądinąd map zaniedbała wydzielić jéj miejsca. Nie mniéj przeto mieszkańcy jéj wmówili w siebie, że nieprzyjazna Europa patrzy na nich i że najezdnicze plany przeciwko nim skierowane zaprzątają Francyą, Niemcy, Rosyą, Amerykę i samych Fenianów. Wypracowali ze swéj strony rozległy plan robót fortyfikacyjnych i zapotrzebowali od metropolii odpowiednich posiłków w wojskach i okrętach. Otóż urząd kolonialny nie dał się przekonać o rzeczywistości natychmiastowego niebezpieczeństwa. Z pedantycznym urzędowym uporem

uczepił się on tego faktu, że między najbliższym kontynentem a zagrożoną niby wyspą rozlewało się trzy tysiące mil wody, najbliższą zaś jéj sąsiadką była wielka angielska kolonia. Mężowie stanu z Wiktorietty nie byli ludźmi do odprawienia w ten sposób. Ponawiali raz po razie swoje nalegania; wyprawili deputacyą do Londynu; postawili urząd kolonialny w stanie oblężenia. Urząd kolonialny wytrwał w swym uporze... Deputacya zwróciła się wtedy do publicznéj opinii i trafiła do majora Leven i do Waltera Taxal. Cała energiczna agitacya wprowadzona została w grę. Prasa przywłaszczyła sobie sprawę. Przyszło w izbie gmin do kilku interpelacyi, rozmaitych porządków dziennych i jednego skrutynium. Utrwalono się po jednéj stronie w pojęciu, że wielkość Anglii minęła na zawsze, jeżeli patryotyczni przedstawiciele Wiktorietty pozostaną wzgardzonymi przez wyrodny gabinet angielski. Po drugiéj stronie natomiast zapanowało przekonanie że ostatnia wiązka siana włożoną zostanie na kark przeładowanemu wielbłądowi (angielskiemu kontrybuentowi), jeżeli ma on ponieść koszt postawienia „Wiktorietty“ w stanie obrony. Jedna część patryotów odwołała się do pamięci Drake'go i Raleigh'a; druga do ekonomicznych zasad Cobdena.

„Major Leven rzucił się w sam środek walki. Sercem i duszą przywiązał się do Wiktorietty i do jéj sprawy. Byłby się oświadczył, gdyby kolonialni patrjoci żądali tego, za otoczeniem ich wyspy potrójnym wałem z bronzu...

I tak przyszło do walnego mityngu.

..... „Major Leven mówił z zapałem, szczerością i przekonaniem zastępującém nieledwie wymowę... Wpadł nawet na krasomówczy zwrot, przyrównywując nieszczęśliwą kolonią do biednéj pasierbicy, oddalonéj od domowego ogniska i wydanéj na pastwę zimnemu i bezlitośnemu światu. Wrażenie w ten sposób wywołane było stanowczo przychylném... Ale zaledwie powtarzane salwy oklasków ucichły się, usłyszano ze zdumieniem przenikliwy głos niewieści świdrujący się z końca sali aż do fotelu prezydenta i wyrażający dobitnie co następuje:

— „Panie prezydencie, zanim dasz pan głos innemu mówcy, pragnę zapytać majora Leven, dla czego oddalił on od dawnego ogniska własną pasierbicę, skazując ją na śmierć głodową albo na żebraninę. Skoro mówimy o pasierbicach, zechce może szanowny preopinant objaśnić cokolwiek zgromadzenie o własném i żony swojéj postępowaniu względem ich pasierbicy.“

. . . .

— „Do porządku! Do porządku! zawołało sto głosów z pomiędzy słuchaczów sympatyzujących z przedmiotem mityngu.

— „Brawo! Brawo! Słuchajcie! Niech żyją prawa kobiety! — ozwało się sto głosów innych.

— „Czy nie waryatka? jęli pytać jeden drugiego niektórzy neutralni i zimną krew przeto zachowujący obywatele.

— „Nie jestem waryatką!“ odpowiedział przenikliwszemi tonami jeszcze głos niewieści, „aczkolwiek każda inna kobieta mogła by nią być doświadczywszy tego co doświadczyłam. Nie chcę tylko słyszéć człowieka mówiącego językiem hypokryty, o pasierbicach, kiedy wyrzucił własną pasierbicę na bruk. Jestem nią—niech zaprzeczy, jeżeli śmie!

Major Leven ożenił się z wdową, któréj syn z pierwszego łoża wywędrował do Ameryki, żył tam z kobietą złego prowadzenia i umarł zaślubiwszy ją, podług jéj twierdzenia. Z tą tedy, do Anglii świeżo przybyłą awanturnicą, któréj naturalnie przyjąć pod swój dach nie chciał, spotkał się teraz tak niepożądanie. I ona rozstrzygnęła los zwycięskiéj na chwilę pośród mityngu, ale obecnie bez ratunku pognębionéj „Wiktorietty.“

W „Miss Misanthrope“ zjawia się także typ obywatela z „krzywdą“ wołającą o pomstę do opinii publicznéj — i do wyborców. Widocznie Mac Carthy miał sporo do czynienia ze specymenami tego rodzaju w swym politycznym zawodzie. A także z kolonialnemi sprawami; nowy jego bowiem pokrzywdzony bohater przybywa także z za morza. Był gubernatorem jakiejś liliputowéj prowincyi, w którejś odległéj części świata, okazał nadmiar gorliwości, zapędził się daléj, niż życzono sobie w „urzędzie kolonialnym“, i „urząd kolonialny“ odmówił mu towarzystwa. Szczęśliwszy wszelako od przedstawicieli Wiktorietty i od majora Leven, dostaje się on do parlamentu i izba. w roztargnieniu, uchwala porządek dzienny, który nie obala wprawdzie gabinetu, ale daje „pokrzywdzonemu“ satysfakcyą.

Dość zagadkową obok jest postać pana Money, wielkiego przedsiębiorcy kolejowego, zasiadającego w izbie gmin, który w przewidzeniu blizkiego starcia między swoją ojczyzną a Rosyą, gdzie umieścił swe kapitały, składa swój mandat poselski, wyrzeka się obywatelstwa angielskiego i odjeżdża z całą rodziną do Petersburga. Tém więcéj zagadkową, że dość *sympatycznie* przedstawioną przez autora. Chcę przypuszczać, iż Mac Carthy niewiele liczy podobnych kolegów w pałacu Westminsterskim i niewiele żywi podobnych sympatyi.

Ale tym razem, w téj powieści, werwa, humor i plastyczny zmysł autora tryumfują w wizerunku pana Blanchet, poety-impresionisty, który nie czytał nigdy Szekspira, uważa Byrona za będącego niżéj wszelkiéj krytyki, nie wie nic o polityce, ani o historyi, ani

o żadnéj rzeczy po za tak nazwaném przez się „królestwem sztuki,“ zgodziwszy się zaś na odczytanie jednego ze swych poematów przed audytoryum złożoném z trzech osób—z których dwie panny—zaczyna od wyrażenia trzech absolutnych wymagań, a mianowicie: żeby okiennice zostały zamknięte i świéce zapalone, mimo białego dnia; żeby czytanie jego nie było przerywane żadnym znakiem uznania czy innym; i żeby, po wypowiedzeniu ostatniego wiersza, dozwoloném mu było wyjść natychmiast bez pożegnania się, i bez ukłonu nawet. Wszystkie te trzy warunki niezbędnemi są dla utrzymania jego natchnienia w należytym nastroju i wydobycia z jego utworów należytego efektu.

Czyta następnie seryą rymowanych fragmentów, odznaczających się głównie upodobaniem poety do trupów, szkieletów i wszelkiego rodzaju nie żywych przedmiotów, a także *zakończeniem* każdego z nich, zjawiającém się niezmiennie i niespodzianie wtedy, kiedy myśl słuchających domyśla się właśnie *początku* czegoś. Czyta przez dwie godziny, mówiąc do zgnilizny: „jesteś moim ojcem“, a do robaka: „jesteś moją matką i siostrą“, zamykając czasem oczy i przykładając rękę do zroszonego rzęsistemi kroplami czoła, podnosząc do góry każdą odczytaną kartkę rękopisu, z nagłym wysiłkiem ręki i ramienia, jak gdyby ważyła sto funtów i ciskając ją następnie precz, z oczyma wlepionemi w jednego z trojga słuchaczów, itd., kończy nareszcie następującym utworem:

Pytałem moję duszę — Czém jest śmierć?
Pytałem moję miłość — Czém jest nienawiść?
Pytałem śmierć — Czy jesteś życiem?
I noc — Czy jesteś dniem?
Czy miałem odpowiedź?

I zostawiając słuchaczów ich domysłom, wychodzi bez dodania jednego słowa — co mu nie przeszkadza oglądać się za pięknemi oczami i nie mniéj powabnym posagiem jednéj ze słuchaczek, *Minoli* — „Miss Misanthrope“ we własnéj osobie. I nie bez pewnego skutku. Wspaniałomyślna *Minola* wydaje swoim kosztem pierwszy tom jego poezyi, (udział płci pięknéj, a w szczególności posażnych jedynaczek, w zapoznawaniu publiczności z utworami początkujących poetów należyć musi do pospolitych rysów obyczaju miejscowego, spotykamy się bowiem nader często z przykładami tego rodzaju dobroczynnéj interwencyi. Ob. „The Greatest Heiress in England“ pani Oliphant). Minola otwiera nieograniczony kredyt u drukarza młodemu poecie i młody poeta, („szeroką naturą“ obdarzony, choć Anglik), korzysta zeń w całéj możliwéj rozciągłości. Cały legion zgłodniałych malarzy—impresionistów, jego przyjaciół, poży-

wia się przy téj sposobności, wypełniając ilustracyami wszystkie marginesy rękopisu. Szlachetna Minola płaci za wszystko bez wglądania w rachunki, i Bóg poetów wić do czego by przyszło, gdyby nie jakie rozruchy uliczne, wywołane walką wyborczą, z któréj „pokrzywdzony obywatel" („*the gentleman with a grievance*") wychodzi zwycięsko, nie ukazywały nagle wrażliwego, zbyt łatwy przystęp *impresyom* dającego poetę w niekorzystném dla niego świetle. Przychodzi nawet do tego za ich sprawą, że *Minola* piętnuje mianem „tchórza" nieszczęśliwego sługę muz. Zrywa się on wtedy wprawdzie i z uchwyconemi przy kominie szczypcami, rzuca się w środek boksujących się na ulicy zapaśników; ale za późno: *Minola* oddała tymczasem serce zwycięskiemu bohaterowi walki wyborczéj.

Niezłym jest opis tych ulicznych i mityngowych zapasów, towarzyszących początkowi karyery parlamentarnéj pospolitego *commoner'a*; jednym z lepiéj udanych *ex multis* w spółczesnéj miejscowéj literaturze. Humorystyczno-obrazowy talent Mac-Carthy'ego (mniéj celujący w nawiedzanych zbyt często przez się sferach uczucia i wyobraźni), znajduje się tu u siebie. Jedną i nie najgorszą stronę i talentu swego i dotychczasowéj swéj twórczości Mac-Carthy należy do rodzaju, któremu wypada poświęcić bodaj kilka kartek w osobnym rozdziale.

V. POWIEŚĆ POLITYCZNA.

Rachując się z miejscem a także poniekąd i z ciekawością czytelnika, ograniczę się tu do kilku tylko pobieżnych wskazówek. Ostatnie lata nie wydały w tym rodzaju nic, coby się dopominało o więcéj—w tém przynajmniéj treściwém z konieczności sprawozdaniu. Stosuje się to, ma się rozumiéć, do jakości nie zaś do liczby utworów. Liczba pozostaje i tu imponującą, i nie może być inaczéj, skoro święty legion „Cór clergymenowych", „Muz" i „Sybil" nie zaniechał i tego pola. (Można by przypuszczać, że się go nie spotka w téj stronie, ale przypuszczenia ludzkie są zawodnemi—zwłaszcza tam, gdzie mają do czynienia z tak podległemi fantazyi żywiołami jak natchnienie — i niewieście natchnienie w szczególności. Rzeczywistość okazuje się tu nawet osobliwie dotkliwą dla naszéj domyślności, właśnie bowiem niewieści żywioł występuje niemal na pierwszym planie w tym dziale piśmiennictwa spółczesnego). Najlepszym może utworem z tego działu jest „*The Right Honourable*", obraz dość jaskrawy walki arystokratycznych żywiołów z radykalizmem, jątrzącéj się dziś śród spróchniałych zrębów tamecznéj organizacyi społecznéj i politycznéj. Ale obraz ten, noszący podpis

Mac-Carthy'ego, należy przez połowę do *Mrs Campbell Praed*, autorki „Nadiny“ i innych przeraźliwie ckliwych utworów. Zkąd wzięło się tu jéj, niczém nie zapowiedziane współpracownictwo, powiedzićć nie umiem. Obok zasługuje na wzmiankę „*Demos*“, z obrazem, jak tytuł wskazuje, ludowych namiętności, wstrząsających podwalinami całego europejskiego społeczeństwa, z wizerunkiem dość trafnie uchwyconym i plastycznie oddanym robotnika, który wzbogaciwszy się szybko, dostaje się do wyższych sfer towarzyskich i przebywa szybką metamorfozę. Owóż autorką „*Demos'a*“ jest podobno pani Oliphant. Domyśla się czytelnik, że i specyalne irlandzkie społeczno-polityczne stosunki dostarczyć musiały tematu płodności powieściowéj w téj okolicy. Jakoż spotykamy się z całym taborem miejscowéj agitacyi, *Fenianami*, *Land-League*'ą i *Home rule*'m,— ale znowu pod piórem pani Letycyi Mac-Clintoc. Prawda, że tym razem i męskie pióro pana Tomasza Greer dotrzymuje jéj kompanii („*A modern Daedalus*“). A jeszcze jest miss Jessie Fothergill, która topi siebie, swój wątek powieściowy i czytelnika samego w niedostatecznie zgłębioném przez się jeziorze komplikacyi parlamentarnych („*Gaythorne Hall*“) i Mrs Hibbert Ware, która ratuje wprawdzie swój wątek powieściowy, ale kosztem spółczesnéj historyi politycznéj („*Friend Elwood*“); no, naturalnie i miss Braddon!

Oczywiście nie przypuścił nikt, aby miała ona nie dotrzymać placu na jakiémkolwiek polu swym towarzyszkom. Tylko spóźniła się cokolwiek tym razem; znalazła parlament splondrowany, radykałów wynicowanych doszczętnie, fenianów rozebranych do koszuli; wsiadła przeto na pierwszy statek odjeżdżający z Duwru, wylądowała w Calais i objęła w posiadanie socyalizm francuski. Poczém przepisała powieść pani Oliphant („Demos“), obracając ją do góry nogami. Jéj bohater „*Ischmaël*“ — dlaczego „*Ischmaël*“? — jest arystokratycznym młodzieńcem, który wdziewa białą bluzę mularskiego czeladnika, aby pogrążyć się w upodobanych przez się ludowych warstwach społecznych. (Oj te białe bluzy! słyszałem, że płatają one nie jednego figla wyobraźniom niewieścim). Ale co myśli o tém, w swych elizejskich dumaniach, nieboszczyk Gambetta, który chciał wpoić swym współobywatelom przekonanie, że niemasz „kwestyi socyalnéj“ w jego ojczyźnie. Oczywiście nie rachował się on z panią Braddon. Mężowie stanu, socyaliści i nihiliści wszystkich krajów dobrze zrobią, rachując się z wędrowną wyobraźnią angielskich powieściopisarek i powieściopisarzy. Anglia importuje bawełnę z Ameryki a powieściowe tematy z całego świata. Jerzy Fleming zapędził się aż nad Adryatyk i wyświecił w „*Vestigia*“ tajemnice włoskiego socyalizmu. Mac-Carthy w „*Doom!*“ zawadził—dość nie-

fortunnie zresztą—o historyą nihilizmu rosyjskiego; że zaś powieść jego rozwija się na okręcie płynącym do Ameryki, można było myśléć, że dostanie się i tamecznym stosunkom politycznym. Ale okręt uwiązł w drodze skutkiem nadwerężonéj śruby i powieść z nim razem.

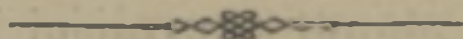
Czasem też, po wyczerpaniu spółczesnéj historyi politycznéj, cofa się wyobraźnia zakłopotanych współzawodników i współzawodniczek pani Braddon w tył, np. do wdzięcznych dla powieściopisarza czasów, poprzedzających panowanie Jerzego IV, jak to czyni p. Lewis Mingfield, kolega Mac-Carthy'ego z parlamentu, w „*Abligail Rowe*", albo do romantycznéj epoki, wypełnionéj nieszczęśliwemi zamachami „Pretendenta", jak tego daje przykład Walter Besant w „*Dorothéa Forster*."

Rodzaj *polityczny* przekształca się tą drogą w *historyczny*. Brakuje tylko Walter-Scotta.

Czasem znowu polityczne komplikacye, polityczne osobistości wprowadzane na scenę pod przejrzystemi maskami, zamiast stanowić właściwy temat powieści, są tylko dodatkowym jéj ornamentem, jak u pana Beresford Hope, innego członka izby gmin, którego ostatnia powieść „*The Brandeths*" wywołała niejaką sensacyą; albo u pana Wemyss Read, który w ogóle naśladuje mniéj lub więcéj szczęśliwie manierę Ouidy, ale w „*Gladys Fane*", najlepszym z dotychczasowych swoich utworów, poświęca wstęp cały obrazowi — setnemu i któremuś z kolei — obyczajów wyborczych swego kraju. Poczém przenosi się do Francyi i Bóg wié gdzie jeszcze.

Ryczałtowo rzeczy biorąc, można by i tu, Mac-Carthy'ego na bok odłożywszy i oddawszy mu co mu się należy, załatwić sprawę nekrologicznem wspomnieniem, poświęconém cieniom Bulwera, Trollopa i Disraeli'ego. Ci panowie dzisiejsi z parlamentu (Mac-Carthy'ego wyróżniając zawsze, i to nie we wszystkich, zbyt hojnie mnożonych płodach jego pióra) piszą zbyt widocznie dla rozrywki, od niechcenia, i że się tak wyrażę, na kolanie. Są między nimi trafni postrzegacze, dowcipni sprawozdawcy, głębiéj nawet na ludzi i rzeczy patrzący filozofowie—prawdziwego artysty nie widać dotąd.

K. Waliszewski.





IDEA ORGANIZMU W BADANIACH SPOŁECZNYCH.

Myśl, że społeczeństwo jest pewnego rodzaju organizmem, datuje od tak dawna, jak sama cywilizacya. W sposób żartobliwy użył jéj jako porównania jowialny M. Agryppa, uspokajając zbuntowany plebs rzymski, i rzecz znamienna, opowiadaniem swém o kłótni członków ludzkiego ciała, groźbą czczości w żołądku—trafił prostakom do przekonania; w sposób poważny używał jéj Chrystus jako zwrotu retorycznego, zanim apostołowie a następnie i ojcowie kościoła. Zamiast jednakże starzeć się i kurczyć, porównanie to w czasach nowszych potężnieje, rozrasta się wzdłuż i wszerz tak, iż wyszło zupełnie z pierwotnego swego typu figury krasomówczéj, zaawansowało na stopień poważnéj analogii naukowéj, zajmującéj całe tomy,—a w końcu nie zadawalniając się nawet jeszcze tym zaszczytem, zapragnęło zlać się w jedno z przedmiotem, który dotąd tylko ilustrować miało — zaczęto bowiem w badaniach nad społeczeństwem uważać je nie za coś podobnego do ustroju, lecz za realny, jedném słowem, organizm.

Tak więc w rozwoju powyższéj idei znać pewne stopniowanie; odpowiednio do niego, u jednych myślicieli widzimy utożsamianie społeczeństwa z organizmem, u innych znów porównywanie ich z sobą, u trzecich wreszcie zestawianie, niektórych tylko stron życia społecznego z pewnemi stronami lub czynnościami bytu jednostkowego. U tych całe istnienie społeczeństwa podlega prawom rządzącym organizmami, u tamtych bardziéj ograniczona a mniéj oderwana dziedzina istnienia państwowego; są tacy, co byt ekonomiczny podporządkowują prawom ustrojowości, są inni, co czynią to samo z bytem prawnym. Naturalnie, że w różnych tych odmianach jednego w gruncie pojęcia tkwi rozmaita część prawdy i rozmaita—prze-

sady i naciągania—wszystkie są jednakowo doniosłe, bo usiłują odkryć prawdy nieznane, właściwości świata bardziéj nie pochwytnego, przez sprowadzenie go do poziomu przedmiotów bliżéj nieco zbadanych, jakimi są twory organiczne. Z punktu widzenia natomiast logiki i skuteczności swéj zasługują na sąd najrozmaitszy, od całkowitego uznania do stanowczego odrzucenia, niekiedy nawet potępienia.

Co najważniejsza, to, że większość wybitniejszych myślicieli społecznych metodzie téj hołduje. Daje się to bardzo łatwo wytłómaczyć. Badania nad społeczeństwem znajdują się jeszcze w kolebce—rozpoczęły się bowiem bardzo nie dawno. Ruchy rewolucyjne we Francyi, dotknąwszy przedewszystkiém urządzeń społecznych, zasłużyły się nie tyle wywołanym przez się przewrotem w stosunkach, ile bodźcem, jaki dały naukom społecznym i politycznym. O ile prowodyrowie tego ruchu potępili się warcholstwem płytkiém, nieprzewidującém, o tyle zapracowali na pomnik przez otworzenie badawczym mózgom szerokich widnokręgów zagadnień społecznych. Od tego czasu posiadamy prawdziwą, głęboką świadomość potrzeby publicznego dobra, od tego czasu mamy prawdziwą socyologią. Albo raczéj mamy jéj prawdziwe zaczątki. Kilkadziesiąt lat zbiorowéj chociażby pracy, kilkanaście przełomów w instytucyach, kilku tuzinów spisków przeciwko nim dają dopiero dużo do myślenia, ale rozwiązują mało tajemnic. Nie dziw przeto, że gdy jeden filozof, i do tego twórczy, na drodze luźnego tylko porównania z organizmami zaczął szukać klucza do nich, poszli za nim prawie wszyscy. Jak to zobaczymy późniéj, August Comte napomknął raczéj niż zapewniał o powinowactwie społecznego ogółu z ustrojem a drugi wybitny przedstawiciel socyologii, w połowie uczeń Comte'a, Herbert Spencer, już z całą systematycznością o związku tym się rozwodzi.

Byłoby to sztuczną budową, nie wytrzymującą podmuchu wiatru, gdybyśmy chcieli wszystkie wspomniane formy w mowie będącéj analogii sprowadzić do jednego źródła, nawiązać na jednę nić chronologii. Owszem, to cośmy przed chwilą powiedzieli, stosuje się tylko do szkoły socyologów *par excellence*, badających społeczeństwo w całości—nie zaś do socyologów prawników, lub ekonomistów, którzy jeśli posługują się podobieństwem jego funkcyi do funkcyi organizmu, idą jak i Comte za popędem własnego pomysłu; w którym musi być wiele zdrowego pierwiastku, skoro samorzutnie kilku naraz nań wpada.

Wobec tego upowszechnienia wskazówek biologicznych w nauce społecznéj, warto wyśledzić ich rolę w téj dziedzinie. Można bowiem połączyć w ten sposób dwa zadania: poznać teorye zwolenni-

ków w mowie będącéj analogii, a tém samém poznać większość wybitniejszych na polu filozofii społecznéj pracowników, i powtóre— przekonać się, o ile jest ona uprawnioną, jakie owoce przyniosła dotąd nauce i przynieść w przyszłości obiecuje. Jakkolwiek przedmiotowi temu nie jednokrotnie poświęcano uwagę, jednakże czyniono to ułamkowo, wysuwając bardziéj bądź powszechnych bądź specyalnych socyologów, u nas zaś nie zrobiono prawie nic,— ma więc, zdaje się, pewną zasadę zebranie ich, wprawdzie szkicowe tylko, w jedną całość i ocenienie bezpretensyonalne względnéj ich wartości.

Pracę te znakomicie nam ułatwi podział wszystkich odnośnych szkół, wypływający zresztą z istotnych pomiędzy niemi różnic, na trzy grupy.

Pierwsza zawiera poglądy tych myślicieli, którzy dosyć słabo odróżniali państwo od społeczeństwa, zajmowali się przeważnie pierwszém, w państwie widzieli jedynę formę towarzyskiego życia i o podobieństwie do ustroju mówili wtedy tylko, gdy dochodzili stosunku między nim, a jego składowemi pierwiastkami, gdy szukali idealnego urządzenia bytu politycznego, i mozolili się nad takiemi zagadnieniami, jak podział władzy, zastosowanie jéj do dobra poddanych itp. Do tego szeregu zaliczyć wypada Krausego, Steina, Gneista, Ahrensa. Są to po największéj części filozofowie prawa, usiłujący zazwyczaj z ogólnego na świat poglądu wysnuć systemat państwowy.

Druga kategorya, najliczniejsza, obejmuje nowy rodzaj pojęć, a mianowicie ideę społeczeństwa, jako całości, istniejącéj niezależnie od państwa. Chociaż zaczątki jéj wyzierają już z teoryi niemieckich, atoli w pełni siły i rozkwitu występuje ona dopiero wraz z Comtem i niezwłocznie staje się podstawą odrębnéj umiejętności: socyologii. Od owéj chwili datuje się okres obfitujący w prace tegoż pokroju, co Comte'a, wszystkie one spłacają haracz nauce o życiu i zapożyczają od niéj pojęcie organizmu. Czynią to: Spencer, Schaeffle, Lilienfeld, Fouillé, Espinas, Lindner i wielu innych pisarzów *minorum gentium*. Kierunek ten pod względem posłuszeństwa idei ogranizmu zostawia daleko po za sobą drużynę myślicieli państwowych, albowiem składające się nań osobistości celują fachową znajomością przyrody i analogią przeprowadzają z całą logiczną konsekwencyą.

Wreszcie uwzględnić należy jednę jeszcze grupę uczonych, którzy wychodząc z założeń praktycznych i oddając się bardziéj praktycznym gałęziom wiedzy społecznéj, poświęcają swe usługi prawodawstwu na wszystkich polach jego działalności. Ci mniéj już posiłkują się pojęciem ustroju, choć dla celów nie mniéj doniosłych,

albowiem pragną ustalić zasady wprowadzenia zmian i ulepszeń w urządzenia publiczne natury państwowéj, gospodarczéj i prawnéj. Równolegle jednak przyczyniają się do filozoficznego wyjaśnienia istoty i właściwości urządzeń.

Samo się rozumié, że powyższe trzy kategorye stosują się jedynie do czasów najnowszych. Wydobywać z mgły przeszłości rozmaite aluzye, jakiemi określano podobieństwo ciał społecznych do ciał jednostkowych, nie opłaca się, są one przypadkowe, chaotyczne, najczęściéj bezwiedne, a więc i pozbawione wagi.

I.

Pierwszą dań idei organizmu złożyła w badaniach społecznych nauka państwowa. Miejscem hołdu były Niemcy, inaczéj być nie mogło — one dzierżą monopol stwarzania mglistych pomysłów. A „szkoła organiczna prawa publicznego" cechą tą w szczególnym odznacza się stopniu. Wykwita ona na gruncie metafizyki, hodowana przez mistrzów filozofii greckiéj i germańskich filozofów natury, jak Schelling. To téż społeczeństwo i państwo, które to dwa pojęcia nie były jeszcze tak wyraziście rozgraniczone jak dzisiaj, stoją u nich zazwyczaj w bezpośrednim związku z teoryą bytu, lub bóstwa. Pogląd na cele i zadania organizacyi społecznych zjawia się u nich *a priori*, one są wyrazem, lub wcieleniem Boga, z góry mają wytkniętą drogę pochodu i kształt, nauka zaś sama zajmuje się tylko bliższém rozwinięciem i uzasadnieniem rzuconego w podobny sposób planu.

Nauki przyrodnicze, zawdzięczające swą wybujałość ostatnim dopiero czasom, w chwili narodzin szkoły organicznéj nie zdążyły jeszcze ogarnąć swym wszechpotężnym wpływem wszystkich gałęzi umiejętności ludzkiéj. Stąd analogia między państwem a ustrojem miała z początku bardziéj ogólnikowy, oderwany charakter. Faktów ani Krause, ani Ahrens, ani Wawrzyniec Stein w naturze nie mieli i mało się o nie troszczyli. Kierowali się raczéj przeczuciem, niż empiryką i w tém różnią się kontrastowo od pozytywistów, którym wyraźnie wypowiadają walkę i od których odwracają się, i w ogóle od biologów powołanych do życia przez systemat Comte'a. Prawili o organizmie jako o przedmiocie nacechowanym przedewszystkiém *jednością* i brali z niego miarę ustroju państwowego raczéj figurycznie niż ściśle. Nie nastawali téż bardzo na podobieństwo obu rodzajów skupień pod względem formy lub budowy, lecz jedynie pod względem wzajemnéj zależności całości i części. Często nawet państwo chrzczą mianem „organizmu sztucznego" a wydobywają zeń głównie

stronę oderwaną, duchową. Bo też i człowiek jest tam wyłącznie istotą uduchowioną a o „podłéj“ jego powłoce nie mówi się ani myśli.

Wspomniany Krause (którego działalność przypada na pierwsze trzy dziesiątki lat bieżącego stulecia) obdarzony umysłem głębokim i subtelnym, zarazem założyciel w mowie będącego kierunku, wyznaje otwarcie, że filozofia nie zostaje wcale na łasce realnego życia, lecz może być wyssaną z palca. Życie to proces znikomy i przypadkowy. Bóg, jeśli zechce, może zmienić przeznaczenie i losy ludzkości, on sam tylko, albo raczéj jego *idea* jest niezwruszoną i stałą. Ona szkicuje plany wszechświata, ona nakreśla cele człowiekowi, który jednakże nie jest zniewolony dążyć do nich, a jeśli dąży to dlatego, że posiada rozum. Bóg téż dał mu sposoby urzeczywistnienia ideałów, stwarzając życie społeczne czyli państwo i ster jego—prawo. Jednakże doskonaląc się, równocześnie pcha naprzód ludzkość całą, albowiem rozwój cząstki i rozwój całokształtu znajdują się w stosunku wzajemnéj zawisłości i w przyszłości uwieńczone być mają harmonią, ładem i jednością powszechną. Oto zarodek „organiczności.“ Dla czego to wszystko się dzieje—Krause nie uważa za stosowne tłómaczyć i świadomie dowolność swych tez zaznacza. A że on dał filozoficzne podmurowanie szkole organicznéj więc i filozoficzna jéj wartość z góry staje się widoczną.

Podstawy powyższe rozwinął dosyć niewolniczy jego następca, Ahrens. Stara się on zbadać dokładniéj plan Opatrzności i dochodzi do wniosku, że ludzkość ma przed sobą kilka celów, jak religia, moralność, prawo itd. Do urzeczywistnienia każdego z nich potrzebną jest inna forma społeczności, dla moralności np. rodzina, a dla prawa—państwo, które zatém o tyle ma racyą bytu, o ile służy zachowaniu i rozwojowi prawnych urządzeń, gdy zaś stwarza opiekę policyjną, socyalizm, komunizm lub despotyzm, mija się z powołaniem. Życie społeczne winno być życiem zorganizowaném, a zatém państwo, jego najlepsza forma, urządzone być winno na obraz i podobieństwo żywego ustroju. Wszelki byt organiczny cechują trzy momenty: 1) źródło pierwotne, czyli zasada, 2) typ podstawowy i 3) dalszy rozwój, zgodny z wymaganiami dwóch pierwszych punktów. Takież same trzy momenty zawiera w sobie władza państwowa. Pierwszym będzie władza polityczna *sensu stricto*, drugim władza prawodawcza, trzecim wreszcie wykonawcza, łącząca w sobie administracyą i wymiar sprawiedliwości. Oto trzy główne funkcye organizmu, spełniają je trzy narządy: monarcha, zebranie wyborcze i ministerya. Właściwie o wiele lepiéj zrobiłby Ahrens, gdyby doktrynę swą nazwał „niemiecką“, gdyż wzoruje się ona na pobożnych życzeniach i szlachetnych reformach niemieckiéj reakcyi przeciwko

liberalnym zdobyczom ruchu 1848 r. *„Alles was ist, ist vernünftig"*— ta dewiza mistrza filozofii państwowéj Hegla była zarazem godłem Ahrensa.

W pewnym stopniu stronnikiem „szkoły organicznéj" jest znakomity współczesny prawnik niemiecki Rudolf Gneist, prof. uniwersytetu berlińskiego, twórca teoryi państwa prawnego *„Rechtsstaat"*, lecz ten mniéj metafizyczny i abstrakcyjny od swoich sprzymierzeńców, bada więcéj, niż zmyśla—(dzieje konstytucyi angielskiéj są jego ulubionym przedmiotem).

Znacznie jaskrawiéj popiera organiczne państwo niemniéj znakomity, Wawrzeniec Stein—popularny dla swych humanitarnych dążeń i sympatyi ku upośledzonéj części ludzkości i niedostępny zarazem dla mglistego, mistycznego nieledwie sposobu przedstawiania rzeczy. Stanowi on początek mostu, łączącego w mowie będący kierunek z socyologami-biologami, albowiem więcéj od swoich poprzedników hołduje organizmowi i analogii z nim, co podnosi go nad poziom wyraziciela teoryi, czyniąc poniekąd jéj modłą—wzorem.

Stein wyprowadza konieczność „organizmu" państwowego tak samo mniéj więcéj jak Ahrens. Ma on okiełznać wybujałość samolubnych instynktów w społeczeństwie. Ono jest chaosem i zamiast zaspakajać potrzeby, zwłaszcza ekonomiczne, swych członków, wnosi w nie nieład, rozprzężenie i walkę bezustanną. Należy przeto ująć stosunki te w karby. Takiemi karbami jest organizm podobny do organizmu człowieka. W nim autor widzi należytą hierarchią sił, jedność sprzyjającą osiągnięciu pożądanego stanu, chociaż jeszcze nie wystarczającą. Pragnąłby on, by organizm państwowy przewyższał skupieniem organizacyą człowieka.

Kierownikiem takiego organizmu ma być monarcha. Stein przyznaje mu nader wysokie atrybucye i spodziewa się znaleść w nim skarb, którego ludzkość od tak dawna z pochodnią nauki w ręku—szuka, regulatora zawikłań społecznych. Tylko on może położyć tamę krzywdom, wyrządzanym ustawicznie klasie pracującéj i temu tłumowi proletaryatu, który pod pozorem brania udziału w sprawach państwa, bywa najczęściéj ślepém narzędziem mniejszości obradującéj i nie dopuszczanym do głosu. By wyrównać tę niesprawiedliwość krzyczącą, potrzeba naturalnie olbrzymiéj władzy i oto w potęgę tę wyposaża Stein panujących, lub raczéj—powtarzamy tutaj uwagę zrobioną przy Ahrensie—panującego w Niemczech władcy. Nie tu miejsce rozważać, ażali dobrym i cennym jest ten wynalazek—dosyć, że natchnęło nim autora do pewnego stopnia porównanie państwa z organizmem. Niczém innėm bowiem władza zwierzchności nie jest jak „świadomością", „jaźnią" państwa, mode-

lowaną na rozumie jednostki. A skoro tak, więc i inne władze muszą się tam znaleść; w istocie: prawodawstwo jest wolą, czynem zaś, działaniem—wykonywanie prawa administracyjnego, wymiar sprawiedliwości i samorząd miejscowy (1). Nie brak też w tym organizmie czegoś w rodzaju nowotworu, nowego ustroju, pośrednictwa między wolą a czynem. Wyobrażają je w polityce narządy wykonawcze, w ciele zaś ludzkim są one mało rozwinięte, z winy rozumié się samego Steina, który niedostatecznie jest obznajmiony z całą siecią dróg nerwowych u osobnika wyższego.

Spadkobierca Steina i jego poprzedników, Bluntschli, może być uważanym za dalszy ciąg wspomnianego mostu. Jeden krok tylko oddziela go od uczonych kroju przyrodniczego, a zalety właściwéj założycielom szkoły używania organizmu, jako zewnętrznéj formuły, nie dzieli—owszem działa pod zupełną jego inspiracyą. Tak np. zupełnie biologicznego pochodzenia jest teorya władzy państwowéj. Wiadomo, że czucie jakkolwiek czyni wrażenie umiejscowionego, i odnosimy je zwykle do punktu działania zewnętrznéj przyczyny, ma swoje siedlisko w mózgu i że jest ono jedyném, ponieważ zaś państwo jest organizmem a mózgiem jego monarcha, bez którego ani rusz, *ergo*... państwo i monarcha to jedno i to samo. Przebiegle, nie ma co mówić, pędzi Bluntschli wodę na młyn swojego systematu politycznego, w którym co krok spotykasz się z wizerunkiem Prus Bismarckowskich.

Nie wdajemy się w szczegółowy rozbiór całéj analogii, chociaż godną jest tego dla niektórych dosyć humorystycznych wybryków mistrza. Do tych należy zaopatrzenie państwa w prawdziwą, nie alegoryczną, duszę, w zmysły, ba! nawet rozklasyfikowanie instytucyi podług płci: pięknéj przedstawicielką jest kościół, brzydkiéj zaś samo państwo. Pod względem anatomicznym władza upodobnioną została do głowy, naród zaś do tułowiu.

Tak więc w szkole organicznéj znana nam analogia przeszła wszystkie niemal fazy: od słabéj aluzyi do natarczywego przypomnienia. Początkowo chciano przy jéj pomocy położyć nacisk na potrzebę związku i wzajemnéj zależności żywiołów politycznych, czyli tego, co pospolicie nazywamy „organizacyą“, — w końcu użyto jéj do bardzo zaszczytnych usług, bo kazano jéj być prawodawczynią ustroju państwowego, pośrednio zaś piastunką ideałów politycznych Fryderyka II-go.

---

(1) „Gosudarstwiennaja sistiema Łorenca Steina“ przez Blocka, profesora uniwersytetu warszawskiego.

II.

Drugą dziedzinę, najbardziéj rozpowszechnioną i zarazem najbardziéj świeżą, najbardziéj ciekawą i jednocześnie najwięcéj obiecującą, dziedzinę, w któréj idea ustroju zwierzęcego znalazła najszersze zastosowanie, stanowi t. z. socyologia. Nie będziemy w tém miejscu określać i opisywać tego głośnego wytworu zeszłowiekowych szałów i fermentacyi, które znalazły sobie ujście w niezwykle gorączkowéj uprawie wiedzy społecznéj, z jednéj strony, i śmiałego polotu, jaki opanował umysły nowoczesnych przyrodników, z drugiéj. Dosyć gdy powiemy, że socyologia jest małżeństwem dotychczasowych umiejętności społecznych ze zdobyczami dzisiejszych nauk przyrodniczych, jest to niby swojego rodzaju gałąź nauki o życiu, albo inaczéj, oparcie badań społecznych na podwalinach biologii, zapatrywanie się na zjawiska społecznego życia ze stanowiska téj ostatniéj. Socyologia szuka tam niezmiennych praw rozwoju, następstwa i współistnienia, sądzi byt społeczny probierzem prawidłowości. Determinizm, właściwy wszystkim naukom doświadczalnym, klasyfikacya Comte'a przeniosła na grunt zjawisk społecznych, i to dało początek socyologii. Następcy zaś jego zechcieli skorzystać z bliskiego sąsiedztwa nauk o życiu i o społeczeństwie i z pierwszéj do drugiéj żywcem przenieśli metodę badania oraz dążności, zbogacając przez to naukę kilkoma rozległemi pracami. Wyszły one z pod pióra myślicieli poważnych i zasłużonych, z pomiędzy których najbardziéj wpływowymi są Schaeffle, Spencer, Lilienfeld i Fouillé.

Wspomnieliśmy o Comt'cie. W rzeczy saméj, on jest duchowym ojcem tego pokolenia. On bezwiednie otworzył wrota socyologii gościnniéj, niż na to pozwalała ścisłość naukowa, wszelakim prawdom biologicznym, które téż hurmem się w nie wtłoczyły. Od téj chwili panuje pomieszanie pojęć, istna wieża Babel, na któréj badacz społecznego życia przemawia językiem przyrodoznawcy, a naturalista językiem socyologa. Comte porównywając dynamikę społecznéj nauki do fizyologii, statykę zaś do anatomii, rzucił w żyzną glebę ziarno przyszłych nadużyć, a to tembardziéj, że nie był to u niego zwyczajny manewr stylowy, ale coś, co korzeniami swemi sięga daleko głębiéj, mianowicie metoda. Nie inaczéj — jego klasyfikacya nauk, najistotniejszy może ze wszystkich wrzekomych i prawdziwych tytułów do sławy, najmniéj ze wszystkich swych siostrzyc jednostronna i najprzenikliwiéj odgadująca naturalne pokrewieństwo zjawisk, umieściła prawa społeczne bezpośrednio niemal po prawach świata organicznego; skoro zaś te ostatnie podzielone

zostały na wzór tak odległéj mechaniki na statyczne i dynamiczne, przeto i tuż za niemi idąca socyologia nabytkiem tym się podzieliła, do czego tém większe miała prawo w oczach samego twórcy, że społeczeństwo w istocie żyje, rozrasta się, powstaje, zamiera i t. d.

Atoli Comte nie uzasadniał bliżéj analogii, którą się posiłkował. Nosi ona tam charakter dosyć przypadkowy, przeczutą jest półświadomie. Myśliciel napomyka tu i owdzie, że społeczeństwo jest realnym organizmem, rozumie się bardziéj złożonym i trudnym do zgłębienia; ale nie wznosi on całego rusztowania analogii, jak to czynią dzisiejsi badacze. Analogią tą pieczętuje tylko ogólne podobieństwo, ale nie wyzyskuje jéj, jak nowsi socyologowie z wyszukaną konsekwencyą, z dziwną żądzą rozcięcia tysiąca zawiłych węzłów jednym zamachem. Nieco jaskrawiéj, niż gdzieindziéj występuje wiara filozofa francuskiego w rzeczone powinowactwo przy rozważaniu metody, którą myśli posługiwać się w swych dociekaniach. Usprawiedliwiając drogę doświadczalną, żałuje on, że w społeczeństwach nie można z równą jak w ustrojach łatwością, obserwować zboczeń od normalnego działania praw, ale wnet pociesza się tą skądinąd niewesołą uwagą, że i w bycie towarzyskim wstrząśnień gwałtownych, jak np. rewolucyi, nie brak, że stanowią one dokładną podobiznę chorób indywidualnych i wskutek tego, jako część patologiczna nauki, nie mało sprzyjają wyśledzeniu warunków stanu normalnego czyli zdrowia.

Tutaj kończy się udział Comte'a w brataniu dwu odrębnych dziedzin—ale nie kończą się skutki jego. Zobaczymy, że przybrały one rozmiary olbrzymie.

Zacznijmy od Schaefflego. Pisarz to nadzwyczaj uczony, wsławiony w całym świecie ucywilizowanym jeszcze wówczas, gdy dzierżył tekę ministra austryackiego, osobliwie zaś głośny od czasu, kiedy tak żywo zajął się rozwiązaniem palącéj kwestyi socyalnéj. Aczkolwiek utwory jego obejmują wszystkie niemal zagadnienia społeczne, jednakże przeważa w nich żywioł ekonomiczny i taką samę barwę ma tendencya wielotomowego dzieła „Budowa i życie ciała społecznego."

Jak widać z samego nagłówka, Schaeffle uważa społeczeństwo za żyjące ciało. Dla rozległych swych wywodów, które snuje pod tém przyrodniczém godłem, wybrał on punkt wyjścia ogólno-filozoficzny, tak niewyraźny i mglisty, że niepodobna prawie uprzystępnić go tym, co nienawykli do wirów metafizyki.

Zaznacza on przedewszystkiém, że dwu szeregów zjawisk, materyalnych i duchowych, nad pogodzeniem których oddawna mozoli się umysł ludzki, niepodobna zlać w jedno trzecie, ogólne po-

jęcie, któreby tworzyło ich syntezę. Takiéj substancyi nauka wynaleść nie może, zwłaszcza nauka doświadczalna — przywiléj taki posiada jedynie wiara. Nie mniéj przeto nie mamy prawa układać się do spoczynku wobec tego rozszczepienia dwu zasadniczych pierwiastków wszechświata. A więc, jak w świecie organicznym, lub nieożywionym, tam dla zjawisk duchowych, tu dla zjawisk ruchu odnajdujemy pewne równoległe czynniki w królestwie materyi tak w sferze wypadków społecznych dla każdego z nich wynaleść musimy jakiś odpowiednik, jakiś proces warunkujący go fizyczną i chemiczną przemianą cząstek. Życie społeczeństwa, jego przeznaczenie, cele i istota muszą podlegać pewnym dostrzegalnym a niezmiennym prawom, tym samym, które określają z góry byt ustrojów jednostkowych. Do tych praw należy: rozwój, wyradzanie się, przystosowanie, równowaga, rytm, słowem to wszystko, co leży w zasadzie żywych i martwych jestestw. W ten sposób wszystko, co w procesach społecznych jest oderwaném, niepochwytném, czysto duchowém, musi być sprowadzone do pewnych naturalnych, poniekąd namacalnych reguł — a to właśnie równa się syntezie.

Nie potrzeba wielkiego daru spostrzegania na to, by dojrzéć, że w tym mistycznym prologu autor upiekł dwie pieczenie przy jednym ogniu. Oto znalazł, że społeczeństwo na równi z innemi sferami zjawisk musi podlegać pewnym stałym prawom, i powtóre, że temi prawami są właśnie normy, warunkujące życie jednostki organicznéj. Ta ostatnia zasada nie wypływa bynajmniéj z pierwszéj, chyba że dośpiewamy sobie w duszy, iż Schaeffle jest zwolennikiem monistycznego na świat poglądu.

Ażeby dowieść, że uduchowione objawy zespólnego bytu, jakkolwiek oderwane, muszą miéć jednakże swój materyalny podkład, zupełnie podobny do tego, jaki posiada osobnik zwierzęcy, — autor przeprowadza swoję z góry powziętą analogią przez wszystkie składowe czynniki ciała społecznego, od najmniejszych do największych. Rysuje więc niby dwa schematy: biologiczny i socyologiczny,—ażeby przekonać, że całością jak i pojedyńczemi szczegółami są do siebie podobne aż do złudzenia, aż do tożsamości. Innemi słowy są to dwa obrazy, z których jeden jest powiększoną reprodukcyą drugiego. Porównajmy z autorem ich rysy.

A więc przedewszystkiém komórki: komórkom odpowiadają w budowie społecznéj jednostki. Podobnie jak w osobniku przestrzeń między komórkami jest zapełnioną ciałem, które nazywają substancyą międzykomórkową, tak téż i w ustroju zbiorowym, dzieląca jednostki przestrzeń zapełnioną jest materyą, na którą składają się przedmioty naszego codziennego użytku, ruchome i nieru-

chome, słowem to, co stanowi nasz żywy i martwy inwentarz. Ciekawém jednakże jest to, że Schaeffle stawia komórkę bez porównania wyżéj niż jednostkę; ta bowiem jest niczém więcéj, jak jednym z pierwiastków prawdziwéj komórki społecznéj, czyli rodziny. Jest-to, zdaniem autora, zupełnie słuszném, boć i w organizmach komórka składa się z pewnych części bardziéj pierwotnych; a nadto osobistość po za obrębem rodziny jest czémś ułamkowém, cząstkowém, niezupełném; wyrasta ona na łonie rodziny i tylko w tym żywiole nabiera istotnego znaczenia.

Ta degradacya jednostki w rozbiorze ciała społecznego stanowi, jak to zobaczymy niżéj, nietylko punkt wyjścia dla autora ale i kres, do którego świadomie i tendencyjnie dąży.

Po komórkach w drabince histologicznéj idą tkanki. Umysł niemieckiego myśliciela wybrał je sobie widocznie za pole popisu, gdyż z osobliwém zamiłowaniem dowodzi przyrodnikom, że „*tout comme chez eux.*"

Ogół tkanek dzieli on na kilka głównych kategoryi czyli zasadniczych typów, stosownie do roli, jaką odgrywają w ustroju. W ciele pojedyńczém tkanka, różnicując się, stworzyła kości, skórę, muskuły, narządy pokarmowe i nerwy. Wszystko-to po kolei Schaeffle odnajduje i w ciele zbiorowém. Kości, albo ściśléj mówiąc, system ich czyli szkielet, jest niejako fizyczną podwaliną ciała, a to dzięki swéj mocy i stałości. Możnaby je nazwać osią całego ustroju, albowiem one utrzymują w równowadze i właściwéj postaci pojedyńcze członki, na nich w rzeczy saméj *wspiera* się cała miękka i giętka reszta organizmu. Ale cóż jest systemem kostnym w społeczeństwie? Oto budowle wszelkiego rodzaju wraz z łączącemi je drogami, to jest wszelkie środki osadnicze, odbierające ludziom charakter koczowników i zamieniające ich w stałe umiejscowione grupy. Według autora, nie trudno dostrzedz w społeczeństwie ważniejsze odnogi szkieletu. Tak np. miasta wyobrażają czaszkę, miasteczka kręgi, zaś martwy inwentarz więzy, łączące kości z sobą. Dla téj grupy tkanek, która tworzy skórę i naskórek ze wszelkiemi ich odmianami, i służy do ochrony delikatnych części ciała od bodźców i wpływów zewnętrznych, mechanicznych, termicznych, chemicznych i innych, Schaeffle znalazł „*pendant*" w przedmiotach, przyrządach i urządzeniach, których przeznaczeniem jest również osłona, ochrona i obrona przed szkodliwemi czynnikami. Autor pojmuje to posłannictwo niezmiernie szeroko, gdyż zalicza do dźwigających je tkanek nawet pudełka rozmaite, opakowania, odzież, parkany, dachy, domyślać się należy że i parasole i kalosze, w dalszym zaś ciągu broń, armią i... flotę. Ni mniéj, ni więcéj, albo wła-

ściwiéj, więcéj, bo tyle, ile wyliczyć w tym szkicu nie bylibyśmy w możności.

Z kolei idą mięśnie. Ponieważ zadaniem ich jest pokonywać opór mechaniczny, przeto odbiciem ich w społeczeństwie są organy, również walkę z siłami natury na celu mające. A więc na czele ich stoi technika, maszyny, zakłady fabryczne, rękodzieła a za niemi wszystkie postaci pracy społecznéj, przetwarzające surowe żywioły w pożyteczne a nawet niezbędne podpory życia, cała sztuka, cała zmyślność, którą zwłaszcza nasza cywilizacya się szczyci.

Daleko łatwiéj wykryć w ciele towarzyskiem narządy odżywcze. Schaeffle upatruje je w instytucyach niezliczonych, w gospodarczych popędach i w całéj olbrzymiéj masie środków, którемi podtrzymuje się organizm społeczny i zaspokaja swe ziemskie potrzeby. Wreszcie wspomnieć należy o tym złożonym aparacie, który zarządza niezliczonemi czynnościami osobnikowego życia, który trzyma ster wszystkich władz duchowych i w chaos ich wprowadza ład i szyk. Mówimy tu o tkankach mózgowo-nerwowych, które, według Schaefflego, również widocznemi są w organizmie społecznym, gdzie przybierają urozmaiconą postać zasad i instytucyi, podtrzymujących jedność w społeczeństwie i skierowujących różnorodne siły do rozumnych celów.

Tak mniéj więcéj wygląda u Schaefflego teorya tkanek społecznych. Zanim przejdziemy do wyższych z kolei skupień, musimy powrócić jeszcze do istoty międzykomórkowéj. Jak wiemy już, w ciele zbiorowém składają się na nią przedmioty, znajdujące się pomiędzy rodzinami i w samych rodzinach. Substancya ta jest według autora niepodzielną, tak, iż członkowie rodzin sami niczego nie posiadają, lecz są jedynie niepodzielnymi uczestnikami wspólnego dobra. Ono zaś ma wzniosły cel łączenia komórek w jedno społeczeństwo w ten sposób, że jeśli nawet komórce-rodzinie dostanie się w udziale jakieś mienie, to tylko na prawie użytkowania własności zbiorowéj, która należy do ogółu, a nie do jednostek. Niech więc komórki nie pysznią się swoją wyłącznością, bo ta jest urojeniem, powstałem stąd, że historya włożyła na nie pewne funkcye i przeto tylko historycznie samoistność rodziny daje się usprawiedliwić.

A teraz idźmy daléj. Po tkankach następują narządy. Jest to zatém szczebel najwyższy połączeń, złożonych z niemających racyi bytu jednostek—pośrednio; bezpośrednio zaś z zespolonych tkanek. Organami w społeczeństwie są instytucye i klasy. Wobec nich już do reszty maleje indywiduum, które wtedy jedynie może się wzbić w znaczenie, jeżeli pełni obowiązki całego urządzenia. Widzimy

więc, że Schaeffle doszedł do zupełnego zaprzeczenia samodzielności jednostek; dlatego też namiętnie napada na prawo i wszystkie błędne pojęcia, zrodzone przez nie, głównie zaś na zgubną naukę o osobach fizycznych i prawnych. Stosunek ich do siebie autor wprost odwraca i twierdzi śmiało, że nie osoba prawna jest fikcyą, jak uczy prawo, lecz fizyczna,— prawna jedynie jest czémś realném. Prawo jest to szkodliwa, anti-socyalna propaganda, szerzy bowiem samolubstwo i wzgardę dla sprawy publicznéj.

Nadmienić wypada, że kaznodzieja, wyklinający w ten sposób zasadnicze nasze dogmaty, apostolstwo swe zowie, doświadczalną w ścisłém znaczeniu wyrazu teoryą, a wszystko, co się z nią nie zgadza—mrzonką, przywidzeniem.

Ostateczny wynik powyższych rozumowań jest taki: pierwiastkiem składowym ustroju społecznego są *grupy* ludzi wraz z przynależnym im materyałem surowym, narzędziami i wszystkiemi czynnikami bogactwa. Tylko one posiadają rozum i wolę. Reszta bańki mydlane. Stąd już niedaleko do duszy społecznéj, w któréj tak lubują się pisarze niemieccy, atoli szczęściem dla logiki, i tak już porządnie poturbowanéj, Schaeffle przyznaje, że tylko pod przenośnią zgodzić się można, na społeczną „psyche“, albowiem po za człowiekiem fizycznym ducha nie masz, co nie przeszkadza jednakże częstować czytelnika długiemi i nudnemi tyradami na temat ośrodków nerwowych w społeczeństwie.

Oto skrót téj części dzieła Schaefflego, która styka się bezpośrednio z naszym przedmiotem. Uważamy za zbyteczne zatrzymywać się na olbrzymich rozdziałach, poświęconych przez autora przyszłemu urządzeniu społeczeństw, a także niezliczonemu mnóstwu zagadnień nauki społecznéj. W tym nieprzebranym skarbcu znaleść można nieledwie wszystko, co kiedykolwiek służyło lub służyć będzie za przedmiot dociekania i sporów.

Ale cóż okazuje się? Cały ten potop nowych myśli, nie wyłączając i przytoczonych, za lada dmuchnięciem zimnego rozsądku, rozwiewa się jak mgła, jak fantazya poetycka od pierwszéj do ostatniéj litery. Oto przykłady.

Przypuśćmy, że życie społeczeństwa, rozumié się duchowe, należy koniecznie sprowadzić do pewnych ogólnych praw,—czyż idzie za tém, że mają to być prawa indywidualnego życia? Bynajmniéj. W téj zaś odpowiedzi, jaką nam dał autor, tkwi nieokiełznana samowola dedukcyi.

Następnie, na jakiéj zasadzie mamy nazywać ogół otaczających nas przedmiotów istotą międzykomórkową,—przecież są one ruchome, od naszéj woli zależne, przez nas stwarzane i przez nas niszczone.

Zresztą nasze domy, meble, maszyny przywozimy po części, lub całkowicie z innych krajów, z innych społeczeństw, a zatém z innych organizmów. Ciekawa rzecz, gdzie, w jakich gatunkach jestestw ożywionych, autor dostrzegł podobną wędrówkę substancyi z jednego osobnika do drugiego. Tak samo rzecz się ma i z komórkami. Jednostka nie ma z niemi nic wspólnego. Pomijamy już różnice duchowe, gdyż wobec dzisiejszego zamętu w pojęciach o psychicznéj naturze komórek—trudno coś stałego przytoczyć; ale ileż to innych niezgłębionych przepaści dzieli dwa te odmienne byty. Przedewszystkiém komórka ma swoje stałe siedlisko w danéj części ciała; człowiek zaś dziś wchodzi w skład organu rządzącego, albo — mówiąc językiem Schaefflego — tkanki kierowniczéj, jutro zaś może przejść do technicznéj. Lat kilka temu sam autor był ministrem, dziś jest filozofem, jutro gotów zostać inżynierem, a pojutrze żołnierzem. Lub jeszcze inaczéj: Schaeffle jest naraz i ministrem i ekonomistą, i myślicielem — no, a czyż komórka mózgowa w organizmie pojedyńczym bywa jednocześnie komórką żołądka?...

Posuńmy się o krok daléj. Komórkom społecznym Schaeffle odmawia wszelkiéj samoistności, wszelkiéj wagi i tylko skupieniu ich wraz z odpowiednią sumą dóbr przyznaje tytuł jednostki społecznéj, tylko rodzinie przyznaje racyą bytu. A jednakże zdaje się niewątpliwém, że autor, choć może głowa rodziny, ma swój własny majątek, prawdopodobnie dobrze zahipotekowany, i również małżonka jego, rodzice, jeśli żyją, i dzieci. Nadto ryzykownèm jest twierdzenie, że osobistość — to fikcya, że metoda doświadczalna li tylko w rodach widzi osobę; albowiem Schaeffle zapomina, że nasz ziemski wzrok, jakby na przekór, urządzeń społecznych, jako jednostek socyalnych nie widzi, a natomiast dostrzéga i jedynie bada osoby z krwi i ciała. Instytucya pozostanie dla nas zawsze oderwaniem.

Nie ma celu wytykać w dalszym ciągu błędy powyższéj teoryi, można je mnożyć tak, jak się mnoży zarodkowa komórka ustrojów, owa przypuszczalna amoeba—do nieskończoności prawie. Dziwactwa te byłyby niepojętemi dla nas, gdyby ich nie usprawiedliwiała poniekąd dążność autora: unicestwienie indywidualności, wytępienie osobistego dobra, podniesienie do najwyższéj godności zbiorowych urządzeń socyalnych. Ideał ten wyziera i z innych prac niemieckiego myśliciela, który w rozpatrywaném dziele chciał go jedynie uzasadnić, a właściwie naciągnąć i doszedł do tego, że podkopał samę analogią i ulubioną tendencyą.

Teraz już stało się dla każdego jasném, że nie dla logicznéj zabawki uczeni dowodzą podobieństwa grup towarzyskich do orga-

nizmów — lecz dla idei poważniejszéj. Jaka ożywia Schaefflego — wiemy już i zapamiętajmy ją, gdyż przyda się nam późniéj.

* * *

Krócéj zatrzymamy się nad drugim wybitnym zwolennikiem znanéj nam analogii, Pawłem Lilienfeldem.

Analogia ta stanowi dla swych wielbicieli nader wdzięczny temat, gdyż raz uczepiwszy się go, nie rychło się z nim rozstają—nie prędzéj, aż zapełnią kilka sążnistych tomów. Znajduje to potwierdzenie w tylko co wspomnianym socyologu niemieckim, któremu téż nie obcym być musi duch słowiański, dzięki stanowisku gubernatora Kurlandyi, które, zdaje się, do dziś zajmuje. W ciągu swego urzędowania wypuścił on w świat pięć grubych tomów dzieła „*Gedanken ueber die Socialwissenschaft der Zukunft.*“ Z początku, a mianowicie w pierwszych częściach autor nazwiska swego nie ogłaszał, podpisując się jedynie swojemi inicyałami (P. L.), z czasem jednakże bojaźliwość pierzchła i gdy praca jego, bądź-co-bądź godna uwagi i osobliwa, zaczęła zwracać na się oczy uczonego świata i zaszczyconą została kilkakrotnie pochlebnemi odezwami, a w tym i owym znalazła nawet zapalonego czciciela, śmiało imię swe ogółowi wyjawił. Niezależnie zupełnie od myśli przewodniéj swego ogromnego wydawnictwa zyskał on sobie powszechny szacunek i niesłychaną erudycyą, którą ujawnił jednakowo we wszystkich działach „Myśli“, a specyalnie w tomie 5-m, gdzie zszedłszy z gruntu przyrodoznawstwa i nauki społecznéj w ścisłém znaczeniu, wkracza na obce profanom pole teologii i historyi religii i rozwija zdumiewające w tym zakresie oczytanie, jakiém poszczycić by się mógł nie jeden „książę kościoła.“

Lilienfeld, jak i duchowi jego towarzysze, przy całéj swéj pasyi do uszczęśliwiania społeczeństwa nowemi pomysłami, jest nadewszystko filozofem. Ogólny pogląd na świat jest tłem, podstawą, na któréj umocował dopiéro swoje wróżby i reformy socyalne. System jego jest nie nowy, choć określenie, jak zobaczymy, dosyć oryginalne. Na liczne zarzuty wzorowania się na Comt'cie, Spencerze i innych Lilienfeld odpowiada obroną, która wszakże zostaje bezowocną, o ile dotyczy uporządkowania zjawisk wszechświata w pewną klasyfikacyą, tu bowiem model francuskiego pozytywisty odegrał ważną rolę. Owa „realna analogia“ jest właśnie tego skutkiem, innemi słowy, następstwem bliskiego sąsiedztwa nauk o życiu i społeczeństwie, sąsiedztwa, które dziś już widzą i wyznają świadomie, lub bezwiednie wszyscy prawie myśliciele, życzliwi czy wrodzy Comte'owi. Co do reszty, Lilienfeld przypomina bardzo Spencera i Leib-

nitza. Sensualizmu się wypiera w następującéj formułce: *nihil est in intellectu, quod non prius fuerit in sensu, nisi intellectus ipse.* „Nie ma nic w umyśle takiego, coby nie przeszło najpierw przez zmysły, prócz samego umysłu“, który tym sposobem uznanym zostaje za władzę pierwotną, wolną, idealną. Stosunek ducha do materyi określa również ciekawém prawidłem. Oto udział téj ostatniéj we wszechbycie, w tak zwanéj substancyi, zmniejsza się stopniowo na korzyść pierwiastku idealnego w kierunku od istot nieorganicznych ku najwyższym organicznym, jakiemi są społeczeństwa ludzkie, a w końcu najbardziéj uduchowiony ustrój chrześciański, czyli organizm złożony z komórek—chrześcian. Tym sposobem zjawiska kosmiczne układają się w szeregi, a te znowu w drabinkę, albo, jak woli Lilienfeld, w postęp geometryczny, którego pierwszy wyraz składa się z nieskończenie wielkiego materyalnego licznika i bezgranicznie małego idealnego mianownika — ostatni zaś, przeciwnie, z tychże pierwiastków, lecz w stosunku odwrotnym. Nie mniéj szczególném jest, że autor ten nie tylko w społeczeństwach ludzkich widzi wszystkie bez wyjątku cechy ustroju, ale, jakeśmy wzmiankowali, w religijném bractwie chrześcian, czego usiłuje dowieść w tomie piątym przy pomocy ogromnego materyału teologicznego.

Lilienfeld jest może najzaciętszym bojownikiem organicznego na społeczeństwo poglądu. Zarówno w skupieniach socyalnych, jak w bractwie wiernych, jako takiém, z niesłychaném zaślepieniem odkrywa wszystkie bez wyjątku właściwości pojedynczych organizmów, przez co uproszcza się znakomicie nasze zadanie. Zbiorowe jednostki Lilienfelda podlegają całkowicie i bezwarunkowo prawom biologii, które dzieli na trzy główne kolumny: fizyologicznych, morfologicznych i tektologicznych; każdéj z nich poświęcił osobny tom. Pierwsza obejmuje prawa odżywiania ciała społecznego, druga normy i urządzenia prawne, czyli innemi słowy, te formy i kształty, jakie przybierają składowe czynniki takiego osobnika, i postaci wzajemnych między niemi stosunków prawnych, wreszcie trzecia wyczerpuje ogół praw politycznych, t. j. kierujących życiem organizmu. W każdym z tych działów uderza czytelnika nieograniczona moc danych naukowych, porównań, szczegółów analogii, które w podziw wprawiają, ale nie wpajają w nas żadnego do siebie przekonania. Przebiegamy te nieprzebyte lasy dowodów, — oszołomieni, ale.... chłodni i obojętni.

Lilienfeld nader szeroki stawia zakres socyologii i pragnie być dla niéj tém, czém np. Wagner dla muzyki, t. j. nie tylko apostołem lepszéj przyszłości, ale i prorokiem odrodzonéj wiary. W owym organizmie bractwa ewangelicznego, jak w ognisku, zbiegają się pro-

mienie poprzednich jego nauk; ono jest kresem, kwintesencyą moralną całego wykładu. Idea organizmu posłużyła za most, łączący dwa odwiecznie wrogie obozy: naukowy i religijny. Dziwne to na pozór, a jednak prawdziwe. Oto jakim sposobem. (Patrz *Versuch einer natürlichen Theologie*).

Bractwo chrześciańskie jest „realnym organizmem"; to znaczy, że nie jest nim w przenośni, w retorycznéj mowie, ale i w rzeczy saméj: nie brak mu zgoła żadnéj z cech znamiennych ustrojowości. Są tam i narządy i funkcye. Są komórki, istota między komórkowa. włókna, ośrodki nerwowe, odruchy, ruchy, wszelkie czynności. Głównym organem jest Chrystus. Rola i dzieje jego nie są mytem, lecz faktem biologicznym. Gdy pewne skupienia tkanek tracą energią życiową, inne poświęcają się dla ich podtrzymania. Chrystus w taki sam sposób poświęcił się dla zbawienia ludzkości wraz z wieloma świętymi. Nagromadzenie cnót ma tę samę własność, co nagromadzenie życiowych soków w cielesnych organach, co nagromadzenie kapitału w pewnych klasach społeczeństwa, pozwala ono innym, mniéj zasobnym w materyalne lub duchowe dobro organom korzystać z kredytu.

I myt o Adamie i Ewie, i teoryą aniołów, i objawienie i wszystkie sakramenta bierze nasz filozof na seryo i wynajduje im odpowiednie miejsce w organizmie ewangelicznym, mając je za pewne realne procesy życiowe. Wiarogodność „historyi świętéj" i „dogmatów" nie podlega więc wcale sporowi, — jedynie wątpliwość zachodzi co do tego, która z postaci chrystyanizmu jest racyonalniejszą: katolicyzm, trochę zanadto materyalny, zanadto na formach i obrzędach oparty; czy protestantyzm, za nadto idealny, za mało przez ceremoniał i kościół uzewnętrzniony. Prawa o dziedziczności, walki o byt, przystosowania również wielkie spełniają posłannictwo w dziejach nieśmiertelnego tego organizmu. One to sprawiły, że pochwycił on co najlepsze z filozofii klasycznéj, że stał się spadkobiercą przedniejszéj myśli greckiéj i przed-greckiéj, że umiał zawsze dopasowywać się do wymagań i nastroju ludów, które weń wierzyły i tym sposobem zdołał przetrwać w całéj coraz rosnącéj potędze do dnia dzisiejszego. Wszystko to Lilienfeld nazywa „nauką socyalną" wprawdzie „przyszłości", — ale to pewna, że społecznych myśli w niéj mało. A w każdym razie zeszły one jakoś na drugi plan.

Widzimy zatém, że urojeniom i oderwaniom niczém nieuzasadnionym Lilienfeld chiał nadać cechę realizmu, wycisnąć na nich pieczęć naukowości, uświęcić powagą przyrodniczéj ścisłości, by ostatecznie pogodzić wszystko, co jest na świecie powaśnionem. Do tak wzniosłéj zaiste misyi wybrać ideę organizmu—pomysł nowy i oryginalny! Szkoda, że... jałowy.

Lilienfeld najszerzéj chciał wyzyskać pojęcie organizmu, a analogią posunął do ostatecznych krańców. Jest on tego świadom, bo powiada: jeżeli uznawać podobieństwo między społeczeństwami a organizmami — to bezwzględnie, jako realną analogią, jako tożsamość, połowiczni zwolennicy są to najgroźniejsi wrogowie całéj szkoły. A przecież ten sam uczony drwi z kilku swoich sprzymierzeńców, którzy w społeczeństwie dopatrują się gwałtem pewnéj określonéj formy zwierzęcéj.

Wywody praktyczne „homologii“ Lilienfelda się smutne. Członek społeczeństwa jest marną komórką, prochem odpadłym od wielkiéj jednolitéj bryły, bez któréj żyć nie może. Niechaj nie próbuje wyzwalać się i dobro swoje przeciwstawiać lub choćby stawiać na równi z interesem całego społeczeństwa. Panują nad nim wszechwładnie prawa organizmu, których interes osobisty, zachcianki indywidualne nie złamią—lepiéj więc się poddać.

Skarana na zagładę swoboda jednostki zżyma się na ten okrutny wyrok i na szczęście podyktowało go tylko zaślepienie uczonego. Zobaczymy, że Lilienfeld jest najsurowszym z całego grona, rychło więc z nim rozstajemy się.

* * *

Pożegnawszy owych mglistych uczonych niemieckich, którzy zaleli swe teorye potopem ciężkich terminów i stworzonych *ad hoc* pojęć w rodzaju „realnéj analogii“ lub „analogii natury“, w przeciwstawieniu do „analogii umysłu“, jak gdyby istniała jakaś analogia po za nim—przechodzimy do myśliciela grubszego kalibru, do człowieka, który swym wpływem rozległym szczególnie przyczynił się do nadania teoryi organicznéj¡praw obywatelstwa; jest nim anglik, Herbert Spencer. Przeskok ten równa się przejściu z mroku do światła. Pomysły Schaeffle'go i Lilienfelda są w stanie wywołać zawrót głowy właściwą im „*Spitzfindigkeit*“. Gdyś już nareszcie zapoznał się z ich sążnistemi tomami, zapytujesz: koniec końców, jakże pojmują oni społeczeństwo; jest że ono ustrojem? Nie, nie jest, boć przecie sam Schaeffle uprzedza o mnóstwie kardynalnych między nimi różnic, choć za chwilę o tém zapomina. Lecz może to ustrój „*sui generis*“. Nie, to rzeczywisty organizm—co wypływa z realnéj analogii; lecz czémże jest znowu ten dziwoląg? jakąś *contradictio in adjecto*, która dla autorów samych wytwarza plątaninę bez wyjścia a dla czytelników jest już całkiem niedostępną. Zdaje mi się, że trzeźwemu wzrokowi ten łańcuch wywodów, przemocą poszczepianych z sobą, przypomina bardzo zagadnienia scholastyków jak np. to: czy osioł przywiązany jest do drzewa, czy drzewo do osła?

Spencer przez swą wyrazistość tworzy kontrast z rzeczonymi pisarzami. Nawet najbardziéj naciągane dowodzenie przybiera u niego pozór prawdopodobieństwa i narazie olśniewa. Ciemności rozjaśnia wykład przejrzysty jak górski kryształ, nader zręczne ustawienie faktów. Zalety te zyskały utworom Spencera olbrzymi, więcéj niż zasłużony rozgłos, a jego teorya społeczeństwa służyła za główną zachętę pokrewnym uczonym, jak znany nam Schaeffle, który sam się do tego tu i owdzie przyznaje, jak Fouillé i inni, a w każdym razie nie ma dziś pisarza społecznego, któryby miał odwagę nie liczyć się z „Zasadami Socyologii“. Na pierwszy rzut oka dziwném się wydaje, że syn trzeźwéj Anglii poddał się urokowi szkoły organicznéj i zupełnie poważnie opracowuje osławioną analogią, ale zapoznawszy się jako tako z całym jego systematem filozoficznym, daleko łatwiéj tę anomalią zrozumiéć. Owóż Spencer jest przedewszystkiém przyrodnikiem, a osobliwie biologiem; badanie istot ożywionych stanowi, rzec można, punkt wyjścia wszystkich jego uogólnień. Treść swéj olbrzymiéj pracy „System filozofii syntetycznéj“ rozłożył w ten sposób, że jak u Comte'a socyologia znalazła się na końcu—nie liczymy rozumie się etyki jako na wskróś filozoficznego działu, reasumującego wszystko co powiedziano przed nim, kazał więc tamtéj zbierać owoce, nad któremi pracowała nauka o życiu wraz z nauką o duszy. Myślą zasadniczą, przenikającą wszystkie jego doktryny, jest idea *ewolucyi*, którą przeprowadza konsekwentnie od świata nieorganicznego aż do uduchowionego, tj. do organicznego i społecznego. Ewolucyą tę pojmuje w ten sposób, że wszystkie znane zjawiska nas otaczające układa pod względem duchowego wyrobienia, czy téż udoskonalenia, w drabinkę złożoną z mnóstwa szczebli bardzo blizkich siebie—i tak iż każdy stanowi stadyum rozwoju bardzo blizkie następnego. Innemi słowy, nie wierzy w *rewolucyę*, którą uważa za negacyę, przeciwstawienie ewolucyi. Wpływ téj zwierzchniczéj zasady stopniowego doskonalenia się bytów, odnajdujemy w teoryi społeczeństwa, w którém Spencer widzi jedynie wyżéj uposażony ustrój. Zauważyć jednak należy, że przeoczył on jednę bardzo ważną okoliczność, która go pozbawia prawa bezpośredniego zczepiania nauki o społeczeństwie z nauką o życiu, on to bowiem wstawił w klasyfikacye Comte'a pomiędzy dwie rzeczone dziedziny psychologią, czém zaznaczył znakomitą odległość zjawisk specyficznie społecznych od pojawów specyficznie życiowych.

Po tym wstępie ogólnym, dotkniemy już saméj teoryi społeczeństwa. Dla czegoż, według Spencera, skupienia ludzkie należy uważać za pojedyńcze organizmy? Oto dla tego, że jak ich pierwowzory, rodzą się, żyją, rozwijają się, chorują, umierają. W istocie dużo

tu zachodzi podobieństwa, prawdą jest, że z ograniczonéj liczby jednostek drogą rozmnażania powstaje gromada, prawdą jest, że społeczeństwo przy odpowiednich warunkach wzrasta w potęgę i trwałość, prawdą jest wreszcie, że wskutek nadużyć, lub braków w życiu choruje, niszczeje i do pewnego stopnia umiera.

Nadto Spencer dostrzega bliskie podobieństwo w budowie obu całokształtów: społeczeństwa również składają się z komórek, istoty międzykomórkowéj, z organów jeden drugiemu podporządkowanych. W miarę rozwoju zachodzą w nich jakoby też same zmiany, które łatwo dostrzegamy w pojedyńczych ustrojach, a mianowicie potęguje się wzajemna zależność narządów, czego prawie że niema wcale w typach pierwotnych jak np. w koralach; a jednocześnie zwiększa się różnorodność, specyalizacya i liczba organów. Tak np. według Spencera, system narządów roznoszących po społeczeństwie soki ożywcze na podobieństwo takiegoż aparatu w jednostkach dopiero z czasem dosięga prawdziwie celowéj doskonałości.

Bliżéj uzasadnia Spencer analogią w rozdziałach poświęconych każdy z osobna jednéj z trzech głównych grup narządów: wytwórczych, rozdzielczych i rządzących albo raczéj kierowniczych. Znajdujemy tam te same, mniéj więcéj, spostrzeżenia, jakie poczynili w tym względzie Schaeffle i Lilienfeld. Wiele téż prawi Spencer o powinowactwie procesów odżywczych. Podobnie jak w ustrojach pojedyńczych każda część kanału pokarmowego ma swój cel i odgrywa swoję rolę w ogólnéj działalności odżywczéj, tak téż w zorganizowanych gromadach ludzkich rozmaite części terytoryum wytwarzają różne gałęzie przemysłu, stosownie do rodzaju produkowanego przez się surowego materyału. Narządy podziału upatruje nasz myśliciel w systemacie dróg i komunikacyi, które ma za istotne arteryc. Znamienném jest, że to co Schaeffle odkrywa w kościach, mianowicie mechanizm komunikacyjny, dla Spencera spoczywa w naczyniach krwionośnych. Zdaniem tego ostatniego, w obu porównawczych sferach, w miarę rozwoju ogólnego, ulepsza się i sieć komunikacyi, mnożą się jéj środki i sposoby, drogi stają się prawidłowszemi i dogodniejszemi oraz zyskują na rozgałęzieniu. Nie pamiętam już w którém miejscu, Spencer cieszy się niezmiernie z odkrycia przez siebie kolei żelaznych w indywidualnych ustrojach i chciwie rzuca się na podwójne linie szyn, w których wita podwójne naczynia krwionośne, pędzące krew do serca i z serca.

Jeszcze więcéj pomysłowości okazuje filozof angielski, porównywając systemy narządów kierowniczych, przyczém spora cząstka przypada na ulubioną naukę Spencera oześrodkowywaniu się procesów duchowych. U istot słabo rozwiniętych centralizacya władz

niematerYalnych wynurza się nader skąpo, tak iż prawie że równomiernie rozlane są po całém ciele, jak np. czucie, a środkowego siedliska ducha w nich niepodobna dobadać się. Toż samo zachodzi i w społeczeństwach zarodkowych, gdzie poczucie łączności i jedności władz jest błahem i nie wytrzymuje silniejszego naporu z zewnątrz. Lecz jak tam pod wpływem walki o byt i skojarzonych z nią czynników duch potęguje się i skupia, coraz to widoczniéj ogarniając pewien organ centralny—tak i tu walka z sąsiadami wzmacnia władzę państwową i sprzęga rozstrzelone pierwiastki. Z jednéj strony komplikuje się gałąź nerwów przenoszących rozkazy i życzenia, wychodzące z ogniska, z drugiéj znowu—mnożą się sposoby przesyłania rozporządzeń administracyjnych. Staje się szybszą i regularniejszą komunikacya głównego siedliska czucia z peryferyami, w jednostce dzięki mnóstwu nerwowych nici, w społeczeństwie dzięki telegrafom, poczcie, dziennikarstwu itd., do których Spencer w nowém wydaniu zapewne nie omieszka dodać telefonów Bella. Nadto w ustroju, prócz powyższych roznosicieli uczuć, myśli i ruchów, znajdują się samoistne grupy nerwów, jak sympatyczne, kierujące działalnością odżywczą i naginające dostawę krwi do potrzeb miejscowych. Otóż *pendant* takowych, wedle Spencera, mają stanowić w ekonomii społecznéj te specyalne prawa, które rządzą produkcyą kraju oraz te urządzenia bankowe, które normują zasób niezbędnego kapitału, zwiększając go, lub uszczuplając stosownie do potrzeb.

Nie będziemy daléj snuli wszystkich włókien podobieństwa, zauważymy jeszcze tylko, że Spencer organy zewnętrzne odnajduje również w społeczeństwie, a mianowicie w jego środkach obrony: w armii, flocie etc. Natomiast zważmy wartość téj misternéj paraleli i tkwiącéj w niéj myśli przewodniéj.

Wypada oddać Spencerowi sprawiedliwość, że sam nie zamyka oczu na rdzenne pomiędzy obydwoma szeregami tworów różnice, wielkiéj jednakże liczby ich nie zauważył. Tak np. społeczeństwa, jak wiadomo, posiadają dar wzrostu, obcy zupełnie jednostkom, a mianowicie drogą podbijania innych gromad ludzkich i wcielania ich w siebie. Następnie pojęcie śmierci w ścisłém znaczeniu wyrazu nie może miéć zastosowania w historyi społeczeństw, albowiem, w najgorszym razie, mogą one utonąć w innych, zlać się z niemi, zmienić pewne cechy charakterystyczne, jak religią, język, właściwości rasowe pod wpływem czynników zewnętrznych, ale nigdy skonać. Rzymianie, Grecy, Fenicyanie, Indusowie, Chaldejczycy, Persowie doświadczali najbardziéj burzących wstrząśnień dziejowych a wszelako *in corpore* żadna siła wytępić ich nie mogła i nie może. Więcéj nie potrzeba.

Nie więcéj jest udatném upodobnienie gospodarki społecznéj do czynności odżywczych w jednostce: tu ona wychodzi z jednego źródła, żołądka i rozchodzi się w zmienionéj postaci po całym organizmie—tam każdy pracuje dla siebie.

Dwa prawa zasadnicze, całkowania i różnicowania, w których ma przebijać się naczelne prawo wszelkiego rozwoju, również nie osobliwie licują ze społeczeństwem, a przecież to są tematy ulubione Spencera, konik z którego prawie nie zsiada. W świecie osobników odkrycie to przekonywa i potwierdza zjawisko, że ustroje w miarę postępu coraz bardziéj jednoczą się w sobie, skupiają sprzęgają, a jednocześnie struktura ich zbogaca się nowemi narządami. Dowodów daleko szukać nie potrzeba—dosyć zestawić gatunki niższe z wyższemi. Jednak reguła ta w skupieniach ludzkich wyśledzić się nie daje na nieszczęście dla hipotezy, choć doprawdy na szczęście dla dobra człowieka. Postęp społeczeństw przedewszystkiém wyrażać się musi w *zrównaniu* politycznem, ekonomiczném i umysłowém obywateli, w usuwaniu różnic kastowych. Dziś szczycimy się humanizmem, który powstaje przeciw specyalizacyi organów. Zwęża ona koryto życia jednostkowego, czyni je jednostronném, gdyż zupełnie naturalnie przytępia, lub zgładza te zdolności i siły, których nie ma się sposobności ćwiczyć. Podział pracy nietylko w zajęciach fabrycznych obniża intelektualny poziom człowieka; też same skutki wywołuje on i na szerokiéj arenie cywilizacyjnego życia, skazując większość na żywot zwierzęcy, nieświadomy, a uprzywilejowanéj mniejszości zapewniając udział w rozkoszach duchowych. Dzisiejsza téż idea państwowa tu i owdzie przeciwdziała złu. Tak np. wkładając na wszystkich obowiązek bronienia ojczyzny, do czego wieki średnie dawały prawo tylko szlachcie feudalnéj. W ten sposób zanika stopniowo surowa klasa wojowników, nie zdolna do niczego prócz wojaczki, łupiestwa, rabunku, zasklepiona w najgrubszych obyczajach, oddzielona od reszty obywateli chińskim murem przesądów i spaczonych pojęć. Do tego samego zmierza polityka gospodarcza, gdy wymaga dla robotników pewnego wykształcenia, gdy usiłuje uprzystępnić im dorobek cywilizacyjny, gdy wreszcie od warstw nieprodukcyjnych domaga się udziału w pracy technicznéj.

W praktyce Spencer daje prawom całkowania i różnicowania bardzo duże zastosowanie. W lennym stosunku poddaństwa do niéj stoją znakomite jego prace o stopniowém powstawaniu władzy monarchicznéj, religijnéj, władzy obyczajów, słowem to wszystko co zapełnia II-ą część zasad socyologii oraz jéj zarodki wydawane p. t. „Essays".

Spencerowska teorya społeczeństwa stanowi, rzec można, syntezę innych postaci tego samego organicznego kierunku, godzi ona ich sprzeczności w przestrzeni, tak jak czyni to w czasie nauka Fouillé'go. Łączy ona dozgonnym węzłem małżeńskim podzielność, dyskretność materyalnéj istoty społeczeństwa z solidarnością czyli niepodzielnością jego duchowego pierwiastku. Przyznaje ona, że osobnik nie jest bezwiednie i niewolniczo przykutym do całości, żyjącym tylko dla niéj, a jednocześnie duchowości społecznéj stawia za ideał całkowanie, jedność. Tym sposobem prawo wielości i prawo jedności zaprzężone są do jednego rydwanu, synteza podobna— to mrzonka. Są to dwie niepojednane siły, odśrodkowa i dośrodkowa, jedna drugą neguje, paraliżuje, wywołuje rezultat wprost przeciwny temu, jakiego oczekuje autor. Im bardziéj, powtarzamy, klasa społeczna jako organ ciała społecznego oddaje się swéj specyalnéj funkcyi, tém widoczniéj odżegnywa się od wspólnéj samowiedzy i staje się automatem, martwą sprężyną. Oto rdzeń sprzeczności, które podkopują zgrabny gmach rozumowań Spencera i ściągają nań grady napaści i słusznych a surowych krytyk.

(*d. n.*) *Napoleon Hirszband.*





Ryszard Wincenty Berwiński.

RYS BIOGRAFICZNO-KRYTYCZNY.

II.

Z przedstawionego obrazu życia Berwińskiego widzimy, że w zakresie twórczości literackiej (1) może on być rozpatrywany: jako pisarz polityczny, t. j. publicysta; jako zbieracz poezyi ludowéj, przeważnie epickiéj; jako dziejopisarz a zarazem krytyk téj twórczości; a wreszcie, jako poeta-liryk. W piérwszych trzech grupach zasługa jego dla literatury naszéj jest, że tak powiem, doraźna i tak drobna, że bliżéj tu nad nią zastanawiać się nie będziemy. Natomiast, jako poeta satyryczny, a zwłaszcza erotyczny, zajął Berwiński tak wyraźnie określone i tak wysokie stanowisko, że zasługuje na szczegółową ocenę.

Skarby te liryzmu polskiego zawierają się w dwu małych tomikach poezyi, nie przenoszących razem dwustu czterdziestu stron bujnego druku, a włączając do tych „*Poezyi*", wydanych w Poznaniu (t. I) i w Brukseli (t. II), kilkanaście ustępów wierszy pojedyńczych, bądź w rękopiśmie pozostałych, u przyjaciół lub u rodziny, bądź też drukowanych w „Tygodniku Literackim" i w „Przeglądzie Naukowym" (warszawskim), najwyżéj do 300 str. dochodzą.

Z istoty swojéj rozpadają się one na trzy grupy: *a) Księga światła i złudzeń*, jak nazywa Berwiński, są to poezye wyłącznie *erotyczne*; *b) Księga życia i śmierci* — poezye społecznéj i polityczno-lirycznéj treści; *c)* trzecią grupę stanowią utwory jaskrawym indywidualizmem i jaskrawszą jeszcze ironią nacechowane,—są to: *Don*

(1) Obacz niżéj przypisek na stronie 480.

Juan Poznański, *Parabaza* do Don Juana i *Ostatnia spowiedź w starym kościele.*

Erotyki Berwińskiego są zaokrągloną i mistrzowską całością, dzieje jego serca odsłaniającą. Ułożone, jak się zdaje, w porządku chronologicznym, coraz inne kształty i stopnie uczuć w biegu czasu wypowiadające, z wyjątkiem wiersza p. t. „*Żeglarz*", epizodycznie tu wtrąconego, a ułożonego w kształcie niby ballady; wiersz ten i pod względem pomysłu jest słaby i jak sam poeta przyznaje, mający bliskie powinowactwo ze Świtezianką Mickiewicza i pod względem formy należy do najsłabszych. Wyjątkowe również stanowisko zajmuje drugi w tymże rodzaju p. t. *Tajemnica*, także całkiém oryginalności pozbawiony, bo przypominający liczne téjże treści utwory romantyków, nawet A. E. Odyńca (Na zamku kasztelana...), a chorobliwym, średniowieczno-rycerskim idealizmem zabarwiony i zaledwo lekką nicią wspólnictwa spojony z całą jego twórczością erotyczną. W tych obu ustępach, a zwłaszcza w „Żeglarzu", jeszcze prawie brak wyrobionéj formy, poeta porusza się cały w zapożyczonym od Mickiewicza rynsztunku stylistycznym, oczywiście, jak każde naśladownictwo, mniéj szczęśliwie wykonanym, a stąd i myśl płynie rozwlekle, nudnie, gawędziarsko. Za to wszystkie inne ustępy są malutkiemi arcydziełami, w których poeta zdobywa się na oryginalną, wyrazistą indywidualnością swoją formę wygłaszanych uczuć, co właśnie najważniejszą i najtrudniejszą stronę w erotyce stanowi.

Powiadają, że ze wszystkich odcieni uczuć, jakich dotykać może poezya, miłość najważniejszą gra rolę; że z jéj sposobu traktowania określić można nie tylko człowieka, twórcę téj miłości, ale i duch czasu, oraz nastrój ogólny wyobrażeń w danym czasie panujących. Otóż z Berwińskim ma się wręcz przeciwnie: gdzieindziéj (w „Księdze życia i śmierci", w „Spowiedzi", „Parabazie") w społecznéj i politycznéj treści lirykach, odsłania do naga nie tylko siebie, ale i owoczesny nastrój społeczny, gryzące jego rany nieuleczalne, odszkicowane oczywiście w sposób niepomiernie przesadny; ale w erotykach tego wcale nie widzimy. Tam, realista z przyrodzenia nieustanną stacza walkę z panującym idealizmem literackim i jego wynikiem poetycznym—romantyzmem. Ta tedy właśnie walka stanowi tajemnicę całéj ekspresyi piękna i oryginalności rysunku jego liryzmu: tam nawet, gdzie poeta poniewolnie rynsztunek romantyczny przywdziewa, gdzie się skarży na zawody miłosne, kiedy mówi o sobie: „On zawsze w snach żyjący, a śniący na jawie, Nigdy nazbyt wesoły, a zawsze nieśmiały", — albo kiedy wyrzeka, że „bez słońca, bez gwiazdy" swojéj prowadzić musi żywot tułaczy — i tam nawet czuć jakąś męskość, jakieś potężne uczucie, pulsujące

w łonie człowieka, który nawet potrzebując zgiąć kolano, umié być dumnym i niezależnym. Lubo tedy wogóle widzimy w erotykach, że jest nieco skrajnym romantykiem, bez ballad i światła księżycowego obejść się nie mogącym; mimo to przedewszystkiém jest *sobą*, człowiekiem, który nie waha się w złéj czy dobréj doli do swojéj Stelli ziemskim przemawiać językiem. Czuć w nim krew młodzieńczą, niekiedy do wysokiéj temperatury namiętności podniesioną; ale ta namiętność jest szlachetna, czysta, wolna nietylko od wszelkiego wyuzdania, ale od takiéj np. plastyki zmysłowéj, w jakiéj się lubował Jędrzéj Morsztyn, kiedy mówił: „I wiersz niedobry, kiedy nie swawolny.“ Przeciwnie, B-ski zmysłowość z pogardą odrzuca:

„A paść jéj lice nie będę śnieżne,
Tak jakby innym przystało;
Ni rąk uściskiem, okiem lubieżném:
To wszystko ciało — precz ciało.“

Pierwszy ustęp „Księgi świata i złudzeń“ p. t. *Wstęp i koniec*, jak sam tytuł wskazuje, jest niby zreasumowaniem wszystkich przejść jego erotycznych; mówi, że „nie jednę perłę Kleopatry z niejednéj czary wychylił“, że „pił z kielicha miłości“ i „na dnie dopił się jadu.“ A więc świat szczęsnych złudzeń stoi prawie tuż obok z rozczarowaniem, — a za całe wspomnienie tego dziwnie powabnego marzenia młodości, pozostał pomnik z wystudzonéj już niby „lawy uczuć“ jego, z napisem: „*Minęło.*“ Wiersz ten piękny, ale nie należy do najlepszych; estetyczna wartość jego opiera się głównie na porównaniach — z motylem, morzem, wulkanem, które wogólności pięknie harmonizują z całością obrazka.—„*Piérwsze sny*“ jest-to właściwy początek jego erotycznych natchnień, poeta cały opromieniony najwznioślejszym idealizmem i czystością uczucia, buja w nadziemskich sferach na sposób ultra-romantyczny, gdzie w eterycznéj osłonie widzimy ideał jego marzeń czy uczuć (bo tego dwojga oddzielić niepodobna):

„Marzę o tobie, o niewcielona
Serca mojego kochanko!
O tobie, gwiazdo mojego łona,
Mojego nieba mieszkanko!
Marzę i tęsknię — i mleczną drogę
Snów mych zawieszam na niebie.“

Ustęp ten z tego względu należy do najcharakterystyczniejszych, że najmocniéj jest zabarwiony kolorytem panującego romantyzmu; zdobią go szczęśliwe metafory, lubo zrzadka wyskoczą i mniéj udatne wyrażenia (jak owa „Gwiazda mojego łona“), które przekonywają czytelnika, że wiersz ten należy do wcześniejszych płodów muzy jego erotycznéj.—„*Pierwsze zbudzenie*“ z tego powodu zwraca na sie-

bie uwagę krytyka, że tu już forma jego liryzmu podnosi się na te wyżyny piękna, które uwydatniają go w literaturze naszéj. Fluktuacya wprawdzie uczuć, a zwłaszcza ostatni ustęp („Ty zwiędniesz, a ja będę jak śpiewak szalony...“) jest tego rodzaju, że przypomina twórczość arcymistrza jego w poezyi — Mickiewicza, czuć całą romantyczną sferę, wśród której krąży pieśniarz,— ale zarazem celuje tu jako poeta potężnéj siły liryzmu i zarysowuje odrębność i wyrazistość swojego talentu. Co do treści, są to dzieje piérwszego zawodu w miłości, ale trudno mi odpowiedziéć, czy piękny obraz piérwszéj rany jego miłosnéj stosuje do p. W....ówny, czy jest tylko ogólném obrazowaniem dziejów jego serca? Materyały, jakiemi rozporządzać mogłem, nie podają mi odpowiednich komentarzy, a dalszy wiersz p. t. „*Do jednéj dla wszystkich*“, zdaje się usprawiedliwiać to drugie przypuszczenie, bo chociaż i tam mowa o głównym ideale jego („I ty moją miłością chcesz być nieśmiertelna“), ale wypowiada poeta bardzo wyraźnie tę myśl, że cierpienie jego nie jest czémś wyjątkowém, że cały ten motylkowaty ród niewieści na jednę modłę odwzorowany: każda z nich ma w pamięci Laurę czy Marylę, każda nie waha się bohatera swego wykierować na zbłąkanego Gustawa.

„*Wspomnienia*“—to najpiękniejszy obraz indywidualności poetycznéj Ryszarda Berwińskiego i dominującéj siły jego uczucia,— ma jednak pewne wspólnictwo w wypowiadaniu boleści swoich „z metodą“ artystyczną mistrzów, u których może mimowiednie musiał się zapożyczać, a przedewszystkiém u Mickiewicza („Sonety“, „Dziady“). Mylne natomiast jest zdanie pani Marrené, jakoby wiersz ten miał być naśladowaniem „Godziny myśli“ Słowackiego. Lubo w téj epoce Berwiński znał doskonale twórczość Słowackiego, a w czasie późniejszym łączyło go pewne powinowactwo zasad socyalnych, nie mniéj przeto Mickiewicz tak przeważny ma wpływ na niego, że dla Słowackiego miejsca już być nie mogło. Z notatek Berwińskiego, jakie miałem pod ręką, oraz z „Listów z narodowéj pielgrzymki“, widzę, że więcéj niż Słowacki wpływaćby mógł na niego Z. Krasiński, którego i pilnie studyował i estetyczne swoje poglądy na niektórych jego utworach opierał („Irydyon“, „Nieboska“, „Przedświt“); ale i Krasiński musnął tylko, że tak powiem, jego lirę, trwalszego nie pozostawiwszy wpływu nad pewne zwroty stylowe; wykażemy to zresztą niżéj, rozbierając język i styl Berwińskiego. A tymczasem zapytajmy siebie: ile „Wspomnienia“ mają wistocie wspólnictwa z „Godziną myśli“? Prócz tego, że oba obrazki liryczne sięgają w przeszłość uczuć doznawanych—nic więcéj. Słowacki zresztą nie mówi w „Godzinie“ wyłącznie o swojéj pierwszéj

miłości, ale zestawia tę miłość z przyjaźnią do Szafnagla, kolegi szkolnego,—los nawet serdecznego przyjaciela, jak się zdaje, więcéj ustawiony na pierwszym planie, niż dzieje jego własnego serca. Co się tyczy tych ostatnich, to wiemy, że była to w saméj rzeczy *pierwsza* jego miłość; tymczasem o „Wspomnieniach“ tego wcale powiedzieć nie można, albo raczéj przypuszczać należy, że była-to tylko *najsilniejsza* jego miłość. Tyle co do tła ogólnego; a co się tyczy szczegółów, jakże nieskończenie odmienne oba te obrazy erotyczne! „Dziewica-anioł“ Słowackiego „jak wróżka odgaduje przyszłość nieszczęśliwą młodzieńca“, więc odwraca odeń oczy i leje łzy... Nic podobnego nie czytamy we „Wspomnieniach“: tam jeszcze nie ma cieniów, nie ma łez—tam tylko świetlane barwy szczęścia, zachwytu, miłości, — tam, według słów B-go, szczęśliwy kochanek, „niebo całe w jéj wdziękach przyciska do łona.“ Wreszcie pod względem samego kolorytu poetycznego „Godzina myśli“ ma cechę spokojnéj elegii, na łagodném rozpamiętywaniu *przeżytéj już przeszłości* osnutém, elegii, w któréj przeważa raczéj refleksya, niż żywo tętniące uczucie; Berwiński zaś wprawdzie także o przeszłości mówi, ale tak jeszcze żywo czuje, tak każdy szczegół wdzięku Stelli swojéj jaskrawo obrazuje, że czytelnik ma wszelkie prawo wnosić, iż ta niby przeszłość jest jeszcze z całą potęgą wrzącém uczuciem *obecném*, dlatego téż i dodaje w końcu myśl (zapożyczając się nieco od Adama):

„Najszczęśliwszy, kto w takiém duszy zachwyceniu
Na wieki oczy zamknął lub postradał zmysły.“

Wspomnienia są kulminacyjnym punktem jego miłości, w najwyższym artyzmie odtworzonéj naówczas, gdy, jak powiada poeta, „zazdrosny świat *zajrzał* mu dni szczęśliwych“ i gdy poeta „odjechać musiał gwiazdy swojéj. Reminiscencya ta poetyczna jest tak obrazowa, tak żywa, że może objawy miłości nie mogły być nigdy tak wyrazistemi w obcowaniu z umiłowaną osobą. Zauważmy tu jednak, że i w tych najsilniejszych i najpoetyczniejszych wybuchach miłosnych odczuwamy zlekka pierwowzór naszego poety — Mickiewicza (jak np. te ustępy „Czemuż pamięć na moje tak głucha rozkazy“ i t. d.). — Jakież tu podobieństwo do techniki erotycznéj Słowackiego? jakie pokrewieństwo formy Berwińskiego z filigranową, subtelną formą Słowackiego? — formą, w któréj przeważają nie hyperboliczne porywy Mickiewicza, ale idealnie subtelne zwroty metaforyczne, poetycznemi konturami swemi olśniewające czytelnika, a zarazem sprawiające wrażenie smutku i rzewnéj zadumy! To pewna, że jeżeli komu, to mianowicie B-mu, przy wielkim zasobie talentu jego, niepodobieństwem-by było naśladować Słowackiego.

A jeżeli już mamy koniecznie szukać pierwiastkowych źródeł erotyk B-go, a zwłaszcza jego „Wspomnień“, to oprócz Mickiewicza jeden chyba Lamartine zdołał niejaki wywrzéć wpływ na niego (patrz *Méditations: Chant d'amours. Naple.* 1822). Lubo między tym ultrakatolickim a tak idealnym poetą francuskim nie ma żadnego powinowactwa, ani ideałów społecznych, ani etycznych z naszym poetą, na gruncie jednak dziejów serca zbiegają się z sobą te skrajne ostateczności. W piérwszych młodocianych objawach lubownictwa poezyi (jak o tém się przekonywamy z notatek jego) widoczne jest zamiłowanie francuskich i włoskich poetów, niezależnie od niemieckich, których studyować musiał obowiązkowo. Wpływ Lamartine'a na ówczesną generacyą poetów - romantyków powszechnie jest znany, dlatego też starałem się porównać twórczość tego rozgłośnego liryka z naszym poetą. I oto, co znajdujemy we wspomnianym „Śpiewie miłosnym“ Lamartine'a. Poeta francuski również więcéj *marzy*, roztapia się w eterycznych obrazach wyobraźni swojéj, niż maluje *rzeczywiste* dzieje serca. Anatomizuje on bóstwo swoje jak najszczegółowiéj, roztkliwia się zwłaszcza nad obrazem snu swojéj „gołąbki“, nad równemi z pełnéj piersi dobytemi westchnieniami, które dla poety stanowią taką cudną harfę Eolską, że chciałby jéj na wieki słuchać, na wieki „*murmurer et mourir*!“ A lubo błaga daléj: „*Un souffle, un mot, puis le silence*: *C'est assez*!“ jednak następnie skalpelem swoim poetycznym anatomizuje oblicze, włosy, ramiona itd., wyrzeka, że w bezładzie rozwiane bujne włosy zasłaniają mu część oblicza i innych wdzięków niewieścich; ale prędko się spostrzega, że nieco wykracza z dziedziny czystych ideałów i dodaje: „*Pudeur! honte céleste! instinct mystérieux*!“ A gdy z kolei zarysowuje kontur łona, używa do tego tak lekkiego, idealnego pędzla, że nic ziemskiego, zmysłowego w jego rysunku nie dostrzegamy, okrom tego chyba, że falowanie piersi dziewiczéj uderza w takt serca poety.

Berwiński jest również idealistą - marzycielem erotycznym, „precz ciało!“ powiada do siebie gdzieindziéj; a tutaj we „Wspomnieniach“ przy innéj tylko technice poetyckiéj, zgodnéj z jego osobistym nastrojem, używa tych samych sposobów, co i romantyk francuski, w obrazowaniu miłości:

„Widzę ócz twoich niebo i ócz twoich słońce,
Z pod przejrzystéj rzęs chmurki ogniem strzelające;
Widzę perły twych ząbków i ust twych korale,
Tak wymowne w milczeniu, w wymowie milczące!
Widzę—ach! widzę wreszcie twoich piersi dwoje,
Czystych, niepokalanych, jak dwie morskie fale—

I znów w twych falach składam myśli moje,
Zasypiam na twych piersiach mojemi myślami“ itd.

Wszakże, pomimo to zbyt wyraźne powinowactwo z poetą francuskim, powtarzamy, że „Wspomnienia“ należą do najważniejszych erotyk, nie tylko dla tego, że tu głównie uwydatnia poeta objawy swoje miłosne, ale i dla tego, że ta forma liryzmu jego, lubo wzrosła pod skrzydłami pomysłów obcych, zaleca się wielką siłą i dziwnie powabném wypowiedzeniem uczuć. Tę tylko ujemną widzimy w nich stronę, że niezupełnie są jednolite, nie jednym tchem napisane, ale przetwarzane, stylizowane kilkakrotnie i dlatego to są one stosunkowo za długie. Dwa dalsze ustępy, „*Moje słońce*“ i „*Moja gwiazda*“ mają właśnie tę zaletę, jakiéj brak we „Wspomnieniach“: a lubo są to maluczkie perełki, ale prawdziwie Uryańskim świecące blaskiem. Takie całe, jednolite, zgodne w treści i w formie, że i najpiérwszym mistrzom lirycznym świata nic zupełniejszego i w swoim rodzaju nic piękniejszego udać-by się nie mogło. W treści swojéj oba te wierszyki są niejako uzupełnieniem „Wspomnień“. Wiersz p. t. „*Do... w imionniku*“ tylko lóźnie wiąże się z całością erotyk jego.

„*Przestroga*“ jest wyrazem owéj męskości jego uczucia, o którém nadmieniłem, że tam nawet, gdzie mówi „niech w nieméj rozpaczy kolano ciebie uczci, a mnie wytłómaczy“, czuć jakąś męskość śród téj pokory miłosnéj, twierdzi bowiem daléj, że tylko cząstkę swych cierpień wypowiada, że gdyby całkowicie odsłonił głąb swego uczucia... „gdybym ze szczytu cierpień mych spojrzał na ciebie, a z chmur mego nieba, jeśliby kilka tylko kropel na twą duszę spadło“... to „od tych kilku kropel zgorzkniałoby ci życie.“ Prośba ta przeto bardzo blisko graniczy z groźbą i wyjaśnia psychologiczny stan poety-męża, który panować nad sobą umié. Wykończenie estetyczne tego wiersza, lubo wcale ładne, do najlepszych nie należy. „*Jawno-grzesznica*“ odsłania plastykę miłości w najwyższym artyzmie, który to ma szczególnego, że chce być czystym, idealnym prawie, chociaż sam tytuł co innego zapowiadać się zdaje. Mówi tu, że bogini jego każdym ruchem, wejrzeniem, słowem, milczeniem nawet jest uosobieniem miłości, a chociaż błaga daléj „przestań być piękną, lub zrzeknij się świata,“—pomimo jednak to wszystko, nawet owo pseudo-biblijne zestawienie nie razi czytelnika, bo wytworny kształt artystycznéj szaty, w jaki swą miłość przywdziewa poeta, odsłania nam tylko wyłącznie stronę poetyczną, a wcale nie zmysłową téj jego fantazyjnéj Magdaleny. Natomiast, może jedynym wyjątkiem w zbiorze erotyk B-go jest wiersz p. t. „*O, córo Ewy*“! który najmniéj jest idealnym. Obrazowanie miłosne tego wiersza przypo-

mina nieco „Wspomnienia“, gdyż i tu analizuje poeta materyalne wdzięki swéj Ewy, które z kolei wywołują zapały wcale nie ascetycznéj natury i tworzą całość na tle zmysłowém osnutą.

„*Dwie prośby śpiewaka*“ należą może do najwydatniejszych ze względu odsłaniania ran bolejącego serca poety: w prośbie pierwszéj mówi poeta o sobie, że „był stwórcą miłości,“ że „dźwięk jego pieśni był snem serca,“ o którym nawet nie śni się ludziom,—a następnie, że ów „mistrz pieśni, król dźwięków“... „Dziś żebrak w laurowéj koronie...“ błaga o jedno słowo, o jedno wejrzenie przyjazne. W prośbie drugiéj, zamiast poprzedniéj błagalnéj treści, czytamy w dziwnie pięknéj formie wypowiedzianą ironią na temat, że „daremno chciał wzruszyć skałę, do któréj jego dusza łańcuchem przeznaczenia na wieki przykuta“, że zatém, ze swiadomością wycierpieć musi „brzemię mąk Prometeusza“. Wytwornością formy, a nawet i potęgą uczucia „Dwie prośby“ należą do kilku najpiękniejszych, lubo i tu w ustępach nawet lepszych zlekka się odczuwa jego główny pierwowzór (tj. Improwizacya Mickiewicza). Najcudniejszą wreszcie perłą, ale już ostatnią, w tym dyademie erotyków Berwińskiego jest wiersz p. t. „*Błogosławieństwo*“. Poeta do odwzorowania obrazu uczuć swoich gromadzi tu takie bogactwo barw poetycznych, taką cudną melodyą słowa, zespala te wszystkie „błogosławieństwa“ swoje w tak idealnie pięknych a pełnych siły, rzewności i wzniosłości obrazach, że jeśliby B-ski nic więcéj nie napisał, to już ten jeden wiersz dawałby mu zaszczytne stanowisko w szeregu erotycznych poetów naszych. Oto między innemi, co przemawia do Stelli swojéj ten sam poeta, który przed chwilą zwał ją „zimną skałą“:

„Ja dni jéj blaskiem tysiąc słońc ozłocę,
Gwiazd milionem rozjaśnię jéj noce;
Tęcze siubarwne dam jéj na węzglowie,
Pod nogi niebios mych rozścielę stropy,
Piorunom każe całować jéj stopy,
A archaniołom czuwać przy jéj głowie..
Ja ją obwieję gwarem milionów,
Najczarowniejszych harmonijnych tonów!
Cały świat dla niéj pieśniami rozczulę“...
„Będzie szczęśliwą!“

Nie bez rozmysłu wiersz, p. t. „*Ostatni Romeo*“ umieścił B. na końcu zbioru erotycznych swoich poezyi, „Romeo“ bowiem jest już ostatnim łabędzim śpiewem jego miłości, a zarazem jest przedświtem nowych horyzontów, otwierających się w umyśle i w sercu poety. „*Ludzkość się budzi*“, powiada poeta i do tego wiru przebudzającego się świata zdążać musi B-ski i dla tego to „Ostatni Romeo“ stanowi przejście do następnéj „Księgi życia i śmierci“.

b) *Księga życia* i *śmierci* stanowi drugą stronę wyrazistéj odrębności i charakterystyki poetycznéj Berwińskiego: jest ona obrazem tych ideałów społecznych i politycznych, a wreszcie etycznych, ja-

kie zaprzątały owoczesną społeczność europejską wogólności, a polską w szczególności, o czém była mowa w życiorysie poety. W imię tych niby postępowych idei B-ski stopniowo zrywa węzły z wstecznemi, jak już mniemał, zasadami konserwatywnemi, bądź-to w kościele, bądź w życiu społecznćm. Uważniéj wczytując się w te jego utwory, widzimy pewne szczeblowanie od słabszego krytycyzmu ku ostatecznym, skrajnym, najzupełniéj radykalnym teoryom. Co do kwestyi religijnych szczeblowanie to nie tak widoczne: czy to w ustępie p. t. *Częstochowa*, czy w wierszu p. t. „*Ubogim w duchu*“ widzimy już nietylko najzupełniejszy rozbrat ze starą wiarą ojców, ale nawet owa gryząca satyra, jaką te ustępy zabarwione, każe się domyślać pewnego skierowania myśli ku nowym jakimś zasadom etycznym, których jednak nigdy bliżéj nie określał. Określać ich nie miał nawet zręczności, całkowicie bowiem był zaprzątnięty politycznemi prądami owoczesnego świata. Nie podzielając wszakże myśli w tych ustępach zawartych, bezstronny krytyk ma obowiązek przyznać, że nie pozbawione są one zalet prawdziwéj poezyi, a kiedy mówi: „pracujcie prawowierni i módlcie się Bogu“ i z wysoką ironią dodaje daléj: „ja i w modlitwie mojéj nie umiem się podlić“, ten objaw szczerości w przyznaniu braku pokory chrześciańskiéj tak znacznie łagodzi gorycz jego sarkazmu antyreligijnego, że czytelnik umié i chce być wyrozumiałym dla wykolejonego poety. W innych zaś ustępach, jak np. *Bohatérom dni naszych*, kwestye antyreligijne tém mniéj są dla nas cierpkie, że spotykamy w nich pewną rzewność, pewne, bezwiedne może dla samego poety, oglądanie się za straconym rajem czystéj wiary i czystych pragnień duszy, gdy jak gdyby fatalizmem przykuty do zamętów radykalnych, czuje, że wrócić do minionego szczęścia już nie zdoła, jakoż mówi o sobie:

„Z duszą na wielkie wzrosłą przedsięwzięcia,
Z wolą bez czynu, z myślą bez poczęcia;
Z sępem męczarni i zgryzot u łona,
Z żądzą Tantala, z niemocą Samsona;
Jak Bóg, którego naraz opuściła
Mądrość niebieska i tworzenia siła;
Z otchłani czasu, bez gwiazd i bez słońca,
Nigdy się prac twych nie doczekasz końca:
Gdziekolwiek stąpisz, co poczniesz, co zrządzisz,
Za każdym krokiem upadniesz lub zbłądzisz.“

Ustęp ten, wyjęty z wiersza „Bohatérom dni naszych“ lubo na tle zwykłego ówczesnego bajronizmu naszkicowany, stosuje się przedewszystkiém do samegoż autora—typowego przedstawiciela owéj biernéj i smutnéj negacyi bajronowskiéj. Ten brak wiary w czyny przyszłe, oczywiście wynika głównie z braku zasobów etycznych: prędko się pozbył tego, co mu z łaski było dane, a natomiast nic

zbudować nie umiał, coby mu na nowo obranéj drodze trwałość i wartość jakąś moralną czynów jego zapewnić mogło.

Do najsłabszych ustępów w téj *„Księdze“* zawartych, należy *„Majówka“*, która, jak się zdaje, jest owocem pierwszych jego próbek. Forma tu wiersza wogóle ciężka i nie trafnie do poważnéj treści zastosowana, rymy nie dość swobodne i wyraźném zapożyczaniem się (u Mickiewicza) nacechowane. A co do treści, to myśl zasadnicza, powagę i godność narodową omówić pragnąca, jakkolwiek wogóle sympatyczna, to jednak odpowiedniejszą byłaby do większego poematu, aniżeli ustępu o pięćdziesięciu wierszach. W tym samym, co „Majówka“, tonie elegijnym wypowiedziany jest wiersz, p. t. *„Powrót z pielgrzymki“*. Z nastroju dość bezpretensyonalnego téj opowieści, ku gawędzie poetycznéj przechylającéj się, czytelnik mniejszą skalę wymagań estetycznych do niéj stosuje, a stąd korzystniejsze nieco od poprzedniego wiersza sprawia wrażenie,—a zresztą i sama technika wiersza więcéj wyrobiona i styl wdzięczniejszy. O wierszyku, p. t. *„Piosnka wygnańca“*, należącym do tejże kategoryi, co i dwa poprzednie, a odznaczającym się tylko większą harmonijnością i rytmicznością wiersza, wspominaliśmy już w życiorysie. Nie wiedzićć poco zabłąkał się tu lichy wiersz, p. t. *„Zygmunt, książę polski“*, niby przekład, czy naśladowanie z Kalderona. Związany zaledwo lekką nicią wspólności pomysłów z resztą innych utworów liryczno-politycznych, wiersz ten należy do najnieudolniejszych. Do słabych również zaliczamy ustęp, p. t. *„Warszawa“*,—dyalogowany w sposób wielomówny, i pod względem formy, i pod względem treści ckliwe sprawia wrażenie.

Najzupełniéj odrębne zajmuje stanowisko w tym zbiorze utworków bądź społecznéj, bądź narodowéj treści, znany powszechnie wiersz, p. t. *„Na wysokości Tatrów“*. Należy on do tych klejnocików poezyi naszéj, któremi chętnie się posługują rozmaite nasze ontologie i dlatego mówić tu o wartości tego ustępu, jako powszechnie uznanéj, nie potrzebujemy.

Liryczna twórczość B-go na tle polityczno-społeczném jest nietylko, jak powiedziano wyżéj, poetyczném odtworzeniem panujących wyobrażeń wieku, a raczéj pewnego, radykalnego stronnictwa w tym wieku, ale przedstawia jeszcze ten ciekawy objaw psychologiczny, że idzie *crescendo* od refleksyi, od spokojnego rozważania tematów narodowych i politycznych do coraz ognistszéj temperatury liryczno-politycznéj, wulkanicznemi wybuchami namiętności nacechowanéj. *„Powitanie“* stanowi preludyą tego koncertu. Tutaj Berwiński tak jeszcze przemawia:

„Witam was, witam wszystkich po kolei
Śród łez, krwi, pracy, mozołu,

Bracia rozpaczy i bracia nadziei,
Bóg-pomóż (?) wszystkim pospołu"!

A dalej poeta robi przygotowanie do przyszłego czynu i w ten oto sposób to posłannictwo swoje określa:

„Polski Dawidzie! bierz kamień i procę
I wprawiaj rękę za młodu".

Dalszy szczebel téjże zasadniczéj myśli stanowi prześliczny wiersz, p. t. „*Pogrobowiec*"; jest on ostatnią nawpół rzewną, nawpół krwawą medytacyą na temat przeszłości, poza nią zaprzątać będzie poetę obecność a głównie przyszłość,—a jeżeli nawet będą się zjawiały kalejdoskopowe obrazy dziejów minionych, to tylko jako środek do celu, do unaocznienia pragnień chwili bieżącéj. To téż mówi w „Pogrobowcu":

„Więc gdy pamięcią w tę przeszłość zabłądzę,
Głucho mi wokół, ale w łonie mojém
Rwą się uczucia, myśli brzęczą rojem,
Po sercu wielkie przelatują żądze"...

A nieco dalej, domawia:

„Precz łzy i płacze,
Z twemi żądzami i z twojemi snami,
W świat i na przebój—mniejsza, co za nami,
My dziś ostatni, a *jutro my pierwsi*!
Światy przed nami!"

Nim wszakże odsłonił swoje oblicza ów „świat", mający przebojem być zdobyty, spotykamy się z ustępem „*Na przesileniu dnia z nocą*", stanowiącym wyraźnie jeden krok dalej w tym bojowo-poetycznym pochodzie, w którym zamiast poprzedniéj niewinnéj wprawy procą Dawidową, oto, co czytamy tutaj:

„O śmierć i życie ostatni wre bój,
Bój myśli w krainie ducha,
Słyszę w powietrzu mar brzęczących rój,
A ziemia niema i głucha".

„*Na Gople*" jeszcze o jeden szczebel dalej rwący prąd czasu posuwa poetę. Już nie mówi, jak dawniéj „*Bóg-pomóż*" wszystkim, bo się obywać pragnie bez dawnego Boga i w namiętnym szale woła:

„Czego chcecie stare bogi,
Truple, czego chcesz?
Stare bogi—trupy, z drogi,
Prędko łódko śpiesz!

Naprzód, naprzód! bez ołtarzy
Czém jest stary Bóg?..
A wy słabi, a wy starzy,
Precz nam młodym z dróg!"

Dalszy wiersz „*Mogiła Kościuszki*" jest niby epizodem z Dantejskiego piekła wyjętym, tylko nie na tle sfer pozaświatowych, ale na swojskiém, widzimy szereg obrazów coraz okropniejszych, coraz bardziéj przerażających, tysiące owych widm przeszłości grzesznéj, zbrodniczéj a pełnéj pychy, wobec rachunku sumienia narodowego powołanych do spowiedzi i pokuty społecznéj. Groźny ten kalejdo-

skopowy obraz, zarysowany z największą siłą, na jaką zdobyć się mógł poeta, nie szczędzący najjaskrawszych barw i tragicznych sytuacyi, lubo w lekkim tylko szkicu zarysowany, wzrusza i przeraża zarazem czytelnika, a obok tego, po chwili rozmysłu, przesytem przykrém uczuciem napełnia serce, bo łatwo dostrzega, że tu poeta zawiele już użył potworności wszelakich, skierowanych ku obwinieniu starych grzechów przeszłości naszéj, stając w obronie „*ludu*“ i jego „*ubóstwa*“. Mogiła bohatéra, na którego wskazuje poeta, a z nią bezstronne dzieje zadają fałsz twórcy, bo ta przeszłość nie była już tak bezwzględnie zła i nikczemna, jak ją odmalował B-ski. Ale nie zapomnijmy dodać, że nie ze spokojnego stanowiska historyka objaśniać sobie należy słowa B-go: mówi do nas doktrynerpoeta, który pochłonięty jest cały przez wspienione fale radykalizmu. I dla tego to wiersz ten, niby do innéj grupy należący, gdyż na tle przeszłości skreślony, jest jednak w ścisłym związku z całym poprzednim szeregiem polityczno-lirycznych ustępów. „Mogiła“—to niby obóz hr. Henryka, przeciwko któremu ma stanąć zbrojno nowy Pankracy i stoczyć walkę w obronie umiłowanych idei. I nakoniec, ostatni w téj grupie liryczno-politycznych ustępów, stanowiący swojego rodzaju hymn bojowy, jest wiersz p. t. „*Marsz w przyszłość*“, w którym dawniejszy skromny Dawid, zaprawiwszy się do walki na niewinnéj procy, dziś chciwy krwi i boju, chwyta już za broń i woła:

„Więc gdy stary Bóg nie słucha,
Pomódlmy się do obucha,
Uściśnijmy noże,
I daléj za morze krwi
Za Czerwone „morze!“

Jestto jego już ostatnie słowo, po którém, jak to w życiorysie wymieniłem, nastąpić miał *czyn*; nie ten jednak nastąpił, którego sobie życzył poeta, ale ten jaki przeczuwał, że nastąpić może.

Rozmyślnie pozostawiliśmy na koniec dwa ustępy „*Wawel i Kraków*“, oraz „*Mysza wieża*“, bo oba wyróżniają się nie tyle treścią i jéj obrobieniem, ile pomysłem samym, z obcéj niwy przyniesionym, o którym w ocenie krytycznéj niżéj będzie mowa. „*Wawel i Kraków*“, rozpoczyna się od jemu tylko właściwéj, charakterystycznéj ironii, w któréj karłowatość wnuków i maleństwo ich ducha zestawia z wielkością przodków, ale następnie przechodzi do uosobienia przemawiającego Wawelu, które jest tak wzniosłe, tak serdeczną rzewnością nacechowane a ubrane w tak przepiękne szaty stylistyczne, że i ten wiersz obok wspomnianych wyżéj, należy do trwałych pamiątek liryki polskiéj. „Mysza wieża“, mniéj piękna pod względem ozdobności stylowych, ma jednak bardzo ważne znaczenie dla krytyka: wiersz ten bowiem drukowany był poprzednio przy „Powieściach wielkopolskich“, a pisany w najpiękniejszych dniach młodości, bo w 18 czy 19 roku życia, stanowił dla autora najmilsze

wspomnienie, równie jak „Bogunka“, nie tylko naówczas, t. j. przy wydaniu poezyi, ale i w latach późniejszych, w Turcyi, kiedy mu się już życie dotkliwemi kolcami najeżyło. W korespondencyi stamtąd do siostry pisywanéj, pozostały liczne ślady wspomnień młodocianych chwil życia, uobecnionych w „Bogunce“ i w „Wieży.“ A zresztą, to się tłómaczy i z innego względu: wiersz ten z początkowych objawów twórczości jego należy do najudatniejszych.

c) W twórczości poetyckiéj Berwińskiego wyjątkowe całkiém zajmuje stanowisko „*Don Juan Poznański*“, wyjątkowe dlatego głównie, że w tym jednym, niedokończonym utworze rozminął się Berwiński stanowczo z zadaniem i godnością poety, co gdzieindziéj tak starannie utrzymać pragnął: zbiegła tu muza jego na poziom pospolitości, z szlachetniejszym celem poezyi nic wspólnego nie mającym, bo nie tyle idee, co osoby mająca na względzie; a lubo i w „Don Juanie“ nadmienia o wyższych kwestyach narodowych,—jest-to raczéj pozór, niż istota rzeczy, gdyż cała zbyt uboga fabuła obrazku krąży w sferze wielce trywialnéj i odtwarza wcale niehistoryczne czyny niehistorycznych ludzi... Ta „*pieśń miłości i plotek*“, jak sąm autor nazywa „Don Juana“, jest wprost wynikiem złéj chwili natchnienia—trywialna, rozwlekła gadanina (nie tyle naśladująca. jak raczéj parodyująca manierę Słowackiego w Beniowskim) o wielce pospolitych sidłach wytrawnéj kokietki, zarzucanych na niedoświadczonego niby młodzieńca, ta „*pieśń plotek*“ tak nie licuje z całą resztą twórczości Berwińskiego, jak np. *Stella Fornarina* z szeregiem utworów Syrokomli, że oględność i wyrozumiałość estetyczno - krytyczna kazałaby o niéj zapomnieć, za niebyłą uważać. Ale, niestety! zło chodzi górą i jak na tubie morskiéj otrębuje wszelkie uchybienia ludzkie! a zwłaszcza, jeśli w danym razie ta lub owa jednostka czuje się dotkniętą, co podobno miało miejsce.

To też za to zapomnienie się boleśnie odpokutować musiał autor: wprawdzie żaden wiersz jego nie miał tyle rozgłosu, co „Don Juan“; ale byłto rozgłos tego rodzaju, że dał powód ludziom zawistnym, szukającym tylko ujemnych stron we wszystkiém, nie tylko do potępienia tego, co potępienia było warte, ale i do zanegowania całéj moralnéj istoty *człowieka* za to tylko, że *autor* w najsłabszym ze swoich utworów zboczył z prostéj drogi Apolinowéj.

Nie uwzględnialiśmy dotąd i nie mieliśmy potrzeby uwzględniać całéj powodzi téj bazgraniny, jaką niektórzy przedstawiciele konserwatyzmu miotali na twórczość poetyczną Berwińskiego; tutaj tylko jedynie musimy zrobić wyjątek, by wyjaśnić i myśl naszą powyżéj wspomnianą i tę wyjątkową wrzawę z powodu zjawienia się Don Juana. W „Orędowniku“ (N. 49, r. 1844) niejaki *Z. K.* oce-

nia niby wartość Don Juana i oczywiście redukuje ją do zera; dowodzi, że chyba Berwiński nie czytał Byrona, skoro takie dziwolągi poznańskie odważył się nazwać naszym Don Juanem, że w głośnym utworze angielskiego poety są ustępy pierwszorzędnéj piękności, są typy z genialném mistrzowstwem zarysowane, a wzniosły dar poetyczny odsłaniające; a jeżeli obok tego są ustępy płaskie, lubieżne, to te, jako środek do celu, a nie jako cel są użyte i t. d. Otóż, te i inne sądy krytyka, aczkolwiek sprawiedliwe, były wszakże, niestety, tylko literackiém upozorowaniem i przejściem do tego, co Z. K. na końcu artykułu mówi; a tam czytamy bardzo przezroczystą aluzyą do osoby Berwińskiego, w tych słowach zawartą: „...dziś chce się kapłańską okryć szatą, jutro być prawnikiem, pojutrze Heglistą... To znowu czepia się arystokracyi, albo łączy się z komunistami, a nie chcąc sam nic poczciwie zarobić, nożem i stryczkiem grozi własności.“ Można byłoby się zapytać, co te słowa mają wspólnego z Don Juanem? Co za smutna rola krytyka, zamiast wydawać sąd o poecie i jego utworze, nurzać się w błocie „*plotek krytycznych*“ i malować karykaturę *człowieka*! Te namiętne anatemata były oczywiście dowodem, że poeta potrącił żywo drgające w kraju tętna społeczne, szkoda tylko, że nieumiejętną i nie poetyczną wybrał dla nich formę.

Właściwie druga pieśń Don Juana nastręczała dużo słusznych pretensyi; tam bowiem poeta zawiele już rzucił potępień, przesadnych i nieusprawiedliwionych, dotknął również i pisarzy wielkopolskich, w ten oto sposób, że literatów „za sześć talarów prenumeraty wszystkich zakupisz ryczałtem.“ Mniéj jeszcze usprawiedliwiona dalsza myśl, że w kraju opinii nie ma, że „głos publiczny, lud, większość—to czcza chimera“, niby dla tego, że rozrania kraj „skir z czasów Piasta dziedziczny, na który szlachta umiera.“

Wogólności, niewstrzemięźliwość słowa, rozpasanie myśli, doprowadzonych do absurdum, wywlekanie na wyżyny Parnasu tego wszystkiego, co na śmiecisku gdzieś w ciemnym zakątku leżeć ma prawo—oto etyczna wartość Don Juana. A jednak, dodajmy, że powyższe zapomnienie się poety jeszczeby nie usprawiedliwiało przytoczonych przez nas słów Z. K. — Wreszcie na zakończenie uwag nadmienimy i to jeszcze, że tam, gdzie autor nie potrąca poziomych celów swoich, spotykamy ustępy niemałéj wartości estetycznéj, mianowicie bardzo oryginalną humorystyczność odmiennéj natury, niż widzimy w innych jego utworach poetycznych.

„*Parabaza*“ jest poetyczną odpowiedzią na niezadowolenie, jakie wywołało zjawienie się D. Juana Poznańskiego. Odpowiedź ta zadowolnić nie mogła obrażonych, bo była stokroć silniejszym gro-

mem szyderstwa i potępień, rzucanych bez wszelkich osłon. A jakkolwiek to wierszowane wyznanie wiary nie kwalifikuje się wcale do spokojnego, historycznego sądu, gdyż tak wiele tam czytamy przesady, tyle roznamiętnienia w wybuchach, do szału poetycznego dochodzących; niemniéj przeto, jako objaw estetyczno-literacki „Parabaza“ należy do najsilniejszych kompozycyi Berwińskiego. W szkicu tym, któremu trudno dać odpowiednią nazwę, żywioł epicki jest prawie żaden, gdyż fabuła sama więcéj niż pospolita. Poeta mówi tu, że owe dwie pieśni Don Juana wydał starannie, z mozołem odczytując niewyraźny rękopism i opowiada o zbiegu okoliczności, wskutek których rękopism dostał się do niego. Młodzież wielkopolska strojna i hoża, nie pomna wielkiéj dziejowéj przeszłości swojéj, dziś stała się lichym owadem motylim, latającym po salonach.... „dziś owi światobórcy... u nóg niewieścich z czułością gołębią miłosnych nieszczęść wyjęczają żale, albo téż w dzikim odurzenia szale tańce zawodzą, jakby im zaklęty róg Oberona załaskotał w pięty.“ Jeden tylko człowiek tego odurzenia i tego szału rozpaczliwego nie podziela wcale: jest-to poeta-wieszcz, czy jakiś apostoł nowoczesny, który boleje nad utrapionym stanem swéj braci; ale zamiast iść do domu modlitwy, czy domu pokuty i tam jeremiaszowe treny swoje wyśpiewywać, — albo wreszcie jakimś dodatnim czynem objawić istotę swojéj boleści i szukać środków do poprawy, — to ten samozwańczy apostoł błąka się tylko po salonowych posadzkach, w sposób wielce sentymentalny:

„Z takim okropnym spokojem na twarzy,
Jakby sumieniem był wszystkich zbrodniarzy,
Którzy po dziśdzień od stworzenia świata,
Głowę składali pod toporem kata.“

A gdy autor, a następnie wydawca Don Juana, chciał się dowiedzieć, co to za postać? Jedna z dam, na balu obecnych, odpowiada, że to „poeta, waryat raczéj“ — i zaprasza go do tańca. Zrozpaczony ów błędny apostoł, zamiast odpowiedzi, rymuje na wachlarzu damy złowróżbne słowa, ostrzegając, że tańczą na wulkanie. Przyszły wydawca Don Juana, zaciekawiony tak wyjątkowym typem, pragnie w osobistéj z nim rozmowie dowiedzieć się bliższych szczegółów psychologicznych. A za całą odpowiedź otrzymuje wybuch wulkanicznych eksklamacyi na temat, że jest „synem ojca smutku i matki żałoby“ i stoi samotny i niezrozumiały wobec strupieszałego społeczeństwa współczesnego; tak, że przyszły wydawca nie zdołał „tajemnic duszy téj przeczytać.“ Błędny wieszcz ów domyślał się tego i dlatego przysłał nazajutrz autorowi komentarz wyjaśniający, t. j. owe dwie pieśni Don Juana. Słowem, wielkie tu ubóstwo i trywialność pomysłu!

A jednak na tém pospolitém tle pierwiastku epickiego, jakież bogactwo liryki rzucił tu Berwiński! w jak cudne szaty wytwornego stylu poetycznego ubrał autor objawy swéj boleści narodowéj! Tu każdy wyraz tryska taką siłą uczucia, tak głęboką odsłania ranę moralną, że czytelnik wobec oczywistéj w słowach jego przesady, wbrew swemu przekonaniu, wbrew prawdzie historycznéj, czuje się pochłonięty tą siłą uczucia i... sympatyzuje z poetą. — Z licznych skupionych ustępów potężnéj siły lirycznéj, przytaczam tu jeden wyjaśniający niby zasadniczą myśl Don Juana:

„....Dzisiaj trzeba burzyć,
Bo takim ludziom jak wróżyć i o czém?...
Tyś na nich patrzał — ty o to nie pytaj;
Lecz jeśli spyta ciekawiec, mów: „czytaj!“
I podaj jemu, com ja tu napisał
W tym Don Juanie; a jeśli z odrazą
Odwróci oczy od tego obrazu,
Powiédz mu, skądem taką gorycz wyssał!...
Powiédz, dla czego nienawiści związek
Trwa między nami — między mną a światem.“

Ostatnim utworem w szeregu téj trzeciéj grupy społeczno-politycznéj liryki, owocem dłuższego namysłu, kilkakrotnie przerabianym, skracanym i dopisywanym, jest dłuższy wiersz, który pierwotnie (w „Tygodniku literackim“ i w „Przegl. naukowym“) miał tytuł „*Myśli szalonego*“ lub „*Z rozrzuconych pism szalonego*“, a w ostatecznéj redakcyi zatytułowany został „*Ostatnia spowiedź w starym kościele.*“ Trudno jest odgadnąć istotną myśl autora w téj przeróbce, bo, jakbym sądził, i piérwszy i drugi tytuł zarówno nie odpowiada treści: piérwszy jest nieco trywialny i nieprawdziwy, gdyż ten „szaleniec“ nie był szalonym tyle, byśmy mu świadomości celów i środków do celów tych wiodących, odmówić mogli; drugi zaś napis, chociaż nieco bliższy treści, jest również niedokładnym, bo jest-to raczéj *piérwsza* spowiedź *w nowym* kościele, niż *ostatnia* w starym.

W każdym razie samo już to przerabianie i staranniejsze opracowanie wiersza tego dowodzi, że Berwiński przywiązywał doń większą wagę, niż do innych ulotnych utworów liryki swojéj,—a dla nas, czytelników, z tego względu ma wyjątkowo ważne znaczenie, że tu sybiektywizm jego jest najwidoczniejszy: poeta liryk jest tu zarazem najrzetelniejszym autobiografem, głośno przed światem „spowiadającym się.“ Motto Szekspira, wyjęte ze słynnego monologu Hamleta, wskazuje czytelnikowi nie zawartość myśli, ale raczéj nić jéj przewodnią, koloryt liryzmu, przeważnie rzewny, rozmarzony, wątpiący w siebie, w swą przyszłość i cały świat go otaczający. A co się tyczy saméj treści, to wyraz „*spowiedź*“, skądkol-

wiek on jest rodem: czy to pod wpływem J. J. Rouss'a zrodzony, czy téż przemknął mu po głowie po odczytaniu nieśmiertelnéj fantazyi niemieckiego mistrza poezyi („Fausta“ bowiem Goethe w jednym z listów do przyjaciela również *spowiedzią* nazywa), wiersz ten jest ustępem najwyrazistszéj liryki jego. Jednę tylko ma głównie wadę, jaka częstokroć przeróbkom towarzyszy: jest zagadatliwy i niejednolity w konstrukcyi swojéj,—to bowiem, co się najpoetyczniéj i najharmonijniéj ułożyć mogło w pierwotnéj chwili natchnienia i doraźnego tworzenia, jak skoro przeszło przez przetak późniejszéj krytyki autora, zimno już analizującego pierwotne natchnienie, stało się niejednolitém przez *dopisywanie* zamiast tworzenia. Wynikiem téj roboty były zmiany nawet myśli zasadniczych, jak np. wyrzucenie z rozdziału XV dwuwiersza:

„I ja, o hańbo! tak upadłem nisko,
Że z nieszczęść własnych robię pośmiewisko“,—

zmiana ta złagodziła wprawdzie cierpkość wrażenia, gdy w niéj poeta osłonić chciał swój smutny nastrój psychiczny, ale właśnie przekształcił przez to cały koloryt liryzmu tego wiersza.

Powiedziałem, że Berwiński powinienby nazwać ten wiersz „pierwszą spowiedzią w nowym kościele.“ I wistocie: z wyjątkiem rozdziału, oznaczonego numerem VI, który jest właściwym chronologicznym i logicznym początkiem „Spowiedzi“, a mającym za treść wspomnienie szczęśliwych lat dziecinnych, a więc „starego kościoła“, kiedy to jeszcze ojciec poety cieszył się:

.... „gdyśmy drobne dziatki,
Poklęknąwszy co rano przed Najświętszą Panną,
Odmawiali pobożnie modlitwę poranną,“

wszelkie inne ustępy stosują się już do „nowego kościoła“, o którym wszakże nie dał bliższego wyobrażenia, prócz tego tylko, co gdzieindziéj powiedział: „dzisiaj trzeba burzyć.“ Najprzód tedy idzie miłość, która go chwilowo opromieniła szczęściem, a „zwodne jéj mamidła“ wzniosły go „w krainę ideałów“, któremi, jak się wyraża o sobie, „do lotu archanielskie rozwijałem skrzydła.“ Apoteoza tego szczęścia była krótka, a przedwczesne rozczarowanie za nią idące doprowadziło poetę do następnéj smutnéj ironii:

„Miłość — tęczową wyobraźni tkankę,
Bańki mydlane, motyla — kochankę,
Dzieciom zostawmy i tym co zostali
Na całą wieczność dziecinni i mali....
Przestałem kochać!“

Z kolei po zawiedzionéj i w otchłań sarkazmu przez samego poetę zepchniętéj miłości, wschodzi na horyzont życia jego druga gwiazda: „*prawdy szukałem*“, powiada poeta. W mozolnéj za nią

pogoni, „po pracowniach najczarowniejszych arcydzieł sztuki", po „księgach tajemnic przyrody", słowem, po „wszystkich tworach ludzkich", nowy spotyka zawód poetę, bo poznał wszystko.... „prócz siły tworzenia." Filozoficzna „różnojednia" Trętowskiego, czy może wprost z pierwszego źródła, z Hegla, wzięta zasada doprowadza go do takiéj filozoficzno-poetycznéj kontemplacyi:

„Duch jest tą siłą (tworzenia) — tak mędrzec powiada,
Duch tworzy, burzy, składa i rozkłada;
Duch jest sam w sobie, swoim światem, słońcem,
Swoim początkiem, środkiem, celem, końcem,
Duch sam jest wszystkiém!"

A następna apostrofa wyjaśnia, na czém ta filozofia się skończyła:

„Mędrcze! duch jest niczém!
Jest owém wielkiem zerem tajemniczém,
Którego nigdy, nigdy nie obliczym!...
Głupstwo ten wyrzekł, kto rzekł: duch jest trójcą!
Bo trójca jest tylko ducha zagadką,—
Kto ją rozwiąże, będzie ojcobójcą
Czasu — rodzica, a z wiecznością matką,
Jak niegdyś Edyp, spłodzi kazirodnie
Nowe potomstwo, a z niém nowe zbrodnie!"

Po takim nowym, stokroć boleśniejszym zawodzie, na smutną dla siebie pociechę ironizuje poeta nad „trupami stu mędrców", od których oczywiście nic się dowiedzieć nie mogąc, ani uleczyć rany zbolałego serca, przylgnął do nowego dla siebie ideału „i pełném sercem nad światem zawisnął." Nad światem, nad „płaczem tysiąców", nad „nędzą i ciężarem niedoli",—wskutek czego wszystkiego, mówi poeta o sobie: „Rzuciłem książki i wszedłem w świat żywych."

Jakie koleje przechodził w tym „świecie żywych", opowiedzieliśmy w życiorysie jego, tu tylko dodamy, co mówi w „Spowiedzi", wyjaśniając ten nowy nastrój psychiczny:

„Dziś w pełni życia i w całéj potędze (sił?)
Opuszczam walkę."

A nie mogąc już wstępnym bojem po stracie, jak sam mówi „męstwa", walczyć z tyłu nieprzewidzianemi i nieprzeczuwanemi trudnościami, pociesza się biédny poeta jeszcze tém, że „zyskał klejnot, którego nawet z utratą życia nie straci": „tak jestem bogatym w znajomość ludzi i tak gardzę światem!" Smutna to pociecha! po któréj wypowiada Berwiński pyszną, sturamienną satyrę na „dumnych i świetnych synów przeszłości",—satyrę, potwornie przesadną, gryzącą do szpiku i kości, ciskającą z całém szaleństwem poetyczném rozpaczliwe przekleństwa; a mimo to dziwnie piękną, poetyczną i sympatyczną nawet, bo ona odsłania nam nie tyle zło owe-

go społeczeństwa, na które swe gromy ciska Berwiński, jak raczéj przepaścistą otchłań, nad któréj brzegiem, wykolejony ze zwykłego toru życia i z wyższych, świętszych ideałów i celów tego życia, stoi sam poeta.... który przecież, zaprawdę, lepszego wart losu!

Przypisek do str. 462.

Dokładne wyszczególnienie utworów Berwińskiego trudne jest z tego względu, że on niekiedy wprawdzie podpisywał swoje artykuły kryptonimami (B., R. B., R. W. B.), ale niekiedy wcale nie podpisywał. Oto jest spis znanych mi ustępów pojedyńczych, po pismach rozrzuconych, oraz dzieł osobno wydanych: 1) Najpiérwszą próbką autorstwa jego jest artykuł p. t. „*Kępa Zaniemyska*", bez podpisu, zamieszczony w „Przyjac. Ludu" w r. 1836 (str. 90 i dal.); 2) w r. 1837 w témże piśmie jest jego „powiastka gminna", jak nazywa, p. t. „*Mądry Maciuś*" (str. 12 i dal.), również bez podpisu; 3) w témże piśmie w r. 1838 zamieszczony jego „*List I z narodowéj pielgrzymki*" (str. 60 i dal.) z podpisem „Ryszard B.", oraz „*List II z Rogalina*" (str. 82); 4) w tymże roku „*List III z narodowéj pielgrzymki*" (str. 154), zpod Kalisza, z podpisem R. W. B.; 5) o liście IV pisze redaktor, że drukować go nie mógł „dla ważnych przeszkód"; tamże „*List V z nad Noteci*", z podpisem R. W. B.; 6) w tymże r. 1838 zamieszczona najpiękniejsza jego baśń ludowa, p. t. „*Kojata*", bez podpisu (N. 21 i 22); 7) wreszcie na str. 51 i 52 t. r. artykuł p. t. „*Gopło i jego okolice*", z podpisem R. W. B.; 8) w r. 1839 w Nr. 33, 34 i 35 „*Chłop i dyabeł*", z podpisem B.; 9) w r. 1838 w Tygodniku literackim (N. 12) jest wiersz jego p. t. „*Ułamek I. Przystań, Ułamek II. Burza*", oraz w tymże roku „*Powieść o dwunastu rozbójnikach*" drukowana późniéj osobno; 10) w r. 1840 w Tygod. lit. jest jego list, z podpisem: B., oraz słabiutki jego wierszyk p. t. „*Gość nieproszony*"; 11) w Nr. 26 piękny wiersz p. t. „*Myśli szalonego*"; 12) w Nr. 27—31 słabo napisany artykuł o wystawie obrazów; 13) a w dalszym ciągu t. r. wiersz, p. t. „*Na widok Krakowa*", który z pewném przerobieniem wszedł do zbioru poezyi; 14) wreszcie w Nr. 50 prześliczny wiersz p. t. „*Moje sny—moje uczucia*", który, nie wiedzieć dla czego, w zbiorku nie zamieszczony; 15) w tymże 1840 roku u Frydlendera we Wrocławiu wyszły jego „*Powieści wielkopolskie*", t. I, zawierające dwie powiastki: *a*) *Bogunka na Gople* i wspomniana wyżéj, *b*) *Powieść o dwunastu rozbójnikach*; 16) w r. 1842 w Tyg. lit. „*List z Berlina o wystawie malarskiéj*" (N. 46 i 47); 17) w roku 1844 w Poznaniu własnym nakładem wydał „*Poezye R. W. Berwińskiego*", część I; część II-ga zaś pod tymże tytułem i w tymże roku w Brukseli u J. N. Młodeckiego; 18) w roku 1854 w Poznaniu własnym nakładem wydał „*Studia o literaturze ludowéj ze stanowiska historycznéj i naukowéj krytyki*", tomów 2. O artykułach zamieszczonych w Dzienniku polskim mówiliśmy wyżéj; 19) w r. 1864 u Brockhausa w Lipsku przy dziełku M. Czajkowskiego „Dziwne życia Polaków i Polek", zamieszczony na końcu książki jego wiersz p. t. „*Duma polska... napisana na Babunie Macedońskiéj.*" Z czasów pobytu w Turcyi pisywał do pism lwowskich artykuły politycznéj treści, znane mi z rękopismu p. t. „Korespondencya do ojczyzny."

Oto i wszystko, co znamy z jego nierozległéj twórczości, drukiem ogłoszonéj. Wątpliwą natomiast była wiadomość, podana przez Stan. M. (w Tyg. illustr. 1865, w Nr. 317), jakoby w Turcyi zebrał był Berwiński „bardzo ciekawe badania nad językiem i obyczajami Serbów i Bulgarów", lubo p. M. mówi, że wie o tém „z dobrego źródła", wolno jednak nam wątpić w prawdziwość téj wzmianki,—a mianowicie, jeżeli B. zaczął gromadzić owe badania, to niezawodnie tak mało ich zebrał i tak mało sam do nich przywiązywał wagi, że w ostatnich latach życia w Carogrodzie już z tego nic nie pozostało. Wiemy to

od osoby w bliskich pozostającéj stosunkach z poetą. Takiż sam los spotkał i pierwotne jego zbiory twórczości ludu wielkopolskiego, w pierwszych latach zawodu literackiego zbierane. W „Studiach“ (t. I, str. X) sam mówi, że znaczna ilość powiastek ludowych leży po tekach i „nigdy już pewnie światła dziennego nie ujrzy.“

W końcu, w celu uzupełnienia bibliografii Berwińskiego nadmieniamy, cośmy w rękopismach lub *silvach rerum* odszukali. Tu należą, oprócz wymienionych przy życiorysie: 1) *Do mędrków*, wiersz wcale ładny, lubo do pierwszéj epoki jego twórczości należący; 2) wiersz bez tytułu, rozpoczynający się od słów: „Są ludzie wielcy, o których świat nie wié“—gadatliwy a mało poetyczny; 3) jest krótka epitafia p. t. *Mój nagrobek*, parafraza z ostatniéj spowiedzi; 4) jest początek poematu p. t. „*Pogrobowiec*“, ale z tego, co napisano, nic o wartości wnosić nie można; 5) jest bardzo obszerny plan, albo raczéj rozkład scenaryusza do dramatu z pierwszych wieków chrześciaństwa (bez tytułu), napisano tu scen XIV części I-széj, a nawet początek już ułożony. Kto zna talent Berwińskiego, nawskróś liryczny, ten zrozumie, że niewielką literatura nasza poniosła stratę, że autor tego dramatu nie ukończył. Toż samo powiedziéć należy i o małéj powiastce, pisanéj w lipcu i sierpniu 1848 r. p. t. „*Zasady i miłość*.“ Treścią jéj jest obraz miłości dwu osób, z których jedna lekkiego, płochego usposobienia, druga stałego charakteru i wyrobionéj siły woli. To téż Karolek jest nieustanną ofiarą przelotnych miłostek, a Julian obiecuje sobie nigdy się nie kochać. To cała treść: nie ma tu prawie żadnéj fabuły, żadnéj obiektywności, ani obrazów świata zewnętrznego, a natomiast spotykamy rozwlekłe dyalogi i studenckie dysputy.

(D. n.) *Antoni Bądzkiewicz.*





KWESTYA HUSYCKA

W LATACH 1423—1429.

Ein Blick in die Politik König Sigmunds gegen Polen in Bezug auf die Hussitenkriege, von Dr. A. Lewicki. Wien 1886.

Rozprawa prof. Lewickiego, drukowana w publikacyach Wiedeńskiéj Akademii umiejętności, omawia kwestyą husycką w latach 1423—29, a mianowicie politykę Rzymskiego króla Zygmunta przeciwko Polsce ze względu na husytów. Autor rzucił wiele światła na zagadnienia trudne i najrozmaiciéj przez historyków rozwiązywane, a rozprawę jego można uważać za ostatni chociaż nie ostateczny wyraz naukowy w kwestyi husyckiéj.

Dotychczas przypuszczano, że Zygmunt pogodził się z królem Polskim w Kezmarku celem zupełnego zgniecenia husytyzmu, jeżeli zaś tego zamiaru nie wykonał, winien tu jest król Polski, który obowiązkowi swemu posiłkowania Zygmunta przez opieszałość lub niechęć nie chciał zadość uczynić. Autor zbija to twierdzenie o szczerości intencyi Zygmunta i niechęci Jagiełły, dowodami grupującemi się głównie około wypraw na Czechów w 1423 i następnym roku, a rezultaty dowodów wyjaśniają kwestyą tych nieudałych wypraw w zupełnie innem świetle.

Po zawarciu traktatu Kezmarskiego pomiędzy Zygmuntem a Jagiełłą, cały świat chrześciański oczekiwał skutków wielkiéj wyprawy wojennéj, przygotowanéj przez Zygmunta w Niemczech, przy czém wiedziano, że król Polski może osobiście stanie na czele swych wojsk celem wytępienia kacerzy, w każdym razie wyśle wojska posiłkowe. A jednak nadzieje zawiodły i do wyprawy tego roku nie przyszło. Według badań d-ra Lewickiego, stało się to z winy Zygmunta, który dla świata i dla papieża miał w ustach zapewnienia

najuroczystsze swéj gotowości, w gruncie zaś rzeczy dla sprawy téj niczego nie zdziałał, a co nawet gorsza, starał się przeszkodzić wyprawie.

Nasamprzód Zygmunt sam nie poczynił żadnych przygotowań do wojny, z czego można na pewno wnioskować o rzeczywistych jego zamysłach, to jest, że nie życzył sobie, aby wyprawa doszła do skutku i nie mógł robić naiwnego przypuszczenia, że król Polski bez jego współudziału przelewać będzie krew swoich poddanych na to tylko, aby dla niego zdobywać utracone królestwo.

Daléj, nie zawiadomił on w czas elektorów i książąt rzeszy Niemieckiéj o potrzebie zbrojenia się; rozpisał podwójne termina wyprawy, co już z góry nawet w Niemczech osłabiało wiarę w szczérość zamiarów Zygmunta; zawiadomił daléj elektorów i książąt rzeszy dopiero w chwili, kiedy już zapóźno było na rospoczęcie przygotowań do stawienia się na termin oznaczony, a wyznaczenie drugiego terminu obałamuciło uczęstników wyprawy i spowodowało wśród nich zupełne zamieszanie. Podczas zbrojeń dawał Zygmunt królowi Jagielle pełnomocnictwo do traktowania z husytami, od których żądał rocznego zawieszenia broni; posłowi polskiemu dawał wskazówki, które mogły być zrozumiane jako odwołanie wyprawy, a w końcu żądał, aby król Polski przyjął na się odpowiedzialność za niedojście wyprawy do skutku. Nie dziwna, że wśród tego, w samych Niemczech panowało niezadowolnienie i posądzano Zygmunta o niechęć w stłumieniu rozruchów husyckich, gdyż chyba sam król jest skrytym husytą.

Natomiast król Polski zamierzał sam na czele swych wojsk wyruszyć na pomoc do zamierzanéj krucyaty. Rozpisanie wtórego terminu musiało jednak największe zrodzić zamieszanie w Polsce i na Litwie, gdzie wojsk w pogotowiu będących nie było, i gdzie władcy musieli się uciekać do pospolitego ruszenia. Król rozpisał drugi termin, jeśli atoli nie wyruszył, to zaiste nie leżało już w jego mocy— równocześnie bowiem z drugim terminem nadesłał Zygmunt Jagielle i Witołdowi zupełne pełnomocnictwo do pogodzenia z Czechami.

Postępowanie Zygmunta w kwestyi husyckiéj dwójznaczne i nie jasne, z którego to powodu ściągnął na się votum nieufności od kurfirsztów (zjazd w Bingen) a podejrzenie ze strony kuryi, występuje również i w stosunkach dyplomatycznych Jagiełły, prowadzonych za wiedzą i zezwoleniem Zygmunta. Poselstwa Jagiełły są zagadkowe, nie wspominają one ani słowem o Zygmuncie; król Polski za zezwoleniem i w porozumieniu z Zygmuntem kroczy na manowce, chcąc wywołać rozruchy wewnętrzne w Czechach, aby tą

drogą a więc skrytym sposobem utorować mu drogę do tronu. Im bardziéj jest Jagiełło nie rzetelnym w obec Czechów, tém uczciwsze i rzetelniejsze jest jego postępowanie wobec Zygmunta, i pozostaje nim nawet wtenczas, kiedy brat, Witołd, psuje polskie plany w Czechach.

We wrześniu 1423 r. w obec spełzłego na niczém drugiego terminu, postanowiono w Budzinie na przyszłe lato podjąć wyprawę przeciwko husytom, a termin téj wyprawy miał już sam Jagiełło z Witołdem oznaczyć. Zygmunt pozornie życzył sobie, aby jeden z władców osobisty wziął udział w wyprawie, a to, jak twierdził z tego powodu, aby sława zniweczenia lub nawrócenia husytów nie zmniejszona pozostała przy królu i w. ks. Litwy. Nadto życzył sobie Zygmunt zjazdu osobistego z królem, a poseł polski przywiózł pełnomocnictwo swemu królowi do dalszego prowadzenia układów z husytami.

Udział Polski w tych układach nie da się ściśle zbadać, natomiast na zjeździe w Krakowie (marzec 1424) na koronacyi królowéj nie oznaczono tegorocznego terminu i tylko król Jagiełło zobowiązał się zamknąć granicę od Czech, nie dozwolić husytom dowozu broni, amunicyi itp. z królestwa. Poselstwo husyckie żąda od Jagiełły, aby wyjednał u Zygmunta audyencyą dla husytów, poczém udaje się do Witołda na Litwę, gdzie proponuje księciu, aby dał Czechom Korybutowica na księcia, czemu jednakowoż Witołd wręcz odmówił.

Zygmunt odpowiada Jagielle, że nie zgadza się na użyczenie audyencyi husytom, gdyż oni żądają tylko zwłoki, na stronie jednak daje polskim posłom wskazówki, że ze względu na życzenia i rady Jagiełły, na dowód jak pragnie pokoju i zjednania względów króla Polski i żeby go w końcu husyci przed Jagiełłą nie oskarżali, daje królowi pełnomocnictwo do pojednania Czechów z nim i z kościołem. Oparty na tém zezwoleniu czyni Jagiełło owe pertraktacye z husytami, aby wyjednać im posłuchanie u Zygmunta, gdy tymczasem husyci wyzyskując zwłokę, spowodowują ucieczkę Korybuta do Czech. Cały świat wierzy listom Jagiełły, w których miota groźne słowa na niegodnego bratanka, jeden tylko Zygmunt nie wierzy Jagielle a co gorsza spowodowuje afront wojsk posiłkowych pod Ołomuńcem a nawet ma dość czoła wytartego, mówiąc publicznie, że gdyby król Polski nie chciał, toby kacerstwo w Czechach się nie wzmagało.

Dlaczegoż działa Zygmunt w obec Jagiełły, oddanego mu z zupełną szczerością i zaufaniem, w złéj wierze? Zygmunt, odpowiada prof. L., obawia się, jak to już inni autorowie dostrzegli, że jakiekol-

wiek wmięszanie się Polski w sprawy czeskie, oddałoby koronę czeską lub kraje korony czeskiéj w ręce polskie.

Po afroncie wojskom posiłkowym polskim stosunki przyjaźni zmieniły się, chociaż i teraz Jagiełło nie zmienił nieprzyjaznego względem husytów usposobienia, ale z tą dobroduszną przyjaźnią jaką okazywał Zygmuntowi w kwestyi husyckiéj, wziął Jagiełło zupełny rozbrat i co do husytów szedł już swoją własną drogą.

Jakaż ona była? Oto gdy w 1425 r. upraszał go Zygmunt o posiłki przeciwko husytom, odpowiedział król odmownie. W następnym roku udał się Zygmunt do papieża, aby tenże wstawił się za nim u króla Polski. Na prośby Marcina V odpowiada Jagiełło, iż gotów jest dać żądane posiłki przeciwko husytom i oświadcza tę gotowość kurfirsztom, którzy na ten rok uchwalili wieść tak zwaną, dzienną wojnę. Zygmunt był, jak wiadomo, tego roku w Węgrzech zajęty. Kurfirsztowie poddają pod sąd Zygmunta, czy mają króla Polski zawezwać do dania posiłków lub zaniechać zaprosin. Było to więc chyba powtórzenie afrontu Ołomunieckiego. Co gorsza, Zygmunt tak dalece nie życzy sobie wmieszania się Polski w sprawy czeskie, że pracuje nawet nad zwolnieniem węzłów hołdownictwa, wiążących książąt Mazowieckich z koroną polską.

Po bitwie pod Aussig, w obec bezczynności Zygmunta, wzmogli się husyci do tego stopnia, że stali się groźnymi sąsiadom, a papież postanowił sprawę husycką wziąć w swe ręce. Husyci zagrażają Szląskowi a król Polski musi ustawicznie utrzymywać wojska z téj strony granic, a z książętami Szląskimi żyje w przyjaźni. Była tedy sposobność aż nadto wielka do wmieszania się i do ziszczenia aspiracyi na Szląsk. Że się o to ze strony Polski pokuszano, zdaje się świadczyć fakt, że papież na wstawianie się Jagiełły przyrzekał wysłuchać sprawy husytów za pośrednictwem króla Jagiełły i Witołda, z wykluczeniem innych książąt, i rostrzygnąć powagą stolicy apostolskiéj. Upadek powtórny Korybuta w Czechach przeszkodził temu zamiarowi, ale od tego czasu powziął Zygmunt silne przekonanie, że Jagiełło czyha na jego ojcowiznę. Z wymówką i skargą zwraca się on do Witołda, zapytując księcia, czy téż istotnie książe wespół z Jagiełłą wstawiają się u husytów za Korybutem i przygotowują wojenną wyprawę na Szląsk. Jagiełło w rzeczy saméj przysposabiał się do wyprawy na zagrożony przez husytów Szląsk, ale listy Zygmunta i przysięga złożona Zygmuntowi powstrzymały go od wydania wojny husytom.

Po strasznych spustoszeniach husyckich na Szląsku w 1428 r. wezwał papież w stanowczy sposób Zygmunta, aby obecnie podjął oręż przeciwko kacerzom, jeżeli nie chce popaść w podejrzenie.

Król Zygmunt w odpowiedzi na to daje Jagielle zupełne pełnomocnictwo do wypowiedzenia krucyaty husytom, do wezwania na wyprawę wszystkich książąt podległych państwu Rzymskiemu, do ukarania opornych i do zajęcia zdobytych miast i terytoryów. Był to znowu czczy pomysł Zygmunta, gdyż uknuł on już z Witołdem intrygę, mającą na celu rozdział Litwy od Polski. Zarówno przed tém jak i po tém doprasza się on u Jagiełły o pomoc przeciwko husytom, któréj nigdy nie bierze na seryo. Polacy spostrzegli się, że Zygmunt ich wywiódł w pole dopiero bezpośrednio przed zjazdem w Łucku.

Zygmunt, konkluduje autor, unicestwia rozmyślnie szlachetne zamiary Jagiełły, gdyż obawia się, aby przy pacyfikacyi Czech nie odniosła Polska i owoców tego czynu. Bo gdyby się Zygmuntowi udało nawet, po takiém zniszczeniu husytów, zatrzymać Czechy, to już w każdym razie wystąpiłaby Polska z pretensyami do Szląska i zdołałaby je z łatwością przeprowadzić.

Dlaczego jednak podniósł Zygmunt w Kezmarku myśl krucyaty przeciwko husytom i dla czego późniéj w swych listach, pośrednio lub przez papieża wzywał Jagiełłę do wyprawy. Zygmunt, odpowiada autor, chciał się w ten sposób zasłonić przed światem chrześciańskim, domagającym się natarczywie wytępienia kacerstwa, chciał zarazem usunąć od siebie podejrzenie, jakoby sam był ukrytym husytą. I tę jeszcze korzyść zyskiwał przy tém król Zygmunt, że skutkiem nieudałych usiłowań Polski stawała jéj szczerość i pochopność w obec świata chrześciańskiego w świetle wątpliwém a podnosiła się tém bardziéj rzekoma gorliwość Zygmunta.

I.

Faktyczna strona rokowań pomiędzy Zygmuntem a Jagiełłą jest tu zestawiona niewątpliwie trafnie i wyczerpująco. Wydawnictwo kodeksu listów Witołda, w którém nie datowane pisma dotyczące téj sprawy ugrupowano w chronologicznym porządku, a i grupa nieznanych listów z 1428 r., wyjętych z kodeksu biblioteki Jagiellońskiéj, pomagają autorowi do celu; mamy świeży, nowy i piękny obraz, odpowiadający faktycznéj prawdzie, dotąd w literaturze niemieckiéj zupełnie nie znanéj, gdyż zdarzenia opowiedziane są nowe i do niedawna ukryte były w pyle archiwalnym, dopokąd je szczęśliwa ręka stamtąd nie wydobyła. Nie tylko faktyczna strona, w któréj przebija się metoda opanywująca przedmiot, zdająca sobie sprawę z najważniejszych momentów, grupująca je w całość, w któréj

góruje myśl przewodnia, ale co bardziéj uderza nas nadto i wyższy talent historyka, usiłującego wydobyć z opowiedzianych wypadków motywa zawiłéj akcyi, gubiącéj się w drobnostkach, mogących łatwo ujść baczności historyka, które atoli w każdym razie przedstawiają jakąś wyższą, nie łatwą do odgadnięcia zagadkę natury psychologicznéj.

Przy bliższém rozpatrzeniu nasuwają się nam jednakowoż pewwne wątpliwości tak co do pierwszéj strony zestawienia faktycznéj strony rokowań, jakotéż i co do drugiéj, w któréj nam autor tłómaczy motywa akcyi.

I tak uderza nas najprzód tendencyjny układ zarzutów sformułowanych przeciwko królowi Zygmuntowi, a mających posłużyć za dowód, że tenże rozmyślnie paraliżował chwalebne usiłowania Jagiełły co do zbrojnego wyruszenia przeciwko husytom. Wywody są poniekąd naciągane, bo czyż zasługuje Zygmunt na zarzut (str. 32), że mianowicie nie zawiadomił on wielu książąt i elektorów rzeszy w stosownéj porze o pierwszym terminie wyprawy, skoro sam kardynał Branda mówi, że to zawiadomienie należało do atrybucyi legata stolicy apostolskiéj (1). Chwieje się waga sprawiedliwości autora w zarzucie, jakoby Zygmunt spowodował odwołanie pierwszego terminu, skoro, jak to zresztą sam autor przytacza, uchwała odwołania zapadła w całéj radzie królewskiéj (*ward im ganczen rat beslossen*). Pomimo téj uchwały jednak ks. Albrecht Austryacki, nie przedkładający ofert do pokonania husytów, ani téż dopraszający się natrętnie o udział w wojnie krzyżowéj, wyruszył z wojskiem na św. Jana—król zaś Jagiełło, który, dodajmy, już zeszłego roku (1422) dopraszał się, aby mógł służyć Zygmuntowi posiłkami, który sam z niefortunnym skutkiem proponował udzielenia pomocy (2), nie stawił się na terminie. Jeżeli rozporządzenia króla Zygmunta, nie zdołały uwieść Albrechta, nie obawiającego się nawet hazardu, gdyż sam jeden ściągał potęgę husytów na swe szczupłe siły, to zaiste musiała jakaś głębsza przyczyna, aniżeli zwłoki i brak przygotowań ze strony Zygmunta, ubezwładnić zamiary Jagiełły, z którego to powodu nie można mówić, aby Jagiełło dał się uwieść Zygmuntowi.

---

(1) Palacky. Beiträge I. 301. Według słów kardynała zawezwał go król Zygmunt, quodque nos predictos dominos principes sacri imperii electores aliosque principes dominos et communitates Germanie exhortari et inducere deberemus, ut se viriliter et potenter ad tam sanctum opus accingerent, et in predicto festo (S. Johannis bapt.) cum romana regia maiestate coniungerent. Niepomogły widocznie wezwania Brandy poparte groźbą ekskomuniki!

(2) Obtulimus—mówi Jagiełło. Cod. epist. Vit. p. 1070.

Jak z jednéj strony widoczną jest w pracy p. Lewickiego tendencyjność w tworzeniu zarzutów nieusprawiedliwionych, skierowanych przeciwko Zygmuntowi, tak z drugiéj znowu strony uderza ona w usiłowaniu bronienia Jagiełły od cienia chociażby podejrzenia. Zaznaczmy najprzód, że autor utożsamia zamiary Jagiełły z zamiarami Polski, tj. przedstawia dążenia króla jako wyraz dążeń magnatów w ogólności Polski, co jak późniéj poznamy, jest mylném. Twierdzi tedy p. L. (str. 33), że odwołanie pierwszego terminu wyprawy, musiało na zamiary Jagiełły zgubnie podziałać, gdyż król nie mając pod ręką gotowych wojsk, musiał się uciekać do pospolitego ruszenia. Argument ten zdoła zadziwić każdego, kto wić, że kardynalnym punktem przywileju szlachty było, iż król nie może zmuszać jéj do zagranicznéj wojny i że pospolite ruszenie mogło być przeto tylko przeciwko nieprzyjacielowi, który wtargnął do kraju, użyte. To téż Jagiełło wcale nie myśli o pospolitém ruszeniu a wojnę pragnie wieść zaciężnymi (1). Jeżeli tedy brak zaciężnych mógł przyprawić o kłopot króla Polski, gdyż jak wiemy, nikt nie zważał na odnośne odezwy króla, a zgłaszali się po żołd, znani późniéj husyci polscy (jak, Dziersław Włostowski lub towarzysz Siestrzeńca, pan Mikołaj Zamba ze Szczytnik), to zaiste była w tém i wina Jagiełły, że pierwszy termin minął w Polsce bez skutku i trudno by przyszło nawet najdzielniejszemu dyalektykowi z tego powodu uczynić zarzut przeciwko Zygmuntowi. Że Jagiełło na czas nie miał wojsk posiłkowych, a nawet ich miéć nie mógł, dowodzi i ta okoliczność, że nie ma śladu, aby pierwszy termin w Polsce był ogłoszony, a mamy dowody, że ogłoszono drugi (2), przeto zmiana terminu nie mogła być tak wysoce zgubną dla zamiarów Jagiełły, jak to twierdzi autor. Byłby to niezawodnie na swe usprawiedliwienie podniósł Jagiełło w poselstwie w obec kardynała Brandy (3), a jeżeli tego nie uczynił a wymawiał się z powodów, które go zmusiły do opuszczenia nawet drugiego terminu, to aż nadto widoczna było, że na pierwszy wojsk nie miał a na drugi było zapóźno. Nie potrzeba wielkiéj bystrości do odgadnięcia, że i tą wymówką, wypowiedzianą w obec legata stolicy apostolskiéj, pokrywał król brak wojska.

Ale są to wszystko drobne szczegóły, prostujące lub modyfikujące przedstawienie faktycznéj strony polityki ówczesnéj, a takich szczegółów, wymagających sprostowania, jest nierównie więcéj. Poznamy je przy sposobności; przytoczone wyżéj wystarczą na dowód, że autor dawał się uwieść tendencyjnością.

---

(1) Palacky. Beitrage p. 304: stipendia et salaria refutando..; p. 305: racione stipendii.

(2) Ibidem p. 305. — (3) Cod. epist. Vitoldi. p. 616.

Rozpatrując ogólny wynik pracy, mimo woli pytamy się, czy też król Jagiełło był istotnie do tego stopnia indolentem, iż dał się tak całkowicie wywieść w pole Zygmuntowi; że polityką swą dopomógł królowi Rzymskiemu do zupełnego usunięcia Polski od spraw czeskich, do zasłonięcia Zygmunta przed wyrzutami całego świata chrześciańskiego, posądzającego tegoż o skryty husytyzm i zarzucającego mu niedołęstwo? Czyż istotnie w radzie króla polskiego zasiadali tak niedołężni ludzie, tak nie doświadczeni politycy, iż dali się przez sześć lat zwodzić i całkowicie wywieść w pole podstępnemu Zygmuntowi i polityką nieudałych swych rokowań z Czechami i innych również niefortunnych usiłowań przedstawili Polskę w obec świata w świetle wątpliwém a przez to samo podnieśli wysoko rzekomą gorliwość Zygmunta? Mamyż zgodzić się tak bez zastrzeżeń na zapatrywanie autora, w skutek którego uznać należy politykę polską w latach 1423—29 za zupełnie niedołężną, pozbawioną jakiéjś myśli realnéj, a uznać ją jako pomysł fantastyczny, mający na celu nie dobro ojczyzny ale interes Zygmunta i całego „świata chrześciańskiego“, który to ostatni zwrot, zachodzący zresztą w pismach kancelaryi królewskiéj, z upodobaniem i często podnosi autor. Czyż myśli młodego biskupa krakowskiego (Zbigniewa) były już podówczas tak rozszerzone a wpływ jego tak potężny, aby się mogły odezwać potężném echem w całéj Polsce? Czyż zresztą ten wysoki cel „owa zasługa przed Bogiem i światem chrześciańskim“, identyczna zresztą z interesem Niemców i ich króla Rzymskiego, mogły żyć i wzrastać w piersiach tych ludzi, którym to Niemcy kością w gardle były, którym ten Zygmunt tak wielkie stawiał przeszkody do odporu Krzyżaków, a którzy w końcu nie zakończyli jeszcze w zupełności swego rachunku z Krzyżakami, gdyż dzieło pokoju Melneńskiego z Zakonem nie było jeszcze zupełnie ukończone, warunki jego nie były wykonane.

Jak z jednéj strony p. Lewicki identyfikuje pojęcia i dążenia Jagiełły z dążeniami Polski—i nie widzi wcale rozdziału pojęć, jaki zapanował w kwestyi husyckiéj pomiędzy królem a jego poddanymi, tak z drugiéj znowu strony wypuszcza ze swych kombinacyi tak znakomity i wiele znaczący czynnik, jakim był Zakon Niemiecki. Krzyżacy dla autora jakby zamarli, i nikt nie dowie się z rozprawy, iż właśnie w czasie owych nadaremnych rokowań Jagiełły z husytami i Zygmuntem, zakon ze swéj strony udaremniał wykonanie pokoju Melneńskiego, że groził wojną i że cała sprawa krzyżacka zawisła znowu groźną chmurą nad Polską i Litwą. Wszakże tak ważna okoliczność, o czém późniéj wspomnimy, musiała na charakter działań, akcyi politycznych króla Polski ważny wywierać wpływ,

tém ważniejszy, o ile że król Zygmunt był zwierzchnikiem Zakonu, ociągającego się ze spełnieniem warunków pokoju uznanego za trwały, za wieczysty.

Skoro atoli autor zamknął swą rzecz w ciaśniejszych ramach i sprawę krzyżacką pozbywa milczeniem, to przecież powinien był wyświecić najważniejszy punkt, rzecz, od któréj rozprawę poczyna, to jest traktat Jagiełły i Zygmunta w Kezmarku; od téj chwili bowiem poczyna się, według autora, nowa doba w epoce husyckiéj,— Polska stanęła odtąd na pierwszym planie, wszyscy oczekują ztąd zupełnego pogromu husytów, oczy całego świata skierowane są na Polskę.

Że téż nie nasunęło się autorowi pytanie, czy ten głośny traktat w Kezmarku z marca 1423 r. zawarty był z dobrą wiarą kontrahentów, czy mógł być trwałą podstawą, niewzruszoną opoką, na któréj można było dzieło pokonania husytów budować; czy nie był on tylko paliatywnym środkiem, mającym posłużyć stronom, zawierającym zgodę, do snucia na podstawie tegoż własnych interesów, chociażby nawet wręcz sobie sprzecznych?

Zaznaczmy przeto, że ów traktat zawarty był pod presyą aliansu Zygmunta z książętami szląskimi, Węgrami i Zakonem, mającego na celu rozbiór Polski. Daléj uskuteczniono zgodę w chwili, kiedy Zakon niemiecki nie tylko że nie wypełniał warunków podyktowanych przez jego zwycięzców nad Melnem, ale podburzony przez Zygmunta wdzierał się nadto w granice Polski i ani myślał o rozburzeniu pogranicznych zamków, zbudowanych na polskiéj ziemi; w chwili, gdy Witold z całą energią groził Zakonowi a nawet zbroił się do wojny. Zaznaczyć wypada i tę okoliczność, że Witold nie był na zjeździe w Kezmarku, że wymówił się chorobą i wcale nie brał udziału osobistego w odnowieniu traktatu lubowelskiego, jakkolwiek przeciwnie czytamy w listach kuryalnych i mylnie za niemi twierdzi autor (1). Daléj, że na prośby Zygmunta, który w Kezmarku grał rolę protektora Krzyżaków, Jagiełło przyrzekł uroczyście nie rościć sobie pretensyi do Zakonu o wynagrodzenie szkód poczynionych w Polsce już po zawarciu pokoju nad Melnem.

Jeżeli zważymy na te wszystkie okoliczności, jeżeli nadto podniesiemy i inną, a mianowicie, że Jagiełło w zamian za uroczyste

---

(1) Ustęp w liście Witolda do W. Mistrza z 26 kwietnia 1423 roku: „Vort als ir schreibet von den briffen die euwer marschalk czu Kesmargt dem herrn bischofe czu Krokaw gegeben hat" etc., w którym Witold wspomina i o listach otrzymanych od Jagiełły, zawierających wiadomość o dokonaniu z Zygmuntem zgody, dowodzi stanowczo, że Witold nie był na zjeździe w Kezmarku.

uniewinnienie go od zarzutu, jakoby sprzyjał heretykom, obiecuje Zygmuntowi wojenną pomoc przeciwko husytom i czyni wielkie ustępstwa dla Krzyżaków, to w każdym razie przyznać należy, że ci co presyą nań wywierali przy zawarciu traktatu, ci głównie odnoszą i korzyści materyalne i moralne,— albo że Jagiełło, lub raczéj jego baronowie zobowiązania poczynione Zygmuntowi lekceważyli, a traktat wyzyskać zamyślali dla własnych planów. /

Korzyści króla Polski były bardzo problematyczne. Owe uroczyste odwołanie króla, posądzanego o husytyzm, mógłby nawet ktoś uważać za kompromitacyą Jagiełły, a owe milczące i dokumentem nie stwierdzone przyrzeczenie, że król Zygmunt nie będzie się mieszać w sprawy Polski z Zakonem, było również błahém, skoro się zważy, że tenże król nie dotrzymywał nawet zaprzysiężonych i dokumentami stwierdzonych obietnic. Nawet w końcu i piekącéj sprawy rabunków, dokonywanych ze strony Szląska na granicach polskich, nie załatwiono po myśli Jagiełły; ugodę co do tych pogranicznych niepokojów odkładał Zygmunt na zjazd we Wrocławiu nastąpić mający po dokonanéj na husytów wyprawie, czyli innemi słowy, jeżeli król Polski pokona husytów, król Zygmunt załatwi ostatecznie nieokreślone bliżéj dokumentem rabunki graniczne, niepokojące Polskę od strony Szląska.

Że Jagiełło zgodził się na taki traktat, rzecz nie dziwna. Był pod presyą, był łatwowiernym, w stosunkach z Zygmuntem naiwnie dowierzającym i dał się uwieść słodkim słówkom i sprytowi Zygmunta; jego wreszcie honor i popadłe w podejrzenie imię wymagały zadość uczynienia w uroczystém odwołaniu, które mu zapewniał Zygmunt. Zapytany o przystąpienie do takowéj zgody Witołd, mógł się również zgodzić na przystąpienie do traktatu, gdyż ten obchodził Polskę, Litwy nie tykał, a zresztą pozostawiał Polskę w spokoju z Zakonem, w zgodzie z królem Rzymskim, a témsamém dawał mu możność do uskutecznienia zamiarów względem Litwy, polegających na sforsowaniu supremacyi Wilna nad najbardziéj odległymi punktami Słowiańszczyzny północnéj, południowéj i wschodniéj, nad unią kościoła ruskiego z rzymskim z jednéj, a na utrwaleniu pokoju wiecznego z Zakonem z drugiéj strony.

Że atoli polscy senatorowie, towarzyszący królowi do Węgier, zwłaszcza téż ci, którzy go tam pomimo woli przywiedli, zgodzili się na traktat, który wiódł ich do wojny z husytami, a w nagrodę tych trudów wojennych, stawiał całkiem nieokreślony i mglisty zjazd we Wrocławiu, mający pozornie położyć koniec rabunkom szląskim, uderza tém bardziéj, skoro się przypuści, że wiedzieli oni dobrze z praktyki, jaką wagę należy przypisywać ówczesnym od-

kładanym zjazdom a bardziéj jeszcze obietnicom Zygmunta, że wreszcie wielu z nich dorozumiewać się mogło, iż Zygmunt nie pojmuje na seryo pomocy polskiéj przeciwko husytom i w końcu, że plan takiéj wojny mógłby napotkać na opór poddanych polskich (1).

Że się jednakowoż zgodzili i przewiesili pieczęci swe do dokumentów kezmarskich, przypuszczać można, że popełnili oni błąd, który się następnie w skutkach okazał. Mamy dowody, że król Zygmunt skłonił ich do zawarcia ugody przez panów Węgierskich, którzy stali się narzędziem politycznem w jego ręku, panowie zaś polscy skłonili swego króla Jagiełłę, ociągającego się od osobistego udziału w zjeździe. Bądź co bądź spodziewali się oni odnieść i korzyści z ugody kezmarskiéj. Najważniejszą było owe milczące cofnięcie nienawistnego w Polsce wyroku wrocławskiego, a zatém uzyskanie aprobaty pokoju, zawartego z Zakonem nad Melnem. Zgadzamy się na to, co na kilku miejscach zaznacza autor, że panowie polscy spodziewali się od Zygmunta w nagrodę za trudy wojenne Szląska, że bez tego nie obeszłoby się, aby pacyfikator nie odniósł jakowychś korzyści i że Szląsk mógł być tą rekompensatą za pomoc wojenną. Dlaczegoż, pytamy, nie sformułowano tego życzenia jako warunku, dlaczegoż téj najważniejszéj korzyści, jaką się spodziewano odnieść, nie dano do aprobaty Zygmuntowi?

Był to jeszcze jeden rys więcéj w podwalinach ugody kezmarskiéj i nie można się przeto zgodzić z p. Lewickim, aby ją uważać za *clara pacta*. Autor nie wspomina o tém, że panowie polscy mieli przy aspiracyach na Szląsk i własne korzyści na celu, gdyż nie jeden z nich mógł dostać w nagrodę współudziału i kosztów wyłożonych na wyprawę jakieś sute starostwo w dożywocie, jeśli nie dziedziczność na Szląsku. Jak późniejsze wypadki pouczają, gonili za tą mamoną Szafrańcy, a więc jedna z najbardziéj zamożnych rodzin małopolskich. Wiadomą zresztą było rzeczą, że w skarbie królewskim były pustki i że cała pomoc przyobiecana Jagiełły w znacznéj części była zależną od współudziału magnatów, tém większe przeto dla nich były widoki zysków i obłowów. Nadzieje te już wkrótce rozwiała rzeczywistość. Bo gdy w maju tego roku rozpoczął król

---

(1) Mamy sposobność wymienienia tych polityków, gdyż imiona ich znajdują się w glejcie bezpieczeństwa udzielonym przez Zygmunta w Kezmarku 14-go marca 1423 r. Oryginał glejtu znajduje się w Archiwum min. spraw zagr. w Moskwie i zawiera imiona następne: Wojciech, biskup krak. i kanclerz; Jan, biskup włocławski; podkanclerzy Jan Szafraniec; Jan z Tarnowa, wojewoda i Mikołaj z Michałowa, starosta krakowscy; Sędziwoj z Ostroroga poznański, Jan z Toliszkowa kaliski, Maciej z Łabiszyna, włocławski wojewodowie; Michał sandomirski, Floryan wiślicki, Dobiesław wojnicki, kasztelanowie i w końcu Jerzy Gedygołd, starosta podolski i Zbigniew z Brzezia, marszałek królestwa.

Jagiełło owe dziwne rokowania z husytami, a już na dniu 4 października Zygmunt nadał swemu zięciowi Albrechtowi austryackiemu w lenno Morawy i na wypadek śmierci ogłosił go spadkobiercą swych tronów, a zatém i czeskiego, czyż wśród takich warunków mogli się możnowładcy polscy spodziewać po Zygmuncie jakowychś dobrowolnych nabytków na Szląsku. Czyż nie zamanifestował tym aktem król Zygmunt, iż zarówno pretensye Brandenburczyka jako też i innych książąt, tudzież pretensye polskie mają w osobie Albrechta silnego współzawodnika. Czyż nie z tego powodu zawarli kurfirsztowie związek w (Bingen) Pargwiach, antimonarchiczny, oskarżając Zygmunta o złe i niedołężne prowadzenie wojny, czyż nie z tego powodu wysyłają oni do Jagiełły prośbę o dochowanie ślubów z królewną Jadwigą?

Zważywszy te wszystkie okoliczności, towarzyszące zjazdowi i ugodzie w Kezmarku, tudzież postępowanie króla Zygmunta po zjeździe, musimy przyznać, że potrzeba chyba silnéj wiary, ażeby przypuścić, iż magnaci polscy i teraz jeszcze na seryo pojmowali obietnice pomocy przeciwko husytom, że sposób ich myślenia był zupełnie inny aniżeli szlachty (str. 28) niechcącéj i słyszéć o wojnie przeciwko husytom (1).

Podając w wątpliwość szczere intencye magnatów polskich do dania pomocy królowi Zygmuntowi, chciejmy się przypatrzéć owéj szczerości Jagiełły, w którą tak silnie wierzy p. Lewicki. Przypuśćmy tedy, że interesa króla Polski często się krzyżowały z interesami magnatów i że Jagiełło był do tego stopnia dbałym o cześć i sławę swoję i zasługi wobec chrześciaństwa, iż nie zważając na swych doradców, szczerze i lojalnie postępował wobec Zygmunta.

Otóż gdy pierwszy termin wyprawy miał minąć bez skutku, udzielił król Zygmunt zupełne pełnomocnictwo Jagielle do rokowania z Czechami, a więc niejako dał dowód, że zaufał królowi i odeń

---

(1) Jeszcze przed zjazdem w Kezmarku wiedzieli magnaci polscy, że Zygmunt nie życzy sobie posiłków polskich (*subsidiis nostris se dixit non egere*—Cod. ep. Vit. p. 1070), a jednak gdy króla Jagiełłę zobowiązali do udzielenia tychże Zygmuntowi nie słychać w następstwie tego o jakiémś silném poparciu króla z ich strony. Natomiast atoli musieli oni udzielić swemu królowi pełnomocnictwo do prowadzenia niezaszczytnéj dla króla i królestwa akcyi pokojowéj z husytami, i to nawet w sposób *podstępny*. Miałoby to świadczyć o ich lojalności względem Zygmunta. Mnie się zdaje, że szydło wylazł z worka w liście magnatów polskich pisanym do węgierskich w 1438 r. wśród nieco zmienionych okoliczności. Oto co piszą: „Mirandae res haec sensibus nostris, ut *quociens aliquis princeps alius quam Romanorum rex* regno Bohemiae praeesse debebat aut inibi sperabat regnaturus esse, mox illi et ambicionis ardor et hereseos crimen aliaque multa, quae dedecent, ascribuntur.“ (Cod. ep. pars I, p. 100).

się spodziewał, iż na drodze dyplomatycznych rokowań będzie się starał przywieść husytów do posłuszeństwa kościołowi i królowi Rzymskiemu. Ale dodajmy, o czém zresztą nadmienia autor, że równocześnie Zygmunt sam prowadzi bardzo podejrzane rokowania z Taborytami z Preszburga, że te rokowania nie podobają się w Niemczech, że zaostrzają wrogi stosunek Utrakwistów (nie chcących nawet słyszéć imienia Zygmunta) do Taborytów. Czyż takie rokowania nie udaremniały skutku rokowań polskich? Bo jeżeli Jagiełło w sposób, który na autora rozprawy po dziś dzień przykre czyni wrażenie, prawiąc o *linguagium sclavonicum*, chciał Utrakwistów zapędzić do obozu Zygmunta, to pytamy z jakiego powodu racyonalnego król Zygmunt, zgadzający się na tak drażliwy i upokarzający go środek, przyciąga Taborytów do siebie, dlaczego wchodzi z nimi w układy, wszakżeż akcya taka z dwóch stron, musiała się wydać obu obozom czeskim bardzo podejrzana, musiały one przyjść do przekonania, że zarówno Zygmunt jak i Jagiełło zwodzą ich i jakieś złe względem nich żywią zamiary. Że tak było w rzeczywistości, stwierdza okoliczność, że odpowiedź Utrakwistów na propozycye Jagiełły jest antidatowaną, że dalej nastąpiło w Czechach zaostrzenie stosunku wrogich sobie stronnictw, a w końcu takie zamieszanie pojęć u Czechów, że pomimo udaremnionych rokowań Zygmunta z Taborytami, uprzedziły one i Utrakwistów źle do Jagiełły, gdyż musieli się obawiać zdrady tego króla.

Jeżeli zaś takie tylko korzyści chwilowe stoją po stronie Zygmunta, to oczywiście wiedziano o nich wnet w Polsce, a rezultatem tego doświadczenia nie mógł być wzrost ufności Jagiełły do Zygmunta. Jeżeli Zygmunt nie chciał miéć do zawdzięczenia pacyfikacyi Czech wojskom Jagiełły, a pacyfikacyi na drodze pokoju dokonywanéj z upokorzeniem powagi królewskiéj przeszkadzał, pytamy, czy i natenczas miał Jagiełło na seryo myśléć o dalszém szczerém lojalném pomaganiu Zygmuntowi? A jeżeli Jagiełło nie widział tych dowodów nieszczerości Zygmunta, lub idąc za wzorem cnót świętych, widziéć ich nie chciał, i pomimo wyraźnych wskazówek ze strony domyślnych magnatów polskich, ufał swemu przyjacielowi, to czyż ogłoszenie Albrechta, jako następcy koron Zygmunta, nie wzbudziło w Jagielle podejrzenia, że Zygmunt dla kogoś innego przeznacza owoce chwały i zasługi podjętéj w obronie chrześciaństwa. Jeżeli zaś i tego domyśléć się nie umiał, to czyż głos oburzenia w Niemczech, że do wojny krzyżowéj nie przyszło, że ją król Zygmunt udaremnił, czy podejrzenia poddanych niemieckich rzucane na króla Rzymskiego, że jest skrytym husytą, nie otworzyły oczu Jagiełły? Czyż mu nie wyłuszczyli posłowie elektorscy w stycz-

niu 1424 roku w Krakowie, jak podejrzanego pozyskał przyjaciela w osobie Zygmunta, i czy ów kurfirszt Brandeburski, siejący plotki na dworze krakowskim, nie przyczyniał się do wyjaśnienia, jak wysoce interesowną była przyjaźń króla Rzymskiego, króla, którego wpływ w Niemczech był podkopany, który sam o sobie mówił, że nie jest szczęśliwym w wojnie, pokrywając tém własne niedołęstwo, i o którym śmiało mógł twierdzić i dowodami wykazywać w Krakowie jego współzawodnik Fryderyk, że po to tylko zawarł traktat z Jagiełłą, aby zasłonić swą kompletną niemoc w Niemczech, a na króla Polski, mającego tak szczytne zamiary, zwalać winę, że wyprawa nie przyszła do skutku.

Jak widoczna, rozmaite powody mówią za tém, że szczerość Jagiełły, jego lojalność nie była tak bezwarunkową, jak to twierdzi d-r Lewicki. Przypatrzmy się zresztą tym dowodom, z których autor wnioskuje o owych otwartych i lojalnych zamiarach króla Jagiełły wobec Zygmunta.

I tak zbrojenie się w Polsce w 1423 r. bierze autor za nadto seryo. Listy biskupa krakowskiego do papieża, w których Oleśnicki podnosi zasługi króla około zamiaru wojny przeciwko kacerzom, mają służyć za dowód, że w Polsce przygotowano się i to na olbrzymią skalę, aby być na pierwszy zaraz termin gotowym do wymarszu. Tak listy biskupa jako też zapewnienia żołdu dla zaciężnych wojowników, osławionych późniéj jako notorycznych husytów, a wreszcie prośby stosowane do miast o pożyczkę paru set grzywien, nie starczą za dowód, że wojska się zebrały lub czekały już w pogotowiu na krucyatę, aż je nieszczęsna zmiana terminu nie rozprószyła.

Przyznajemy chętnie że zbrojenia te były w toku, ale jakim był ich charakter, jaka rozległość, wykazują listy królewskie. Oto król wzywa biskupów, aby ogłaszali z ambon wojnę przeciwko kacerzom; zapewne, że byli powolni wezwaniu lecz z niewielkim skutkiem. Sam wszakże król skarży się, że poddani nie chcą ratować jego honoru na szwank narażonego imienia i wiary katolickiéj, słowem że nie chcą iść na wojnę. Wobec tego, czyż możliwa aby Jagiełło liczył na to, że wyprawa wojenna i to jeszcze tegoż roku przyjść może do skutku. Czyż nie widoczna, że już w maju pojął potrzebę zawieszenia na ten rok projektu, skoro nietylko że przeciwko zwłoce Zygmunta nic nie miał do zarzucenia, ale nadto dał się użyć do niefortunnego i upokarzającego jego majestat — pośrednictwa z husytami, skoro daléj w odpowiedzi na zwłokę wysłał do króla Zygmunta posłów z tłómaczeniem, iż trudno by mu przyszło pod zimę podejmować wyprawę i prośbą, by ją odłożył na rok przyszły. A ileż to wojen na św. Jakób prowadził Jagiełło w swém ży-

ciu i nie obawiał się by go zaskoczyła zima? A czyż w czerwcu Zawisza Czarny nie o zwłokę domagał się u Zygmunta i czy odpowiedź tegoż na te przedłożenia, a mianowicie, że skoro król Polski tego roku nie chce podjąć wyprawy, niechajby natenczas przyjął na się odpowiedzialność za niedojście projektu do skutku, nie należy tłómaczyć i w ten sposób, jak żywo się tu o zwłokę domagano?

Co więcéj, mamy wyraźne ślady, że zamiary Jagiełły celem podjęcia wyprawy napotkały w Polsce na opór. Jak już wiemy, w Polsce ogłoszony był drugi termin wyprawy (św. Jakób), a pomimo to nikt się nie zjawił. Ochotnik nie chciał iść, do pospolitego ruszenia nie śmiał król apelować, a w końcu wezwane do złożenia subsydyów na wyprawę czeską duchowieństwo, odmówiło wręcz pomocy pieniężnéj. A jak potężnym musiał być opór wszystkich poddanych, poświadcza ta okoliczność, że nie szło tu bynajmniéj o olbrzymią wyprawę, któréj myśl przypisuje Jagielle p. Lewicki, lecz wprost o posiłkowy korpus (1). Taki oddział posiłkowy wysłał téż Jagiełło Zygmuntowi w roku 1424 po ucieczce Korybuta, a posłowie polscy mówią wyraźnie z racyi téj pomocy, że król wysławszy Międźwiedzkiego w 5,000 koni *in vim concordiae et inscriptionis pro subsidio contra hereticos, multo majorem quantitatem quam rex Romanorum petebat, in Moraviam direxit* (2), co nadto świadczy o zupełnym braku zapału króla do wyprawy husyckiéj na olbrzymią skalę, skoro obecnie skompromitowany król z największym wysiłkiem zbiera tyle koni, ile się nieraz składało na jego świtę dworską. Opór poddanych widoczny i w tém, że w tym roku 1423 zamiast wysyłać wojska przeciwko husytom, zwołuje król zjazdy prowincyonalne, nasamprzód do Korczyna; naradzają się tam możnowładcy i delegowani po dwóch z każdego herbu nad środkami przeciwko wdzierającemu się do królestwa husytyzmowi. Spisują się te środki i posyłają Witoldowi do zaopiniowania. Uchwał atoli żadnych nie powzięto (może dla braku Wielkopolan) i odłożono na zjazd w Wiślicy odbyć się mający. Ale i tam niczego nie

---

(1) Że król Jagiełło nie mógł żywić zamiaru podjęcia jakiéjś wielkiéj wojny i to pod osobistym swoim dowództwem przeciw kohusytom, poświadcza i list tegoż z 15 kwietnia 1424 (Cod. ep. Vit. p. 628) do Witołda: „....ubi homines quos sibi in subsidium paravimus stare debeant et collocari, et etiam quando et quo tempore ipsos mittere debeamus.... Vellemus etiam, quod homines nostri in tali loco starent et locarentur, in quo imminentibus periculis ut puta, quod absit, vulneribus et casibus fortuitis, facilem reduccionem ad propria possent habere....“ Szkoda, że król Jagiełło, dbający, jak widzimy, o losy tego korpusiku posiłkowego, nie wspomniał o wygódkach, jakieby się wojsku przydać mogły na Szląsku lub w Morawach z powodu obfitości niedalekich piwnic krakowskich.

(2) Cod. ep. Vit. p. 909.

uchwalono, snać trudno było wobec sprzecznych sądów przyjść do konkluzyi, lub może ktoś uchwałom przeszkadzał, nie życzył sobie, aby je tego jeszcze roku powzięto. A dlaczegoż żądał król uchwał? Oto dlatego, że husytyzm przedzierał się do Polski, miał tu zwolenników i że z takimi poddanymi nie można było na seryo myśléć o wyprawie przeciwko husytom. Król uniwersałami wysyłanemi do starostów nakazuje gnieść husytyzm w swém państwie i ten sam król ma z podejrzanymi poddanymi wieść wojnę przeciwko husytom! Wobec tego żadną miarą nie można się zgodzić na twierdzenie p. Lewickiego, jakoby odwołanie pierwszego terminu wyprawy, zrodzić miało zupełne zamieszanie w Polsce. Przeciwnie król Jagiełło mógł być tylko zadowolony z odwołania, którego się dopraszał, a które osłaniało jego kompromitacyą wobec Zygmunta. Tłómaczy nam to dostatecznie, dlaczego w Polsce o pierwszym terminie niczego nie słychać, o obwołaniu drugiego mamy dowody.

A i tu nie koniec. Jak mamy bowiem wytłómaczyć sobie postępowanie Jagiełły, jak uznać je jako nadzwyczaj szczere i lojalne wobec Zygmunta, skoro on, co postanowił wojną zgnębić husytów, doprasza się u Zygmunta o pełnomocnictwo, aby mógł Czechów na drodze pokoju z nim i kościołem pogodzić, a nawet czyni próby kilkakrotne i bezowocne, pomimo że z góry przewidziéć może, że one do niczego nie doprowadzą. Akcye tę dyplomatyczną prowadzi król Polski za wiedzą Zygmunta, a przecież król Rzymski, któremu zależało na gruntownéj kompromitacyi Jagiełły, przestrzega tegoż ostatniego, „iż Czesi od czasu ugody kezmarskiéj się wzmocnili, że napadli Morawy, że postępują sobie wobec Zygmunta zdradziecko i radzi, żeby Jagiełło bardzo ostrożnie sobie z nimi poczynał, ażeby podstępem nie wyzyskali łatwowierności króla, jak to się kilkakrotnie wydarzyło Zygmuntowi.

Tłómaczym sobie tę gorącą chęć Jagiełły tém, że chciał przecież w jakiś sposób dopomódz Zygmuntowi i pokryć własną niemoc, że opuszczony przez magnatów, duchowieństwo i szlachtę nie mogąc wojskiem posiłkować przyjaciela, chciał go na drodze układów pogodzić z Czechami, — czyż nie uderzy nas ta okoliczność, że instrukcye posłów polskich są wręcz przeciwnéj natury, aniżeli były niemi instrukcye posłów Witołdowych. Czyż Zygmunt, znając treść tych odrębnych i sprzecznych instrukcyi, nie dorozumiał się różnicy w zapatrywaniach króla a wielkiego księcia Litwy względem kwestyi husyckiéj, i czyż nie wiedział teraz na pewno, że dobre chęci Jagiełły paraliżują inne wrogie czynniki, odgrywające ważną role w koronie polskiéj.

Jaką opinią powziął o tych czynnikach polityki polskiéj Zygmunt, dowodzi ta okoliczność, że w listopadzie tego roku ogłosił on zięcia swego margrabią Morawskim i następcą swoim w Czechach, a jakby w odpowiedź na to, żądają znający sytuacyą husyci od króla Jagiełły, aby im dał zarządcę książęcia krwi, znanego im już Korybutowica, który ma paraliżować nadzieję króla Rzymskiego na odzyskanie korony czeskiéj.

Prof. Lewicki datuje od czasu téj ucieczki Korybuta zupełny już brak wiary Zygmunta w szczere intencye Jagiełły i w ostrych wyrazach daje folgę swemu gniewowi z powodu, iż Zygmunt wkrótce przed tą powtórną ucieczką księcia litewskiego nie wzdragał się publicznie powiedziéć, że gdyby tylko król Jagiełło nie chciał, kacerstwo w Czechach nie wzmagałoby się, jak obecnie się wzmaga. Zaręcza nam p. L., że Zygmunt w złéj wierze wypowiedział to zdanie, a co gorsza, po raz drugi spychał na Polskę winę, że wyprawa nie przyszła do skutku — i dodaje, że wobec należytego ocenienia tych nieznanych i nowych danych historycznych, skorośmy wreszcie poznali stosunki poprzedzające ucieczkę Korybuta, skoro się wié, jak wielką, jak lojalną gorliwość okazywał król Polski w sprawie Zygmunta, skoro go w końcu o całym przebiegu ucieczki Korybuta poinformował, nie można do innego przyjść wniosku, jak tylko przyznać, że Zygmunt działał w złéj wierze.

Nie można bezwarunkowo przyjąć i tego sądu autora. Wprawdzie w pismach Jagiełły, jakie w skutek czynu Korybuta rozesłano po całym świecie, czytamy piękne i proste motywa na usprawiedliwienie króla; odrzucają one nawet cień podejrzenia, jaki by paść mógł na Jagiełłę. Przyznać jednakowoż należy, że gdyby ta *mala fides* ciążyła na królu polskim, pisma jego kancelaryi musiały wypaść w formie takiéj, jaką nadali tymże kanclerz lub podkanclerzy.

Chociażby nawet historyk uwierzył w motywa, jakie podaje na swe usprawiedliwienie łatwowierny Jagiełło, to czyż w oczach Zygmunta nie jest winien król Polski, że nie zapobiegł wielce niebezpiecznemu dlań wypadkowi, że zezwolił, iż kilku buntowniczych Czechów w charakterze posłów zrewoltowało mu kilka tysięcy poddanych, którzy złamali wiarę królowi? Czyż nie winien Jagiełło, że nie był w stanie zapobiedz złemu w zarodku, tém bardziéj, gdy wiedział, że na taką ucieczkę się zanosi, że nie zgromił tych buntowników przez starostów i urzędników swoich, a ci ostatni, że nie pokonali ruchu w zarodku? Czyż w Polsce ówczesnéj, z tak silną jeszcze władzą królewską, mógłby kto bezkarnie zebrać kilka tysięcy wojska i napaść chociażby na wojewodę mołdawskiego?

A jeżeli król wobec dokonanego faktu był bezradnym, jeżeli poddani złamali mu wiarę i wbrew jego woli uczynili na przekór i stali się wrogami królewskiego przyjaciela, to czyż ów przyjaciel miał daléj budować na pomocy tak nie silnego, tak związanego i zawisłego od samowoli swych poddanych przyjaciela? W pierwszéj chwili nasuwa się pytanie, czy nie mógł słusznie podejrzéwać Zygmunt Jagiełły o nieszczerość i chęć szkodzenia, chociażby nawet przypuszczał, że król ten nie solidaryzował się z autorami dokonanego zamachu na jego koronę.

Jeżeli zaś król Jagiełło pomimo to wszystko szczérze działał, gdy więc dla chwały swego imienia, dla wiary i zasług niebieskich, pałał neofita chęcią pogodzenia Czechów z ich królem prawowitym i z kościołem, a był tak niedołężnym i słabym, że nie mógł zapanować w Polsce nad sprzecznymi pojęciami, jakie panowały w kwestyi husyckiéj, że nie mógł nadać im wybitnego wyrazu własnéj woli; to przecież musiał iść za zdaniem, które najbardziéj okolicznościom odpowiadało. Ta dorada, aby husytów na drodze pokoju pogodzić z Zygmuntem, jak skutek okazał, była zgubną i kompromitującą króla i królestwo. Powtóre, musiał być w Polsce ktoś, kto wysłał Korybuta, ułatwił księciu ucieczkę i to w parę tysięcy koni, wyłożył na nią potrzebne sumy, bo trudno przypuścić, aby husyci, którym nawet obuwia dla własnych żołnierzy nie stawało, mieli wyłożyć potrzebne fundusze na kosztowną w każdym razie wyprawę. Należy przeto wnosić, że ktoś bardzo możny prowadził odrębną politykę poza plecyma Jagiełły i z obrazą honoru królewskiego, zdołał zamiary swe doprowadzić do skutku na szkodę króla Zygmunta.

Konkluzya ta byłą zresztą sądem współczesnych a prof. Lewicki nawet nie przypuszcza czegoś podobnego wobec silnéj wiary w naiwną lojalność króla. Sąd o tém, że kanclerz polski z możną swą rodziną Szafrańców wysłał Korybuta do Czech, sąd ten wydał Witołd, zapewne bardzo dobrze i dokładnie znający stosunki polskie i prądy polityczne, jakie tam nurtowały, a z rozbieranéj tu rozprawy anibyśmy czegoś podobnego przypuścić nie mogli.

A przecież sąd ten nie jest oszczérstwem w ustach Witołda; znajduje on umotywowanie w niedołężnéj akcyi wojennéj i dyplomatycznéj Jagiełły w ciągu r. 1423. Wszakżeż akcye te króla Jagiełły wobec takich Krzyżaków były sprężyste i należycie popierane, tak że skutek zawsze był z korzyścią króla a ze zgubą jego przeciwników połączony. Legacye Jagiełły do Krzyżaków były jasne i stanowcze, a w legacyach tegoż króla w 1423 i następnym roku prowadzonych, można się wszystkiego dopatrzéć, tylko nie jasności, nie

stanowczości. Jest to, co prawda, niewygodnie dla autora rozprawy, gdyż pragnie on w czytelniku zaszczepić najsilniejszą wiarę w szczerość intencyi Jagiełły, to też nie dziwna, że wysila się i wydobywa cały zasób dyalektyki, aby usprawiedliwić tę niejasność, pomimo to jednak wywody jego nie mogą przekonać czytelnika i legacye zawsze jeszcze pozostają bardzo niejasnemi. Ale co bardzo słusznie podnosi prof. L., to tę umotywowaną okoliczność, że król Zygmunt trzymał się metody zaopatrywania posłów polskich w podwójną odpowiedź: urzędową, w której dawał odpowiedź jasną i trafną, i prywatną, której treść była zaprzeczeniem pierwszéj—i dodaje, że czynił to, aby udaremnić zamiary wojenne Jagiełły lub króla skompromitować. W odpowiedziach Jagiełły dawanych husytom za wiedzą Zygmunta, dopatrujemy się chyba podobnéj lub jeszcze zgubniejszéj dla Zygmunta metody. On bowiem prosił Jagiełłę, by Czechów przywiódł do posłuszeństwa grozą wojny krzyżowéj, Jagiełło w legacyach swych sekretnych (1), powierzanych, dodajmy, notorycznemu husycie polskiemu—Sietrzeńcowi, ani słowem nie wzmiankuje o ich królu Zygmuncie, a prawi Czechom, aby się wzajemnie pogodzili, bo przecież chciałby on, życzliwy im król pokrewnego językiem narodu, by naród Słowiański nie ginął pod mieczem obcych narodów, by sławna korona czeska nie stała się łupem zdobywców, wzywa więc ich, by się pogodzili pomiędzy sobą i postawili tamę grożącéj burzy. Jak niejasnemi były te legacye, świadczy skutek tychże; husyci widząc, że im nie grozi już żadna krucyata ze strony Jagiełły, poczęli się porozumiewać pomiędzy sobą, następnie bić obce narody, to jest Niemców, i wysłali w końcu do Jagiełły prośbę, by im dał księcia w osobie kuzyna królewskiego.

Jeżeli atoli w szczérość intencyi Jagiełły trudno było wobec takich okoliczności wierzyć Zygmuntowi, to jednakowoż musiał on sobie powiedzieć, że wiele ten robi kto musi, a udana nawet wiara w czystość tych intencyi, była zawsze dla Zygmunta korzystniejszą, aniżeli wprost zerwanie z królem Jagiełłą. Król Polski był związanym wobec Zygmunta w niezgodzie z poddanymi, a przeto słabym i niedołężnym do wielkiéj akcyi w Czechach, a nadto kompromitował się i osłaniał bezczynność Zygmunta, a tego tymczasowo mógł sobie życzyć Zygmunt i udawał dobrą wiarę. Ale byli w Polsce tacy, którzy nie potrzebowali symulować na modłę Zygmunta lecz mówili prawdę swemu królowi.

Otóż skonstatować należy, że gdy wojenne zamiary Jagiełły rozbijały się o liczne przeszkody a pomiędzy temi i o brak pienię-

(1) Liber Canc. II, p. 106:.. Intencionibus nostris secretis... plene informatum. List ten odnosi dr. Lewicki słusznie do 1423 r. (str. 39, koniec uwagi).

dzy, papież na prośby króla nałożył na kler kontrybucyą, a Witołd ze swéj strony starał się w Rzymie, aby kurya czém prędzéj pozwoliła ściągnąć pieniądze. Wynosiła ona 20.000 kóp groszy, a więc kwotę bardzo znaczną, a miała służyć na podjęcie wyprawy przeciwko husytom. Duchowieństwo (w 1424 r.) odmówiło pieniędzy a król obłożył dobra nieposłusznych aresztem.

Natenczas to zbierają się panowie i prałaci na zjazd w Sieradzu (w styczniu 1425 r.) i czynią stąd królowi przedstawienie i prośby, by cofnął rozporządzenie, dotyczące aresztu nałożonego na dobra duchowieństwa. Motywa téj prośby są ze wszech miar ciekawe i ważne; mówią bowiem panowie i prałaci, że ten areszt doradzili królowi nałożyć na kler zdrajcy, którzy hańbią imię królewskie, ludzie podejrzani „*de fautoria haeresi*", że przez nich upada królestwo i kościół, że ściągają podejrzenie na króla i królestwo. O konsyliarze, wołają w patryotycznem oburzeniu pod koniec adresu, za których sprawą upada cześć ojczyzny a zguba grozi duszom wiernych (1).

Mamy tu więc nie podejrzenie lecz wyraźną skargę na sprzyjających husytom, podejrzanych o herezyą, konsyliarzy królewskich i to podniesioną nie przez stronnictwo klerykalne, nie przez jeden stan w narodzie, ale przez bardzo poważne zgromadzenie, prałatów, magnatów i szlachty, zgromadzonych na zjeździe w Sieradzu. Autor rozprawy nic o tém nie mówi, zarówno jak i o tém, że Witołd tych konsyliarzy wyraża po nazwisku: Szafrańcami.

Zyskaliśmy, sądzę, racyonalną podstawę, aby sądzić, że postępowanie Jagiełły w kwestyi husyckiéj paraliżuje wpływ filo-husyckiego stronnictwa z kanclerzem na czele. To tylko przypuszczenie, które naszkicowałem w rozprawie: Polska i Husyci po odwołaniu Korybuta z Czech (2), (któréj prof. Lewicki nie uwzględnia), zdoła nam wytłómaczyć ową niekonsekwentną, bojaźliwą, dbałą o pozory szczerości, dwulicową a pozbawioną stanowczości i nadziei na dobry skutek politykę Jagiełły w omawianym okresie. Że król Zygmunt wiedział o tém, iż po za plecyma Jagiełły ktoś inny prowadzi akcyą polityczną, że firma króla jest nadużywaną i że temu nie przeszkodził, świadczy tylko na jego korzyść, gdyż mógł wiedzieć, że skutki takiéj skrytéj a niewydatnéj w owoce polityki, obrócą się w ten sposób na niekorzyść Polski, iż zajęta wewnętrznemi rozterkami, ani będzie mogła marzyć o Szląsku a tém mniéj o koronie czeskiéj.

(1) Cod. ep. Vit. p. 692 N. 1187 i odpowiedź króla numer następny.
(2) Przewodnik nauk i liter. rok 1883 (marzec—sierpnia).

Wszakżeż już obecnie doświadczał Zygmunt korzystnych dla się skutków polityki prowadzonéj z zamku krakowskiego. Mógł on śmiało mówić wobec świata: nie mogłem ja pokonać husytów, nie podoła zadaniu i ów możny król Polski, w którym kurya i książęta chrześciaństwa tak wielką pokładali nadzieję. Wyniku tego, który starczył mu za puklerz przed zarzutami niechętnych mu książąt rzeszy, mógł się nawet spodziewać, gdyż ze znanych mu akcyi politycznych króla Jagiełły wobec husytów w latach poprzedzających traktat Kezmarski, mógł śmiało przypuszczać, że wojna przeciwko pobratymczym Czechom nie wzbudzi w Polsce zapału a pociągnie za sobą rosterki wewnętrzne i zaostrzy dobry i znośny dotychczas stosunek Polaków do Czechów. Gdy atoli teraz poznał, że w Krakowie rej wodzą kanclerz z familią, a wiedział, że Witołd stanowczo i otwarcie oświadczył swoje ostateczne i niezmienne zdanie co do kwestyi husyckiéj, to wobec tego mógł Zygmunt pragnąć dalszego ciągu polityki krakowskiéj, gdyż mogła ona w swych skutkach uwikłać Polskę w rosterki z Witołdem.

Przeczuciem wynikłem z doświadczenia i kombinacyą na podstawie informacyi Krzyżaków, odgadł Zygmunt i przeniknął, czyja to była ręka, która stawiała mu coraz to nowe trudności w kwestyi husyckiéj, a stanowcze przekonania Witołda, nakazywały mu pozyskać względy i przyjaźń tak możnego władcy, a następnie wyzyskać je dla własnych planów.

II.

Ważnem jest ze wszech miar pytanie jak się Witołd zapatrywał na kwestyą husycką? W objętym przez p. Lewickiego okresie zapewne nie mamy na te zapatrywania w. księcia Litwy klasycznych dowodów; ale i te wskazówki, jakie posiadamy, dają dostateczny materyał do ocenienia opinii Witołda. Autor nie zdaje sobie sprawy w tym kierunku, pozostawia kwestyą nie wyjaśnioną a nawet mimochodem posądza Witołda, iż swemi odpowiedziami stanowczemi zdawał się paraliżować dobre chęci i zamiary Jagiełły.

Tymczasem stanowisko Witołda objaśnia już sam niechętny mu Długosz, przedstawiając wysłanie Korybuta do Czech w latach 1421—2 jako akt zemsty Witołda za wyrok Wrocławski. Tożsamo mniéj więcéj mówi i Oleśnicki w tendencyjnym zresztą liście do elektorów pisanym w 1422 r., w którym usprawiedliwia króla Jagiełłę ze stosunków z kacerzami i mówi, że Witołd, nie Jagiełło, wysłał Korybuta do Czech i że uczynił to książe wbrew wyraźnéj woli króla Polski. Składa więc Oleśnicki winę na Witołda, a jednakże

mówi wyraźnie pomiędzy innymi motywami téj wysyłki, iż spowodował ją i wykonał Witołd dlatego, iż czuł się być pokrzywdzonym wyrokiem Wrocławskim. Sam wreszcie Witołd w liście do elektorów pisze, iż nie celem obrony heretyków lub zagarnięcia ich królestwa wysłał Korybuta, lecz uczynił to na przekór (*in displicentiam*) królowi Rzymskiemu, który go pokrzywdził i pod pozorem braterskiéj przyjaźni wyzuł księcia swym wyrokiem z dziedzicznéj ziemi. Dodał jednakowoż otwarcie, że jeżeli Czesi nie powrócą do zgody z kościołem, opuści ich całkowicie. Ten sam motyw zemsty czytamy w domniemaniach panów polskich w piśmie wystosowaném do panów węgierskich (1).

Takiém jest stanowisko Witołda względem husytów w latach poprzedzających okres zjazdu Kezmarskiego. Celem rozwiązania pytania, jakiém było ono w tym właśnie okresie, zważmy drobne okoliczności, które przywodzi p. Lewicki w swéj rozprawie, lecz nad nimi się nie zestanawia i nie bierze ich w rachubę swych kombinacyi.

Otóż rozpatrując stanowisko Jagiełły i Witołda z bardziéj ogólnego stanowiska, uderzającém jest, że gdy pierwszy w najdrobniejszéj nieraz rzeczy, w sprawach dotyczących obsady urzędów i dostojeństw w Polsce, czy obdarowania jakiego magnata miastem Brzeźnicą, czy to w kwestyi książąt Szląskich proszących o powrót do łaski króla itp. zasięga opinii Witołda otwarcie i przyjaźnie, w kwestyi dotyczącéj husytów nie czyni tego ze zwykłą otwartością. W sprawie Fryderyka Brandeburczyka i Bogusława ze Słupcy odpowiada Jagiełło posłom niemieckim, iż nie da im stanowczéj odpowiedzi, bez zasięgnięcia rady, opinii i zezwolenia Witołda, w sprawie o wiele ważniejszéj czeskiéj, nie widzimy téj opinii, nie żąda jéj król, owszem poleca nawet, co Witołd ma ze swéj strony zrobić, jak odpowiedziéć. Nawet co do wypraw wojennych nie widzimy śladów zasiągania opinii Witolda a tylko natenczas, gdy chodzi o wywarcie nacisku lub o rehabilitacyą (na duchowieństwo, by dało pieniądze, i w sprawie konfederacyi antyhusyckiéj z 1424 roku), ucieka się król do Witołda, występującego zresztą podówczas ze zwykłą sobie energią i stanowczością.

Rozpatrując szczegóły, podnieść nasamprzód należy, że jak wiemy, Witołd nie był w Kezmarku, że wypowiedzenie wojny, wysłane przez Witołda husytom w kwietniu 1423 r. a więc zaraz po zawarciu zgody Kezmarskiéj, nie dochodzi ich. Daléj posła Bartłomieja Cybulkę, sekretarza w. księcia, który ma Czechom stanowczą

(1) Cod. epist. Vitol. p. 554.

i groźną dać odpowiedź, przejmują po drodze Szlązacy i wypuszczają za kaucyą dopiero za wstawieniem się Zygmunta. W 1424 r. gdy posłowie czescy, według relacyi Długosza, prosili o przyzwolenie dania im Korybuta, której to relacyi przeczy autor, Jagiełło zataja o tém i nie donosi Witołdowi, jakby niezawodnie był uczynił, gdyby był jednego z Witołdem zdania co do husytów. A nawet z pewnych racyi *(ex certis causis)* nie chce Jagiełło tegoż roku wysłać posłów czeskich do Witołda, a autor nie dorozumiewa się, jakie to mogły być te powody i stwierdza tylko fakt, że wysłano ich na wyraźne żądanie Zygmunta.

Co jednak najważniejsze: ton odpowiedzi Witołda, danych posłom husyckim, jest zupełnie odmienny od tonu odpowiedzi Jagiełły, nie wysyła on żadnych sekretnych legacyi husytom a autor chyba nie chce o tém wiedzieć, skoro twierdzi, że odpowiedź Witołda z 1424 r. jest prawie identyczną z odpowiedzią króla Polski (str. 57). Ton odpowiedzi Witołda jest surowy i stanowczy, żadnéj nie pozostawia husytom nadziei, żadnego kompromisu; mają uznać Zygmunta za króla i pojednać się z kościołem, inaczéj czeka ich zagłada od połączonych książąt chrześciańskich. Witołd wyraźnie mówi, że uczynił zgodę z Zygmuntem na zagładę heretyków—i zapytuje posłów, dlaczegoście wiedząc o tém, do mnie przyśli? Jagiełło w legacyach swych nawet nie wspomina o Zygmuncie, jakby nie on był królem czeskim, i zaprasza posłów na przyszłość do Polski. To też w Polsce nieraz jeszcze po tém zjawiali się posłowie husytów, na Litwę nigdy więcéj noga ich nie wstąpiła.

Idziemy daléj i zapytujemy, skąd wié Witołd, że Korybuta do Czech wysłali Szafrańcy, że Hinko husyta, który zainaugurował politykę unii Czech z Polską w latach 1420—22, ma dobra w Polsce, że Wierusz, Piotr Polak z Wilfina i Dobiesław Puchała są żołdownikami Szafrańców, że ci ostatni na ekspedycyą Korybuta do Czech wielkie wyłożyli sumy, że układy Zygmunta z husytami z Preszburga prowadzone spełzły na niczém z winy Siestrzeńca, posła króla Jagiełły, gdyż odradzał im związku z Zygmuntem.

Że Witołd w listach prywatnych do króla a nawet w publicznych pismach pod adresem baronów i prałatów polskich, mówi o dziełach kanclerza królewskiego, sterownika polityki zewnętrznéj, dokonanych w ciągu lat siedmiu 1423—9 (a mówi to po zjeździe w Łucku, kiedy to w myśl polityki Szafrańców grożono i Witołdowi husytami, jest rzeczą dla nas zupełnie jasną. Teraz był rozżalony z powodu osobistéj obrazy, doznanéj za podżeganiem Szafrańców od króla, i dał wyraz wzburzonym uczuciom. Niemniéj przeto sądzić można, żę tę prawdę, że te fakta wyrażał i dawniéj

wobec króla i jego baronów i że doradzał, aby z Czechami w żadne nie wdawano się układy, ażeby zupełnie zamknięto granicę husytom.

Podejrzenia zresztą Witołda o istnieniu silnego stronnictwa husyckiego w Polsce zasługują i skąd inąd na zupełną wiarę. Przypuszczając bowiem, że są prawdziwe, że więc Szafrańcy wbrew woli i za plecyma króla prowadzili politykę filo-husycką, że zdołali go nawet przekonać, że polityka taka jest zbawienną i korzystną dla Polski, można sobie wytłómaczyć te właśnie okoliczności, do rozwiązania których to nie znajduje p. L. klucza, które są dlań niejasne a dla czytelnika nie wytłómaczone. Że wypowiedzenie wojny ze strony Witołda nie doszło do Czech, widoczna, że tego nie życzyli sobie krakowscy politycy, aby Czechów na samym wstępie do siebie nie zrazić. Przejęcie posła Bartłomieja przez Szlązaków mogło im być na rękę, by złagodzić niejako ostry ton Witołdowego ukazu wobec husytów. Posłów czeskich nie chce Jagiełło wysłać do Witołda, gdyż tenże sobie przyjęcia ich wcale nie życzył. Ostry wreszcie i wręcz przeciwny tonowi Jagiełłowych odpowiedzi ton odpowiedzi Witołda, danych husytom, jest zrozumiałym, skoro się wie, że Witołd zdawał ich na łaskę i niełaskę Zygmunta, nie chciał mieć żadnych w Czechach korzyści i w ogóle żadnych więcéj stosunków z husytami.

Przy takiém pojmowaniu kwestyi husyckiéj po zawarciu pokoju Melneńskiego, które przypisać należy Witołdowi, zrozumiemy powody dla jakich Witołd nie brał udziału w jeździe Kezmarskim, następnie na zjeździe Krakowskim, dlaczego o żadnych zbrojeniach na Litwie nie słyszymy i nikt ani myśli o krucyacie na Czechów, podczas gdy wyprawy Pskowska, Nowogrodzka, Wielko-ruska następują jedna po drugiéj i rodzą zazdrość Jagiełły i Szafrańców.

Dlaczegoż, pytamy, Jagiełło nie podjął podobnéj wyprawy na pokonanie husytów i dlaczego Witołd nie wsparł brata swego w tak hałaśliwie po dworach i w kuryi głoszonych planach i zamysłach? Zapytajmy, czy mógł Witołd podzielać plany Jagiełły co do zaspokojenia ambicyi, wiekopomnéj sławy i zasługi wiecznéj wobec świata chrześciańskiego, w które bezwarunkowo wierzy dziś p. L.? Czyż mógł zaprawdę wierzyć Witołd, że Jagiełło na seryo traktuje plan dania zbrojnéj pomocy w wojnie ogłoszonéj przeciwko kacerzom. Wszakżeż o tych wahaniach się na dworze krakowskim, o tém śpiesznem powzięciu planu pogodzenia husytów na d r o d z e p o k o j u, planu ze wszech miar niedołężnego i nie mogącego rokować jakichkolwiek pomyślnych skutków, wiedział natychmiast Witołd. Wszakżeż i o tém wiedział, że król który po kilkakroć stawał do

boju na czele kilkudziesięcio-tysięcznéj armii, który jéździł po kraju z dworem zasobnym w kilka tysięcy koni, król wreszcie jedyny w Europie mogący bez przechwałki powiedziéć, iż postawiłby armię zdolną, zalać i zniszczyć husytów i Czechy, taki król był do tego stopnia zawisłym od poddanych swoich, że na wojnę przeciwko husytom używał pomocy duchowieństwa, apelował do sumienia nieposłusznych poddanych, a ci na tak nie popularną wojnę nie chcieli wyruszać, że przeto o krucyacie ani mowy być nie mogło. A skoro wiedział o tém, czyż można przypuszczać, aby Witołd miał uwierzyć, w co nam tak święcie wierzyć zaleca p. Lewicki, że Zygmunt oszukał Jagiełłę, że stary król dał się zwieść tak błahym w gruncie rzeczy powodom, jakimi były podwójne a nawet potrójne termina wyprawy wojennéj, albo okoliczność, że Zygmunt sam się nie zbroił i nie był w pogotowiu do wojny. Czyż Jagiełło, jeśliby na seryo chciał dokonać pacyfikacyi Czech, nie mógł na podstawie traktatu Kezmarskiego usunąć te wszystkie błahe powody jednym pochodem, jak ów Grunwaldzki, lub taką wojną jaką wiódł w 1422 r. przeciwko Krzyżakom? Wszakżeż miał ku takiéj wyprawie autoryzacyą od papieża, który pisał do Witołda (a jak przypuścić można i do Jagiełły *mutatis mutandis*) *potes autem cum prefato rege Polonie, eciam si aliorum fidelium auxilia non adessent, bellum hoc satis mature et feliciter conficere* (1). Przecież wiadomą było powszechnie rzeczą, że o takich lub podobnych zbrojeniach na seryo ani mowy nie było.

Jeżeli zaś Zygmunt w dobrze zrozumianym interesie własnym, nie życzył sobie, aby jakąkolwiek pacyfikacyą Czech miéć do zawdzięczenia Polsce, to czyż pomimo to, nie można mu było wygodzić przez zamknięcie szczelne granic od Czech, przez zabronienie stosunków koronnym poddanym z Czechami. Witołd, dbający dobrze o wszystkie stosunki korony polskiéj, mógł bardzo wątpić, że pomysł pacyfikacyi Czech na drodze pokoju leżał w interesie Zygmunta; pomysł wikłający stosunki w prawdziwie gordyjski węzeł a przeprowadzony—jak już wiemy, w sposób bardzo podejrzany, gdyż Jagiełło proponował Czechom zgodę wewnętrzną i z papieżem, a o Zygmuncie ani słowem nie wspomniał. Czyż nie zdawał sobie sprawy wielki książe Litwy, jak wysoce cierpiał na tém interes katolickiego państwa, jeżeli król Polski wdawał się z heretykami w jakieś budzące li litość i przykre uczucia negocyacye, wśród których powaga majestatu na szwank była narażoną, wierność poddanych cierpiała, ich posłuszeństwo, zasady wiary i posłuszeństwo kościoło-

---

(1) Liber Canc. I. N. VII. p. 35. List ten jest z roku 1424 sądzimy jednak, że przekonanie takie miał Marcin V i w 1423 roku.

wi wystawione były na pokusę? A czyż dla państwa, dla korony samej, której po śmierci Witołda miała przypaść Litwa, dla Polski, w której karność poddanych rozprzęgała się skutkiem podjęcia niefortunnego planu, gdzie tę karność przyszło utrzymywać srogimi edyktami, czyż dla tego państwa takie podejrzane, niejasne i chwiejne stosunki, zainicyowane przez poselstwa z roku 1423 nie były zgruntu zgubne? I wśród takich to okoliczności miał Witołd wierzyć w szczére, lojalne intencye króla Polski w kwestyi husyckiéj!

Prawda—i Witołd, gdyby był w miejscu Jagiełły na tronie polskim, nie zdołałby złamać uporu poddanych, zmusić ich do wojny z husytami, byłby się musiał liczyć i z temi okolicznościami, że skarb królewski z powodu wojny „wielkiéj“ w 1422 r. był mocno nadszarpany, a przedewszystkiem, że taka wojna z pobratymcami była w Polsce niepopularną. Ale Witołd byłby się nie wdawał w żadne negocyacye i byłby odpowiedział na propozycye husytów w ten sposób, że aniby się ważyli stawiać powtórnie przed jego oblicze, byłby im surowo wzbronił stosunków z polskimi poddanymi, dowozu broni, amunicyi, wolnego lub skrytego werbownictwa, byłby im zamknął szczelnie granice, a gdyby śmieli napaść na granice Polski, byłby ich przywitał tak jak na to zasługiwali. Dlaczegoż Jagiełło tego nie uczynił, wszakże to leżało w interesie katolickiego państwa, jego krajów i ludów, wszakże Zygmunt, nie życząc sobie pacyfikacyi Czech, dokonanéj przez oręż polski, byłby bardzo rad, jeżeliby król Jagiełło poprzestał na tych środkach zaradczych, gdyż niemi największą zrobiłby mu przysługę i o nie się téż na zjeździe krakowskim dopraszał. A Jagiełło nie przeszkodził nawet ucieczce Korybuta lubo o zamiarze tejże był poinformowany i donosił nawet o tém Zygmuntowi (1).

Jakkolwiek nie posiadamy pamiętnika Witołdowego z lat 1423 do 1429, to jednakowoż śmiało twierdzić możemy, że książe nie po-

---

(1) Informacya króla Jagiełły o zamiarze ucieczki i przestroga dana Zygmuntowi wystarcza prof. Lewickiemu na dowód, jak wysoce szczerym i lojalnym był Jagiełło. Lewicki stawia się w zupełności na stanowisko panów polskich, odpierających zarzuty Węgrów, jakoby z powodu téj ucieczki stali się winnymi *de fautoria haeresi*. Ci to pierwsi w liście swym (Ducem nimirum illum Sigismundum Coributhi notamus. Cod. ep. pars I. p. 99) podnoszą ukaranie Zygmunta Korybutowicza przez króla Jagiełłę do wysokości niemal takiéj zasługi, jak to czyni prof. Lewicki. O jakichkolwiek podejrzeniach ze strony Węgrów lub nawet kuryi nie wspomina autor, twierdząc mylnie, że tylko król Zygmunt w złéj wierze podejrzywał Jagiełłę. Że atoli nawet w kuryi popadła Polska w podejrzenie przez wysyłkę Korybuta (regnum notatum fuisse), poświadcza list Władysława Jag. do kardynała z r. 1439. (Ibidem p. 112—113). Widzimy tu dowodnie, że i metoda retrospektywna, któréj autor wcale nie hołduje, ma swoje zalety i nie może być pomijaną w badaniach historycznych.

dzielał myśli pacyfikacyi Czech zapomocą sił zbrojnych Polski i Litwy. Wiemy już, że się nie zbroił do takiego przedsięwzięcia na Litwie i powtórzyć chyba można o nim słowa profesora Caro, twierdzącego zarówno o w. księciu jakotéż i o królu Jagielle, że im ani przez myśl nie przeszło wyciągać gorące z pieca kasztany dla króla Zygmunta. Wielki książe Litwy nie miał żadnego interesu w pacyfikacyi Czech, a tém mniéj przeto w mglistym i nie określonym interesie chrześciaństwa, który dałby się osiągnąć tylko przez osobisty udział w olbrzymiéj krucyacie. Kto bowiem najgorętsze i arcyważne interesa przeprowadzenia katolicyzmu w wielkiém państwie Litewskiém miał niedokończone, kto osadzał buntowniczych carów złotéj ordy, musiał osobiście być w Litwie, musiał bronić granic wschodnich i południowych swego państwa, a kto zamierzał takie dwie rzeczypospolite, jak Psków i Nowogród, przywieść do uległości, musiał myśléć o przygotowaniu wypraw wojennych na daleką północ. Po takiéj wielkiéj wojnie z 1422 r., stosunki rozległego państwa wymagały uporządkowania, potrzeba było zhołdować niesfornych lenników Nowosielskich, Odojewskich i Riezańskich, a celem zapewnienia sobie trwałéj ich uległości, trzeba było ową unię kościołów rzymskiego z ruskim doprowadzić do skutku. Takie dzieło wymagało energicznéj pracy, trudów i zachodów a przedewszystkiém doprowadzenia do skutku owego pokoju Melneńskiego z Krzyżakami, aby od obydwu zakonów niemieckich, od północy i zachodu państwa miéć trwałą przyjaźń i pokój.

O dzieło tego pokoju, o doprowadzenie go do skutku, troszczy się głównie Witołd, jemu poświęca wszystkie zabiegi tak w Polsce jak z drugiéj strony w Inflantach i Prusiech, gdyż mu ten pokój jest konieczną potrzebą. Husytów traktuje książe, zarówno jakby Tatarów, ostro i stanowczo, gdyż w ramach jego polityki, od czasu odwołania Korybuta z Czech, nie ma miejsca dla kwestyi husyckiéj, uważa ją za szkodliwą i zgubną, jest bowiem przekonanym, że jakiekolwiek szkodzenie Zygmuntowi, najdrobniejsza chęć wyzyskania sytuacyi, nie mówiąc już o planie zajęcia Szląska, zerwałyby chwiejący się pokój Melneński i sprowadziłyby wojnę nową z Krzyżakami. — W pracy prof. Lewickiego nie zostały omówione lub chociażby naszkicowane te stosunki krzyżackie; autor nawet nie uważa za stosowne napomknąć o nich, widocznie nie przypisując im żadnego znaczenia. Wychodzi on z błędnego mniemania, jakoby pokój Melneński był dziełem trwałém i jakoby Zygmunt zupełnie opuścił Krzyżaków na owym zjeździe w Kezmarku. Kilkadziesiąt nieznanych lub mało znanych listów i legacyi z tego okresu, wystarczają autorowi do skreślenia polityki Zygmunta wobec Polski

w kwestyi husyckiéj i odwrotnie, jak gdyby treść tych listów wyczerpywała wszystkie motywa działaczów téj polityki, jak gdyby były one tekstem ewangelii, nie dopuszczającym wolniejszych komentarzy niźli ściśle hermeneutyczne.

Nie da się zaprzeczéć, że ta sprawa krzyżacka była żywotną i że przeto musiała wpływać na zamiary Jagiełły i Witołda wobec husytów i że posługiwał się nią Zygmunt, gdyż nie była mu obojętną. Przypominamy, że jeżeli myśl unii z Czechami w latach 1420—23 miała wybitną cechę idei narodowościowych, politycznych, to myśl tę wywołali właśnie Krzyżacy, którzy podówczas srogą prowadzili od 1410 wojnę z Polską i Litwą, a za którymi ujął się Zygmunt wyrokiem wrocławskim. Walka przeciwko Niemcom zdołała stworzyć pewien przyjazny związek polityczny pomiędzy Polską, Litwą a Czechami.

Zapytajmy teraz, czy ten pokój, nad Melnem zawarty, zakończył sprawę Polski i Litwy z Krzyżakami. Pozornie takby się zdawało, ale od czasu wyjścia kodeksu listów Witołda, kwestya przedstawia się w takiém świetle, iż pono dziś nikt nie mógłby twierdzić z autorem, że Zakon Niemiecki był zmuszony dochować warunków pokoju, zawartego nad Melnem, i że przeto bezpieczna z téj strony Polska i Litwa mogły siły swe zwrócić przeciwko husytom.

Przedewszystkiém wypływa z aktów archiwum Królewieckiego, że pokój nad Melnem zawarty, jakkolwiek korzystny dla Polski i Litwy, był jednakowoż w gruncie rzeczy dziełem chwiejném, gdyż jego warunków nie chcieli spełnić Krzyżacy. Nie spisano nawet nad Melnem dokumentu wiecznego pokoju (*alleine die artikel nicht die hauptbrieffe haben wir beslossen*), lecz zgodzono się tylko na artykuły główne, które miano spisać na późniejszych zjazdach w dokument pokoju trwałego, wiecznego. W listopadzie taki pierwszy zjazd w Gniewkowie spełzł na niczem i groza wojny zawisła znowu nad wrogimi obozami. Witołd, pragnący bądź co bądź pokoju, za zgodą Jagiełły postanawia zjazd z Mistrzem w Wielonie. Tam w maju 1423 r. stawia się na stanowisku superarbitra sporów Zakonu z Polską i wydaje szereg rozporządzeń mających pokój zapewnić. Według tych rozporządzeń, ma się w sierpniu t. r. odbyć wytknięcie granicy od strony ziemi Dobrzyńskiéj, we wrześniu od Pomorza i Krainy, zaś na początku lutego 1424 r. od Nowéj Marchii. Witołd na którego utyskiwano w Polsce, że wpłynął na ograniczenia korzyści przy zawieraniu artykułów Melneńskich, ręczył w Wielonie, że Zakon pozostawi Polskę przy jéj dawnych granicach a z drugiéj strony, że duchowieństwo polskie nie będzie rościć pretensyi do Zakonu za szkody w ostatniéj wojnie wyrządzone przez Krzyżaków.

To wszystko dowodzi, że Witołd chciał mieć trwały pokój z Zakonem, ale usiłowania jego rozbiły się o upór i niechęć stron i na żadnym z oznaczonych zjazdów nie uregulowano spornych granic. Usiłowania jego, co gorsza, zradzały w Polsce podejrzenia, że ze szkodą Polski sprzyja Krzyżakom, a podejrzenia te mogły zyskiwać wiarę, gdyż pomimo uporu Krzyżaków wstawiał się Witołd za nimi na zjeździe Krakowskim (koronacya Sonki).

Z racyi tego zjazdu stwierdzić należy, że w chwili, kiedy Zygmunt z żalem do Jagiełły i z kwaśną miną odjeżdża z Krakowa, Krzyżacy opuszczają obóz opozycyi i przystępują do obozu króla Zygmunta. Wolno przypuszczać, że tego powrotu do łaski Zygmunta nie dokonano bez wzajemnych porozumień, tudzież że politycy krakowscy, nie byli znowu tak dalece zaślepieni, ażeby mieli nie dojrzéć tego wzajemnego zbliżenia się Zakonu i Zygmunta. Podejrzenia te powinne były zaprzątnąć umysły w Krakowie, gdyż od chwili zjazdu Krakowskiego spotężniał upór Krzyżaków i już w maju tego roku zniecierpliwiają oni do wysokiego stopnia zimnego nawet Witołda. Ale w Polsce, skąd tak obojętną, niezdarną i żadnych korzyści dla Zygmunta nie przynoszącą prowadzono politykę w kwestyi husyckiéj, gdzie pewne stronnictwo miało już plan ułatwienia ucieczki Korybutowéj gotowy, nie widziano lub nie chciano widziéć nie jednéj okoliczności arcy ważnéj bo jéj widziéć jeszcze nie wypadało.

Wyzyskując sytuacyą drażliwą wśród i po ucieczce Korybuta, zdołali Krzyżacy w czerwcu 1424 r. przeprowadzić do skutku korzystny dla nich traktat handlowy z Polską w Nieszawie. Na tém miejscu wyznaczono téż termina wymiany dokumentów owego wiecznego pokoju, zawartego w głównych artykułach przed dwoma laty, a wreszcie i termin wytknięcia granicy od strony Nowéj Marchii. We wrześniu 1424 r. mają obustronni pełnomocnicy wyznaczyć owe granice, lecz rozjeżdżają się bez zgody. Natenczas, postępując według ugody Wielońskiéj, zdano tę sprawę sporów granicznych delegatom, którzy zjechali się w październiku, lecz i ten termin minął bezowocnie.

Mija więc i rok 1424 a dzieło pokoju Melneńskiego chwieje się, i ledwo w półtrzecia roku po zawarciu pokoju, zdołano wreszcie, dzięki energii Witołda, dokonać wymiany dokumentów, zatwierdzających jego warunki. Legalnemi pozorami udaremnia mistrz Zakonu wykonanie wieczystego pokoju—pozostaje mu jeszcze wiele pozorów legalnych do wyboru przy wytyczaniu granic.

I tak w maju 1425 r. komisye do rozgraniczenia nad Świętą rozjechały się z niczém, tak samo w sierpniu w Nieszawie a równo-

cześnie inna komisya w Kłajpedzie. Pełnomocnicy polscy odjechali z oburzeniem, z obu stron grożono sobie nawzajem demonstracyami wojennemi. Witołd jako rozjemca nakłania obie strony do zgody, a mistrza Zakonu upomina temi charakterystycznemi słowami: Strona zrywająca dzieło wiecznego pokoju, umocnionego dokumentami, popełniłaby czyn nie honorowy, a gdyby przyjść miano do nowych traktatów, któżby ludziom gwałcącym tak ważne dzieło pokoju mógł dać wiarę, że dotrzymają nowych zobowiązań?

Aby zapobiedz ponownéj wojnie, postanowił Witołd te ustawiczne i ponawiające się spory wziąść w swe ręce. Mistrz Zakonu wiedząc, że zamiar Witołda rozsroży jeszcze bardziéj panów krakowskich na księcia, przystał na jego życzenie, w nagrodę czego Witołd obiecał wyjednać dla Zakonu od króla młyn, a zarazem i twierdzę Lubicz, położoną nad Drwęcą, a ustąpioną Polsce na mocy dokumentu Melneńskiego. Zjazd w Brześciu kujawskim zgadza się pod tym względem na to, co postanowią w téj mierze: Jagiełło wespół z Witołdem, a równocześnie zgodzono się, aby rozgraniczenia od Nowéj Marchii dokonano z pełnomocnikami króla Zygmunta, gdyż Krzyżacy są tylko tymczasowymi posiadaczami téj ziemi. W chwili nieporozumień, wzmagających się pomiędzy Polską a Zakonem, pomiędzy Jagiełłą a Witołdem, wypływa na widownię król Zygmunt. W Polsce głosi stronnictwo Szafrańców, że Jagiełło zdał rządy polskie w ręce Witołda, że Witołd nie ma prawa darowywać ziemi polskiéj lub nawet litewskiéj Krzyżakom. Czyż król Zygmunt, będąc o tém dokładnie poinformowanym przez wysłańców zakonu, nie miał wyzyskać téj sytuacyi, aby zająć Polskę wewnętrznemi rozterkami i odciąć ją tém zupełnie od Czechów. Zwróćmy nadto uwagę, że stronnictwo obrażające Witołda i zniechęcające Jagiełłę do brata, jest tém samém, o którém Witołd późniéj głosi, że wysłało do Czech Korybuta.

Odstąpienie Lubicza Krzyżakom nie załatwione na *zjeździe Grodzieńskim* w grudniu 1425 r. po myśli Witołda, zaostrzyło niechęć pomiędzy braćmi. Uchwalono atoli na tym zjeździe, aby na Wielkanoc przyszłego roku pełnomocnicy polscy wespół z krzyżackimi, uskutecznili rozgraniczenia od Kujaw, ziemi Chełmińskiéj i Pomorza. Gdyby nie zdołali dokonać poruczonego im zadania, mają superarbitrowie je załatwić, a gdyby i ci z niczem się rozeszli, miał Brandeburczyk lub inny jaki książe rozstrzygnąć kwestye sporne o granice.

W kwietniu 1426 roku spełzły rokowania około Jasieńca na niczém, a Krzyżacy twierdzą, że to się stało z winy komisarzy polskich, nie postępujących w myśl grodzieńskich układów. Witołd

surowo zgromił ostatnich, a zjazd magnatów w Łęczycy zrobił ustępstwo dla Witołda w kwestyi Lubicza, co zdołało zupełnie zniechęcić Jagiełłę do Witołda. W następnym roku zjeżdżają się komisye około Drezdenka; Witołd przynagla do ukończenia sprawy — zjazd atoli w maju (1427) spełzł na niczém.

Teraz dopiéro król Zygmunt udaje ździwienie, że wobec pokoju Melneńskiego, istnieją jeszcze jakieś spory graniczne z Prusakami. Dodać trzeba, że wyraża to zdziwienie ten, który rok temu odwodził książąt Mazowieckich od hołdownictwa Korony polskiéj i wobec zarzutów Jagiełły usprawiedliwiał się tém, że cała ta sprawa jest wymysłem złych ludzi.

Do nieporozumień Jagiełły z Witołdem, zaostrzonych jeszcze bardziéj w r. 1427 (sprawą potwarzy królowéj Sonki), przybywa nadto nieporozumienie z Zygmuntem. Pełnomocnicy jego przybywają wraz z polskimi na zjazd, na granicach Nowéj Marchii odbyć się mający; wszystko tu idzie dobrze, gdy wtém zjawiają się posłowie mistrza Zakonu i zjazd spełzł na niczém. Skutkiem tego udaremnienia zjazdu przez Krzyżaków, poczyna się burzyć szlachta Wielkopolska na zjazdach prowincyonalnych, kipi żądzą zemsty i odwetu na Krzyżakach, których posądza o udaremnienie dzieła pokoju. Równocześnie Krzyżacy dopuszczają się gwałtów na granicy polskiéj i znoszą polskie mosty nad Drawą. Dowód, że chyba pokój nad Melnem nie był dziełem trwałém i że Krzyżacy nie byli tak bezwarunkowo opuszczeni przez Zygmunta, jakby się na pozór zdawało.

Witołd widząc chwiejność pokoju Melneńskiego, nalega na Jagiełłę by na lada drobne kwestye nie zważać i nie unicestwiać dzieła, któremu poświęcono tyle krwi trudów i zachodów. To téż Jagiełło, ulegając księciu, daje wyraźną instrukcyą komisarzom, których wysyła na zjazd, 1 stycznia 1428 r. odbyć się mający, aby dla lada drobnostki nie zrywali układów z posłami Zakonu. Tymczasem, wskutek propozycyi Krzyżaków, przyjmują Jagiełło i Witołd posłów Zakonu w Wilnie, zjazd więc komisarzy nad Notecią nie przychodzi do skutku. Tu w Wilnie, aby raz położyć koniec swarom i bezskutecznym zjazdom, zażądał Witołd by mu tak Krzyżacy, jako téż i król Jagiełło poruczyli rozjemstwo swych sporów. Posłowie mistrza przystają na życzenie Witołda, Jagiełło odmówił bratu, składając tém dowód publiczny nieufności ku księciu.

Wrócono tedy do dawnego projektu i zjazd w Szamotułach (luty 1428) spełzł na niczém, a więc dzieło pokoju i w tym roku nie miało dojść końca co do sporów o granice. Co atoli bardzo zastanawia, to ta okoliczność, że król Zygmunt, który, według badań prof. Lewickiego, miał zupełnie opuścić Krzyżaków, w tym właśnie

roku podejrzywa Jagiełłę przed Witołdem (jak wiemy, obrażonym przez Jagiełłę) o sprzyjanie husytom, o wstawianie się w Pradze za Korybutem. Skoro atoli poniósł klęskę pod Gołąbcem w obronie Węgier od Turków, składa winę całéj nieudatnéj wojny na brak posiłków ze strony wojewody Mołdawskiego i żąda od Jagiełły w myśl traktatów Lubowelskiego i Kezmarskiego podziału téj ziemi proponując zjazd celem bliższego porozumienia się w téj sprawie, przy któréj to sposobności możnaby załatwić sprawę krzyżacką. W taki sposób zbliża się Zygmunt do dobrze już przez Krzyżaków przygotowanéj akcyi, z czego chyba wnosić można, że działał w porozumieniu z Zakonem.

Jagiełło do tego wniosku dojść miał dopiéro po smutnych doświadczeniach. I rzecz dziwna, król, który wpływa, co bardzo ważna, na elekcye kapituły wrocławskiéj (1), który w tym roku gospodaruje na Szląsku jakby pan zwierzchniczy, który wydaje dyspozycye co do obrony téj ziemi od husytów i nakazuje książętom szląskim składać raporta o postępie wojny, król, którego poddani wiodą na swą rękę wojnę na Szląsku i wchodzą z husytami w porozumienia i konszachty, otóż ten Jagiełło przystaje na plan Zygmunta, chce go mieć za superarbitra sprawy krzyżackiéj, lubo honoru tego odmówił własnemu bratu stryjecznemu, Witołdowi. Fakt, że Jagiełło przeniósł króla Zygmunta nad brata, oburzył dotkniętego w dumie Witołda, który dał folgę oburzeniu w ostrych wymówkach, poczynionych Jagielle.

Zygmunt przyjmuje pełnomocnictwo Jagiełły i uwiadamia zarówno Jagiełłę jak i Witołda, że chce być superarbitrem spornych kwestyi z Krzyżakami. Co również charakterystyczna, to list jego do Witołda, że chciałby się tym celem zjechać z nimi, ale stawia warunki: najprzód podział Mołdawii, powtóre zabronienie Polakom wstępu na Szląsk, wspierania husytów i odwołanie ztamtąd Puchały. Warunki mocno dotknęły Witołda i odparł je w swéj odpowiedzi zapewnieniem, że i co do tych kwestyi będzie się można zgodzić na zjeździe, a wreszcie przystał, aby zjazd nastąpił w Łucku. Mamy więc najpewniejszy dowód, że pokój nad Melnem nie był tak trwałém dziełem, aby na podstawie jego mogła Polska myśléć o śmiałéj jakiéjś akcyi w Czechach, o wyprawie krzyżowéj przeciwko husytom, skoro dopiéro na zjeździe Łuckim miał spory z Zakonem rozstrzygnąć Zygmunt.

Jeżeli atoli spory krzyżackie zrodziły i zaostrzyły zły stosunek Jagiełły do Witołda, to nasuwa się pomimowoli przypuszczenie, że

(1) Cod. ep. Vit. p. 612, N. 1118.

w interesie Zygmunta leżała ta właśnie scysya i że Krzyżacy w porozumieniu z nim, z jego dorady i inicyatywy przygotowali grunt do akcyi. Po zjeździe Łuckim, wśród zaostrzonego stosunku Polski do Litwy, nie mógł już Jagiełło na seryo myśléć o Szląsku, o jakiéjś pacyfikacyi Czech na seryo ani mowy być nie mogło, a o to właśnie chodziło Zygmuntowi. Czyż więc może historyk imputować Witołdowi, jak to czyni prof. Lewicki, twierdzący, że Witołd przyjął chętnie propozycye Zygmunta i że zaufany sługa Witołda, Hołub, wysyłany z listami do króla Rzymskiego, zdołał swego pana nakłonić do zjazdu monarchów w Łucku? Zaprawdę zawiele trzeba fantazyi, ażeby módz przypisać tyle wpływu i znaczenia prostemu kuryerowi, skoro sami posłowie polscy przyznają, iż w Brześciu litewskim zgodzili się z posłami Zygmunta, aby tenże był superarbitrem spraw krzyżackich. P. Lewicki mówi nadto, że w Łucku o wszystkiém mówiono tylko nie o sprawie husyckiéj, a posiadamy wszakże uchwały, na które się późniéj tak Zygmunt jako téż i Witołd powołują, a uchwały te właśnie zmierzały ku temu, aby Polska zamknęła swe granice husytom i wcale się nie mieszała w sprawy czeskie. Czyż nie jasno tedy, gdybyśmy nawet żadnych innych wskazówek nie posiadali, że Zygmunt do tego dążył aby odciąć Polskę od Czech, odebrać jéj jakąkolwiek nadzieję na Szląsk, i że nadzieja ta silnie żyła w Polsce i odzywała się gorącą chęcią czynu. Tu nawet w Łucku proponują Zygmuntowi Polacy pomoc na Szląsku, a przed samym zjazdem wysłali husyci posłów do Jagiełły, grożąc wojną jeżeli się pogodzi z Zygmuntem, co już prawie widoczna, że ich ktoś z Polski podburzał,' podmawiał, aby wywrzeć nacisk na Jagiełłę, aby kwestyą pozostawić *in statu quo* i nie odciąć Polsce nadziei na korzyści w Czechach. Wniosek ten zresztą stwierdza wyraźne świadectwo Witołda, który mówi Jagielle, że to kanclerz ze swą rodziną podmówili husytów.

Uzyskaliśmy, sądzę, podstawę do rozwiązania zagadnienia, dlaczego sprawa krzyżacka w latach 1423—9 niedokończona i odwlekana, wisi jakby groźna chmura nad Polską i Litwą. Zygmunt pragnął, aby nawet na wypadek silnego i stanowczego wmieszania się Polski w sprawy czeskie, mieć bicz do poskromienia zbyt może wielkich pretensyi polskich, a mistrz Zakonu otrzymał stosowne wskazówki i zwlekał z dokończeniem, z wypełnieniem warunków, z uregulowaniem granic.

W ciągu téj akcyi krzyżackiéj poznaje Zygmunt męża, który głównie dążył do tego, aby sprawa krzyżacka się zakończyła. który wywiera presyą na obie strony i koncesyami pragnie złamać upór Krzyżaków. Był nim jak wiadomo Witołd. Odkąd Jagiełło poróżnił

się z Witołdem, Zygmunt, który pozornie nie dowierza obudwu braciom, zbliża się do Witołda i rzuca przed nim oskarżenia na Polaków. Sytuacyą wyjaśnia jeszcze dobitniéj mistrz Zakonu: Polska dąży do zajęcia Szląska—Witołd do utrwalenia panowania na wschodzie, do utrzymania pokoju Melneńskiego; Polska na zachód, Witold na wschód; interesa polskie a litewskie rozdzielają się dzięki uporowi Krzyżaków i kancelaryi krakowskiéj. Pomiędzy sporzących i powaśnionych rzuca Zygmunt kość niezgody w Łucku.

Zgodzić się należy na wnioski p. Lewickiego, że polityką Zygmunta było mnożyć w Polsce trudności w pacyfikacyi Czech, usuwać Polaków od wmieszania się w kwestyą husycką; że myśl krucyaty na husytów ze współudziałem polskim miała Zygmunta zasłonić przed światem, który się domagał natarczywie wytępienia kacerstwa. Skorośmy atoli poznali stronnictwo Szafrańców w Krakowie i jego dążenia, a powtóre kwestyą krzyżacką, możemy śmiało twierdzić, że Zygmunt jeszcze daléj szedł w swych planach, gdyż zamierzał Polskę zupełnie odciąć od Czech. Koroną tego planu był zjazd w Łucku, gdzie pod względem przebiegłości i chytrości o wiele przewyższył Zygmunt polityków krakowskich, mnożących mu nie małe trudności w Czechach. Rezultat jego polityki był osiągnięty z ogromnem upokorzeniem Polski, która obecnie musi się oglądać na husytów, jako na swych sprzymierzeńców. Pozory i teraz pokrywają koronę, i tak głośno przecież nikt na świecie nie mówi o Jagielle jako o husycie, chociaż pogłoski te rozsiewa Zygmunt. Ale skutki wewnętrzne, jakie się odbiły w Polsce właśnie z powodu niezdarności Jagiełły i machinacyi jego kanclerza, są fatalne. Od téj chwili bowiem powaga korony była podkopaną, a nad unią horodelską zawisł miecz Damoklesa.

Z tém wszystkiém nie można posądzać Witołda, aby podzielał plany Zygmunta, a nawet aby miał być pomocnym Zygmuntowi do odcięcia Polski od Czech. Wprawdzie tego nie twierdzi p. Lewicki, ale z podejrzeń jego o jakowéjś niby chęci Witołda paraliżowania projektów Jagiełły, możnaby powziąć przekonanie o jakowémś zazdrosném i nieżyczliwém usposobieniu księcia względem króla Polskiego.

Reasumując, cośmy przy sposobności już powiedzieli, Witołd mógł sobie życzyć, aby projekt dania posiłków Zygmuntowi przyszedł do skutku, bo jakkolwiek wypadłby rezultat wojny przeciwko husytom, to alians Polski z Zygmuntem utrwalał się, co zmusiłoby Krzyżaków do wypełnienia warunków pokoju Melneńskiego. Wiemy ze źródeł, że wywierał Witołd nacisk na kuryą, aby duchowieństwo polskie dało subsydya na wojnę, późniéj, gdy Jagiełło skom-

promitował się skutkiem ucieczki Korybuta, wpływał potężnie, aby zawiązano w Polsce konfederacyą antyhusycką, której stał się poręczycielem; widoczna, że chciał postawić tamę wpływowi stronnictwa husyckiego w Polsce. Że dążył do utrzymania dobrego stosunku z Zygmuntem, o którym mógł wiedzieć, że nie życzy sobie pacyfikacyi Czech przy pomocy posiłków polskich, dowodzi nacisk Witołda na Jagiełłę, aby wysłał Zygmuntowi pomoc orężną przeciwko Turkom, a gdy poddani i na tę wojnę iść nie chcieli, by pokonfiskował dobra krnąbrnéj szlachcie. Wogóle widoczna, że podtrzymywał powagę króla, że łamał wpływ husyto-filów. W końcu i to wiemy, że gdy polityka polska prowadzona na Szląsku, jakby na własném terytoryum, groziła zerwaniem traktatu Kezmarskiego, a co za sobą pociągało i pokoju Melneńskiego (1428 r.), Witołd usprawiedliwiał króla Jagiełłę przed Zygmuntem, poufnie zaś przestrzegał Jagiełłę by zabronił poddanym podejrzanych stosunków z husytami, gdyż one tylko kompromitują koronę i podkopują jéj wpływ i znaczenie.

Nietylko więc z własnego interesu, mając na celu pokój z Krzyżakami, doradzał Witołd, aby Jagiełło nie wdawał się w stosunki z husytami: on mu odradzał wprost i stanowczo twierdząc, że polityka taka zgubne dla Polski wyda owoce. A czyż historya nie stwierdziła w zupełności trafnego sądu Witolda? Oto polityka Szafrańców zachwiała unią, spowodowała następnie wojnę z Krzyżakami, która lubo zakończyła się klęską Krzyżaków, to czyż przeto urzeczywistniła aspiracye Korony do Prus? Czy nie zawarto pod Jasieńcem wtóréj edycyi pokoju Melneńskiego, za który robiono wymówki Witołdowi? Zamiast nawet ustalenia wpływu Korony w Czechach, oddalono od niéj utrakwistów i tém przyśpieszono pojednanie Zygmunta z Czechami.

Apetyt Szafrańców na Szląsk i ich polityka rewindykacyi była dziełem nie obmyślonem, nosiła na sobie piętno akcyi dorywczéj, jakby z konieczności. Uciekano się do środków ohydnych, oszukańczych; ażeby oszukać króla Zygmunta, oszukiwano własnego, podjudzano go przeciwko Witołdowi; chciano pokazać w Krakowie, że i bez Witołda obejść się można, a i prywata Szafrańców odgrywa w téj polityce niemałą rolę. Wiadomo, że jeden z Szafrańców objął księstwo Głogowskie (1), a Puchała, Piotr Polak zbierali grosiwo, odstępując w drodze ugody zajęte zamki Szlązakom i gospodarując na Szląsku, jakby tenże wcale nie należał do korony Zygmunta.

---

(1) Grünhagen: Geschichtsquellen, str. 129.

Wprawdzie przez to zwolniono węzły łączące książąt Szląskich z rzeszą Niemiecką, zadano cios germanizacyi, a uskuteczniając rozdział Szląska, politycznie związanego z koroną Czeską, od husyckich Czechów, spowodowano, że książęta Szląscy szukali korzyści w zbliżaniu się do korony Polskiéj, ulegali jéj wpływowi a w dalszéj konsekwencyi odstępowali późniéj drogą zastawu lub sprzedaży koronie ziemie, które niegdyś Kazimierz W. odłączył był od korony Polskiéj. Ale z drugiéj strony elementa burzliwe, które skutkiem polityki Szafrańców miały wolny i bezkarny odpływ do Szląska, powracają do Polski, aby siać tu zarazę husycką—jak się Witołd wyrażał,—aby podkopywać podstawę społeczeństwa chrześciańskiego i stosunkom społecznym i kościołowi i organizacyi państwowéj zadawać cios po ciosie.

Że elementa przewrotu coraz śmieléj podnoszą głowę, że ścieśniają władzę króla, że nadwyrężają powagę senatu, że sięgają nawet po władzę, że daléj i duchowieństwo patrząc niechętném okiem na husyto-filską politykę księdza kanclerza, również stoi w obozie antymonarchicznym, czyż nie widoczny w tém wpływ idei husytyzmu, względem któréj tak niepewne, tak podejrzane i dwójznaczne zajęto stanowisko?

To chwiejne i dwójznaczne stanowisko zbałamuciło opinią Polski o husytach. Głoszono najsprzeczniejsze o nich zdania, stosownie do okoliczności a więc stosownie do zmieniającéj się co chwila polityki utylitarnéj; okazywano husytom to obojętność to przyjaźń, uważając ich raz za niepoprawnych kacerzy, drugi raz za pobratymcze plemię słowiańskie. Opinia szlachty zarówno rodowéj jako téż i drobnéj chwieje się w tym samym stosunku, jak się chwieją panowie Szafrańcy; cóż tedy dziwnego, że idee husyckie, najskrajniejsze nawet i wprost zgubne dla Polski, znajdują tu zwolenników, twierdzących na seryo to, co w danéj chwili mówią Szafrańcy w Krakowie. Cóż dziwnego, jeżeli w kilka lat późniéj spotykamy w Polsce takich Spytków z Melsztyna, Rytwiańskich, Włodka z Domaborza i 168 głów skonfederowanych przeciwko sterownikom rządu w Krakowie, jeżeli obecnie kanclerz koronny, a kapłan w dodatku, twierdzi, że husyci pragną zgody z kościołem, że właściwie król Zygmunt stoi na przeszkodzie temu dziełu, że Niemcy, wrogowie zarówno Czech jakotéż i Polski, zniesławili Czechów w potwarczy sposób i zrobili ich wrogami kościoła.

Prof. Lewicki przytacza na dowód lojalności Jagiełły srogie edykta królewskie, edykt Wieluński, konfiskatę dóbr Korybuta i konfederacyą antyhusycką. Zapewne, że tak samo twierdziłby i sam kanclerz Szafraniec, i motywa podobne przytaczają na swe

usprawiedliwienie i panowie polscy w liście do magnatów węgierskich. Alеž, dodajmy, że te edykta były tylko na papierze, była to paliatywa z przymieszką szowinizmu; potrzeba było zaradzić złemu w królestwie ale zarazem potrzeba się było zasłonić przed podejrzeniami, a przecież pomimo te srogie edykta rząd koronny nie wzbraniał poddanym wyjazdu do Czech, patrzano przez palce nietylko na ucieczkę Korybuta, ale nadto jak Puchała i inni zdobywali Szląsk na rok przed zjazdem Łuckim. Wobec takiéj tolerancyi, nie zdziwi nas upor szlachty ruskiéj, sprzeciwiającéj się nakazowi Jagiełły, skoro ich powołał pod broń na pomoc królowi Zygmuntowi, zagrożonemu przez Turków, skoro nikt téj szlachcie nie wzbrania śpieszyć z bronią w ręku do Szląska na pomoc husytom przeciwko temuż samemu Zygmuntowi.

Kanclerz, wolno nam przypuszczać, z całą swą możną familią, przeprowadzając zaborcze plany względem Szląska, prowadzi, jakbyśmy to powiedzieć mogli, politykę na własną rękę, politykę, która odtąd zagnieżdża się w Polsce i zyskuje prawo obywatelstwa w imię patryotyzmu i korzyści korony. Polityką tą wywołuje sytuacye, wśród których stary i zniedołężniały król godzić się musi na wszystko jako na konieczność. Czyż nie dano tém przykładu dla innych polityków „własnéj ręki“ do akcyi równie śmiałych i hazardowych. Czyż nie ośmielono tém spanoszonych husytów polskich i nie przygotowywano reakcyi anty-husyckiéj, która musiała nastąpić, aby utrzymać państwo, uchronić je od gwałtownych przewrotów, i czyż nie spowodowano walki między reakcyą a husyto-filami, która co prawda zakończyła się klęską ostatnich, ale wstrząsnęła posadami państwa. Zwycięska reakcya zawiesza po bitwie pod Grotnikami sztandar teokratycznéj polityki, która opanowuje Polskę, odciąga ją od zadań na wschodzie podjętych i wiedzie ojczyznę i młodego króla ku chwale chrześciaństwa, na pola Warneńskie.

Wspomnieliśmy, że polityka kanclerza była zgubną dla unii, że od chwili, kiedy Szafrańcy zaostrzyli apetyt na Szląsk, unia szwankuje. Jagiełło ma żal do Witołda, że posuwa zdobycze na wschód, że przecież gdyby zechciał użyczyć królowi pomocy, zdobyłby Szląsk dla Polski, pokonałby husytów i okryłby imię królewskie nieśmiertelną sławą. Ten żal tylko zdoła nam wytłomaczyć upór królewski w sprawie krzyżackiéj; Jagiełło nie tyle dba o to, aby zmusić Krzyżaków do uległości woli królewskiéj, ile o okazanie niechęci Witołdowi, któremu na dokończeniu sprawy krzyżackiéj wiele zależy i do wywarcia złośliwéj zemsty, nakazującéj mu przeszkadzać zamiarom Witołdowym, skoro książe ten nie aprobuje zamiarów polskich względem Szląska. Po śmierci Witołda, Świdrygiełło łamie

unią a panowie z Krakowa dają się słyszéć z projektem rozdrobnienia i podziału Litwy, aby osłabić spotężniałą przez oręż Witołda Litwę. Żabór Podola jest pierwszym aktem téj polityki, wywołującéj bratobójczą wojnę. Król Zygmunt i Krzyżacy stają otwarcie po stronie Świdrygiełły.

Nasuwa się pytanie, czy te plany podziału Litwy miały na widoku korzyści dla Polski? Że jaki Szafraniec lub Puchała skorzystał z takowych i otrzymał sute starostwo w tych żyznych stronach, to przecież tego nabytku nie można uważać za korzyści państwa, któremu na mocy traktatów przysługiwało prawo do téj ziemi, lubo przyznać należy, że przez powiększanie fortuny panów krakowskich i wpływ Polski się ustalał.

Ale przez tę politykę obudzono waśń pomiędzy Litwą a Rusinami, podkopano wpływ katolicyzmu i ubezwładniono Witołdową Litwę, ale cofnięto zarazem i prąd cywilizacyjny, który otwartą drogą szedł z Polski. Zrodzono antagonizm pomiędzy szlachtą litewską a Polską i popchnięto pierwszą do dążeń separatycznych co oczywiście osłabiło Litwę, uczyniło ją małą i bezczynną wobec Moskwy i Tatarów, a zawsze nie szczerą i niechętną wobec Polski, zawsze gotową do konspirowań przeciwko koronie, chociażby w spółce z w. księciem Moskwy lub z Tatarzynem.

Cóż dziwnego, że w dalszéj konsekwencyi stronnictwo polskich husytów pójdzie daléj w duchu téj polityki, niweczącéj unią Horodelską i zapragnie nie dopuścić na tron krakowski młodego Jagielończyka, że porzuci wszelką myśl unii z Litwą, która niepokoi Polskę i w ciągłe wikła ją wojny, przez co kraj upada a urasta tylko fortuna kilku rodzin krakowskich.

Tak przedstawiają się skutki polityki utylitarnéj Szafrańców. Skierowana krytym sztychem przeciwko królowi Zygmuntowi, bo oparta na husytyzmie, godzi ona w unią; od początku, tj. od 1423 r. do zerwania unii, jest ona zmienną, niestałą, oszukającą króla i naród. Czyż taka polityka lubo miała na celu korzyści Polski, nie była zgubną dla niéj, dla organizującego się społeczeństwa, dla zadań, jakich się ono podjęło wobec unii, dla kościoła, mającego wobec niéj tak wielkie zadanie; dla powagi króla i jego senatu, i czyż nie miał słuszności Witołd, skoro odradzał Jagielle wdawać się z husytami i groził zgubnemi skutkami polityki husyto-filów?

Tryumf Zygmunta, udającego, że téj polityki nie widzi, a wyzyskującego jéj skutki, był zupełnym. Taka Polska, zaprzątnięta rosterkami wewnętrznemi i wojnami, nie mogła mu więcéj szkodzić w Czechach, nie mogła urzeczywistnić aspiracyi swych na Szląsk, nie mogła ze skutkiem sięgać po koronę Czeską nawet po jego śmierci.

Analiza badań prof. Lewickiego wykazała nam najprzód negatywne rezultaty: *a*) Nie może być mowy o lojalności i szczerości zamiarów Jagiełły względem Zygmunta w polityce tego króla, jaką prowadził w kwestyi husyckiéj, lecz chyba o niedołęstwie polityki Jagiełły. *b*) Nie można przypisywać magnatom polskim szczerości i lojalności wobec Zygmunta a nadto chęci do wsparcia króla Jagiełły w tych lojalnych dążeniach. *c*) Nie można i króla Zygmunta oskarżać o przeszkodzenie wyprawie króla Jagiełły, o krzyżowanie planów polskich, gdyż powody, przytoczone przez autora na poparcie złéj wiary Zygmunta, (w latach 1423—4) nie mogły żadną miarą usunąć króla Jagiełły od dokonania wyprawy, gdyby ją był chciał na seryo wykonać. Niechęć i zła wiara Zygmunta była daleko mniejszą przyczyną udaremnienia planu wyprawy, aniżeli nieposłuszeństwo i niechęć poddanych. *d*) Nie można obwiniać Witołda o krzyżowanie zamiarów Jagiełły w Czechach, skoro ten książe postępował ściśle w myśl traktatu w Kezmarku, a nawet popierał zamiary króla, mające na celu wyprawę wojenną przeciwko husytom. *e*) Nie można brać afrontu pod Ołomuńcem za przełom w polityce polskiéj, skoro ona, jak wiemy, nie uległa zmianie stanowczéj i na dal pozostała niekonsekwentną i wyczekującą danéj sposobności, nieszczerą wobec husytów i wobec Zygmunta.

Pozytywne rezultaty streścić można w następujących punktach: 1) Król Jagiełło jest tylko firmą polityki Szafrańców, stronnictwa które nie obliczywszy się z siłami, zamierzało wyzyskać sytuacyą w Czechach i pod pozorem dania pomocy Zygmuntowi, uskutecznić aspiracye względem Szląska. Stronnictwo to oszukuje zniedołężniałego króla i prowadzi machiawelską politykę w kwestyi husyckiéj, wykazuje nieszczerość i matactwa Zygmunta, grozi królowi potęgą husytów, zniechęca go do Witołda i zyskuje polityki swéj aprobatę. 2) Król Zygmunt widząc na co się zanosi, porozumiał się z Zakonem Krzyżackim, i dał wskazówki, aby tenże nie kończył sprawy pokoju wiecznego z Polską i Litwą. 3) Upór Zakonu z jednéj a Polski z drugiéj strony w dokończeniu dzieła pokoju, pobudza Witołda, do tego, iż zmusza Jagiełłę do ustępstw na rzecz Zakonu. Tak te ustępstwa jak i obojętność Witołda w popieraniu aspiracyi polskich na Szląsk, zniechęcają podżeganego przez Szafrańców Jagiełłę do Witołda. 4) Niechęć króla do Witołda wyzyskuje Zygmunt w porozumieniu z Krzyżakami, i zaprząta Polskę całym szeregiem waśni wewnętrznych i odcina ją w zupełności od husytów, z którymi następnie bez jakiegokolwiek współudziału Polski dokonywa zgody.

Rezultaty te mogą posłużyć za klucz do wyjaśnienia tak z jednéj strony niedołężnéj, nieszczeréj a wysoce utylitarnéj polityki

polskiéj względem husytów, jak z drugiéj strony intryganckiéj polityki Zygmunta, który osłaniał Polską własne niedołęstwo, spychał na króla Jagiełłę winę, a to, do czego od zawarcia traktatu Kezmarskiego dążył, wykonał, gdyż zdołał Polskę zupełnie odciąć od Czech. Działał on tak nie dla tego, że obawiał się, aby papież w rekompensatę zasług polskich nie oddał owoców wyprawy wojennéj w polskie ręce, lecz dlatego, że widział niebezpieczeństwo dla siebie i swego państwa w dążeniach stronnictwa Szafrańców. Zwycięstwo Zygmunta jest zupełne skoro ofiarą jego pada Witołd, który po wyroku Wrocławskim nie wahał się jemu, królowi Rzymskiemu, rzucić rękawicy, skoro unia Polski z Litwą doznała srogiego ciosu. Politycy krakowscy, Jagiełło i Witołd tudzież Krzyżacy stali się skutkiem téj polityki narzędziem w ręku Zygmunta.

Antoni Prochaska.





PODZIAŁ WŁASNOŚCI ZIEMSKIÉJ

W GUBERNIACH POŁUDNIOWO-ZACHODNICH.

Niniejszy szkic statystyczny ma na celu narysowanie obrazu podziału własności ziemskiéj na Podolu, Wołyniu i téj części Ukrainy, która stanowi obecną gubernią Kijowską.

Statystyka gospodarcza w Rosyi zrobiła w ciągu ostatnich sześciu lat znaczne postępy. Oprócz wydawnictw statystycznych ziemstw, bardzo cennych, mamy do zanotowania kilka prac, obejmujących mniéj więcéj obszerną grupę zjawisk ekonomiki rolniczéj. Do liczby tych prac należy przedewszystkiém 2-gi tom „Statystyki porównawczéj" prof. Jansona. Cenne to dzieło wyszło jeszcze we wrześniu roku 1880 i zawiera wiele nadzwyczaj ważnych danych z dziedziny statystyki gospodarczéj. Następnie zaznaczyć należy „Wiadomości statystyczne o podatkach bezpośrednich", wydane przez departament podatków w r. 1883. Wydawnictwo to mieści dane o głównych kategoryach własności ziemskiéj w każdym z powiatów, zebrane przez izby skarbowe.

W kwestyi jednak, interesującéj nas w niniejszym artykule, mianowicie w kwestyi podziału własności ziemskiéj w guberniach „południowo-zachodnich", na szczególną uwagę zasługuje wydawnictwo centralnego komitetu statystycznego pod tytułem: „Statystyka własności ziemskiéj i miejsc zaludnionych w Rosyi Europejskiéj" (1). Za podstawę dla oznaczonego wydawnictwa posłużyły dane, zebrane jednocześnie (1877 r.) i według jednakowéj (kartecz-

---

(1) „Statistika poziemielnoj sobstwiennosti i nasielennych miest w Jewropejskoj Rosii." — Zeszyt pierwszy tego wydawnictwa wyszedł jeszcze w r. 1880, ostatni zaś dopiero na wiosnę 1886.

kowéj) metody za pośrednictwem komitetów gubernialnych. Szczegółowość danych i jednoczesność ich zbierania, jedność metody, a także możliwa przy obecnéj organizacyi zbierania statystycznych wiadomości, wiarogodność, sprawdzona przez nas za pomocą porównywania (gdzie to okazało się możliwém) jéj cyfr z rezultatami badań ziemskich, stanowią główne zalety tego wydawnictwa. Te zalety skłoniły nas do oparcia naszego artykułu wyłącznie prawie na jego danych.

Przedmiotem naszego badania będzie podział własności ziemskiéj według *przestrzeni ziemi* nie zaś ilości jéj właścicieli, ponieważ sposób pierwszy ma donioślejsze znaczenie gospodarcze.

Z pomiędzy dość licznych kategoryi własności ziemskiéj na szczególną uwagę, ze względu na swoje ekonomiczne znaczenie, zasługują: 1) własność ziemska państwowa (skarbowa); 2) własność włościańska (uposażenie przy uwłaszczeniu) i 3) własność prywatna (indywidualna). W pracy naszéj te trzy kategorye własności ziemskiéj będziemy mieli głównie na uwadze.

1. **Własność państwowa**.

Stosunkowa ilość ziemi, należącéj do państwa w guberniach „południowo-zachodnich", może być wyrażoną w następujących cyfrach :

	Na każde 100 dzies. własności ogólnéj		Na każde 100 dzies. własn. włościańsk.		Na każde 100 dzies. własn. prywatnéj
	przypada własności państwowéj:				
na Wołyniu . .	6,8	—	17,3	—	13,9
w g. Kijowskiéj .	4,0	—	8,7	—	8,7
na Podolu . . .	2,7	—	5,9	—	6,0

Największą więc przestrzeń własność państwowa zajmuje na północy prowincyi, na Wołyniu; najmniejszą — w części jéj południowo-zachodniéj, na Podolu.

Przeglądając procent własności państwowéj w każdym z trzydziestu sześciu powiatów prowincyi, znajdziemy znaczne między nimi różnice, zatarte powyższém ugrupowaniem danych według guberni. Różnicę tę dostatecznie ilustrują następujące cyfry :

		Powiat z największym procentem ziemi państ.			Powiat z najmniejszym procentem ziemi państw.	
dla Wołynia . . .	—	Owrucki	24,1%	—	Rówieński	0,1%
„ g. Kijowskiéj .	—	Kijowski	10,3%	—	Lipowiecki	0,1%
„ Podola. . . .	—	Latyczowski	8,7%	—	Mohilewski	0,3%

Największą różnorodnością więc, jak widzimy, odznacza się Wołyń, gdzie największa ilość ziemi państwowéj w powiecie prze-

wyższa jéj ilość najmniejszą dwieście z górą razy. Najmniéj różnorodnéni jest Podole, chociaż i tu różnica pomiędzy poszczególnemi powiatami dochodzi do trzydziestu razy. Dla łatwiejszego rozpatrzenia obszaru własności państwowéj w każdym z powiatów, podzielimy je na trzy grupy, zaliczając do pierwszéj powiaty, posiadające ziemi państwowéj wyżéj 10% ogólnéj ich przestrzeni, do drugiéj — od 5% do 10%, a do trzeciéj — niżéj 5%.

Grupę pierwszą, składającą się z powiatów: Owruckiego (24,1), Kowelskiego (13,7), Włodzimirskiego (11,7), Kijowskiego (10,3) i Czerkaskiego (10,1), znajdziemy rozbitą na cztery kawałki i ułożoną na wschodniéj i północnéj granicy prowincyi. Nie mniéj rozproszoną jest i grupa druga, w skład któréj wchodzą powiaty: Latyczowski (8,7), Radomyski (7,1), Hajsyński (6,0) i Czehryński (5,2). Cztery powiaty, składające tę grupę, leżą każdy z osobna na przeciwnych krańcach Podola i gub. Kijowskiéj. Dwa z nich (krańcowe powiaty gub. Kijowskiéj, północny i jeden z południowych) przytykają do grupy pierwszéj tworząc z nią niby półkole, opasujące prowincyą ze wschodu i północy, przerwane tylko w dwóch miejscach: na wschodzie przez pow. Kaniowski, nie posiadający wcale własności państwowéj i na północy przez powiaty: Łucki i Rówieński, posiadające jéj bardzo mało. Pozostałe zaś dwa kawałki grupy drugiéj, położone jeden na granicy Podola z Wołyniem, a drugi z Ukrainą, jak wyspy, otoczone jednolitą trzecią grupą powiatów, posiadającą, jak widzieliśmy, najmniéj ziemi państwowéj.

Tę ostatnią grupę składają następujące powiaty: Lityński (4,8), Uszycki (4,5), Dubieński (4,2), Żytomierski (3,5), Łucki (2,8), Humański (2,7), Olhopolski (2,6), Bałcki (2,2), Zwinogródzki (2,0), Jampolski (1,9), Kamieniecki (1,8), Ostrogski (1,4), Zasławski (1,1), Staro-Konstantynowski (0,9), Bracławski (0,6), Berdyczowski (0,5), Mohylowski (0,3), Krzemieniecki (0,2), Taraszczański (0,2), Rówieński (0,1), Zwiahelski (0,1) i Lipowiecki (0,1). Grupa ta więc jest najobszerniejszą, jednolitą, wypełniającą całą prawie prowincyą i dla tego powinna być uważaną za grupę dla niéj charakterystyczną.

W stosunku do własności włościańskiéj i prywatnéj, jak to wskazują przytoczone powyżéj cyfry, własność państwowa grupuje gubernie w tymże porządku, w jakim układał je już stosunek do całego ich obszaru. Mniéj więcéj poważne znaczenie w stosunku do własności włościańskiéj ma własność państwowa na Wołyniu, stanowiąc w niektórych powiatach (Owruckim 89,7% własn. włość.) znaczny zapas, mogący służyć w razie potrzeby do zwiększenia uposażenia włościan. Więcéj aniżeli 20% gruntów nadanych włościanom własność państwowa stanowi w powiatach (oprócz Owruc-

kiego): Czerkaskim (25,2), Kowelskim (23,9), Kijowskim (23,0) i Radomyskim (20,3).

Dla własności prywatnéj własność państwowa może być niebezpieczną współzawodniczką przy wypuszczaniu włościanom gruntów w dzierżawę. Konkurencya ta jednak może mieć poważne znaczenie w niektórych tylko powiatach, mianowicie w Owruckim, gdzie własność państwa wynosi 50% własności prywatnéj, następnie w pow. Kowelskim (48,5), Kijowskim (25,0), Czerkaskim (22,4) i Latyczowskim (23,7).

Porównywując obszar własności państwowéj z r. 1878 z takim-że obszarem z roku 1858 (*), dostrzeżemy zmniejszenie się jego. Zmniejszenie się to, pomimo konfiskat, zostało spowodowane zapewne przez sprzedawanie ziem państwowych w celach politycznych osobom pochodzenia rosyjskiego.

Własność państwowa w Rosyi nosi inny nieco charakter, aniżeli na zachodzie Europy. Różnicę tę zauważył jeszcze Haxthausen (*Etudes*, vol. III, p. 498). Polega ona na tém, że nie pochodząc z domenów dynastycznych, własność państwowa rosyjska bliższą jest własności narodowéj. Prawo rosyjskie również potwierdza ten pogląd, uważając własność państwową jako *res nullius*, jako własność „nie należącą do nikogo w szczególności“ (art. 406, I-a część X tomu Zb. Pr.). Taki charakter własności państwowéj w Rosyi pozwala nam uważać ją za zapas, z którego w razie potrzeby może być zapomaganą część ludności, najwięcéj potrzebująca ziemi.

2. **Własność włościańska** (grunta nadane przy uwłaszczeniu).

Przystępując do rozpatrzenia się w gruntach nadanych włościanom, przedewszystkiém zwrócimy uwagę na ilość ich w stosunku do obszaru gubernii i własności prywatnéj.

Stosunek ten może być wyrażonym za pomocą następujących cyfr:

	Na 100 dzies. własn. ziemskiéj wogóle		Na 100 dzies. własności prywatnéj
	przypada własności włościańskiéj:		
na Podolu	46,1	—	101,3
w gub. Kijowskiéj .	45,0	—	98,6
na Wołyniu . . .	39,9	—	80,3

Własność włościańska więc zajmuje mniéj, niżeli połowę ogólnéj przestrzeni każdéj z tych gubernii, spadając na Wołyniu prawie

(*) Dane co do własności państwowéj w 1858 znajdujemy w wydawnictwie Murawiewa „Statystyczny przegląd dóbr państw“ 1861 r.

do trzeciéj jéj części; w stosunku zaś do własności prywatnéj przewyższa tę ostatnią tylko na Podolu, w pozostałych zaś dwóch guberniach jest od niéj mniéj obszerną.

Różnice pomiędzy powiatami co do stosunkowéj ilości ziemi włościańskiéj nie są tak znaczne, jak te, które widzieliśmy przy własności państwowéj. Przeciwnie, własność włościańska dość równo podzielona pomiędzy powiatami każdéj gubernii. Największa ilość własności włościańskiéj w powiatach przewyższa najmniejszą dwa razy. Lubo nieznaczna, różnica jednak istnieje i pozwala nam, dla łatwiejszego rozejrzenia się w cyfrach, podzielić wszystkie powiaty prowincyi według posiadanego przez nie stosunku własności włościańskiéj na trzy grupy (I-sza wyżéj 50%, II-ga od 40% do 50%, III-cia niżéj 40%). Przypatrzmy się tym grupom bliżéj.

Grupa pierwsza (wyżéj 50%), składająca się z powiatów: Humańskiego (56,5), Kaniowskiego (55,8), Wasylkowskiego (55,8), Latyczowskiego (54,1), Bracławskiego (53,6), Krzemienieckiego (52,1), Zwinogródzkiego (50,7) i Hajsyńskiego (50,1) w pięciu kawałkach, skupia się na południu prowincyi; grupa trzecia (niżéj 40%), w skład któréj wchodzą powiaty: Kowelski (38,8), Radomyski (35,6), Żytomierski (32,5), Winnicki (31,6), Owrucki (27,0) i Rówieński (26,8)—zajmuje jéj część północną. Grupa zaś druga, pośrednia, zapełnia—po pierwsze, cały środek g. Kijowskiéj i, powtóre, szerokim pasem z małemi przerwami ciągnie się wzdłuż zachodniéj granicy prowincyi. Ilość więc ziemi, znajdującéj się w rękach włościańskich, zmniejsza się w kierunku z południa na północ, to jest w kierunku zmniejszania się jéj urodzajności.

Nie wszystkie osady włościańskie posiadają ziemię. Dla ogólnéj charakterystyki podziału własności ziemskiéj byłoby nadzwyczaj ważnem oznaczyć ilość tych osad bezrolnych. Danych takich jednak dla badanéj przez nas prowincyi nie ma wcale. Posiada je tylko objęta przez statystykę ziemską Rosya. Pewną wskazówkę pod tym względem mogą nam dać gubernie małorosyjskie na lewym brzegu Dniepru, dla których, według wiadomości zebranych przez ziemstwa, można przyjąć od 2,5% do 5% osad bezrolnych.

Przechodząc następnie do szczegółowego podziału własności włościańskiéj, zatrzymamy się na dwóch głównych jéj kategoryach, mianowicie na gruntach należących do własności włościan dawniéj obywatelskich i do włościan dawniéj skarbowych.

Włościanie niegdyś skarbowi stanowią zaledwie piątą część ogólnéj ilości włościan w prowincyi, ziemi zaś posiadają stosunkowo więcéj, ponieważ w każdéj z gubernii należy do nich czwarta z górą część własności włościańskiéj. Mianowicie na 100 dziesięcin własności włościańskiéj posiadają:

	Włościanie dawn. obywątelscy	Włośc. dawn. skarbowi.
na Wołyniu . .	75,6%	24,3%.
w gub. Kijowskiéj	72,7%	26,9%.
na Podolu . . .	72,6%	26,9%.

Stosunek ten jednak, stały dla gubernii, w powiatach zmienia się znacznie, wahając się w dość szerokich granicach. Z jednéj strony spotykamy powiaty, w których własność włościan skarbowych przewyższa własność włościan obywatelskich; z drugiéj—widzimy i takie, w których własność włościan skarbowych dochodzi do mikroskopijnych rozmiarów.

Do pierwszéj kategoryi możemy zaliczyć w gub. Kijowskiéj powiaty Czerkaski (56,6%) i Humański (51,3); na Podolu powiat Latyczowski (51,4). Do drugiéj między innymi—powiat Lipowiecki (1,5%).

Co do włościan niegdyś obywatelskich, to oprócz wskazanego wyżéj jéj udziału we własności włościańskiéj wogóle, zasługuje téż na uwagę stosunek jéj do własności niegdyś szlacheckiéj, tj. do téj przestrzeni ziemi, jaką posiadała szlachta przed reformą 1861 r. Odnośne dane „statystyki" centralnego komitetu pozwoliły nam wyprowadzić następujące stosunki: dla Podola 43,6% dla gub. Kijowskiéj 43,5% i dla Wołynia 40,3%. Co do powiatów zaś, biorąc tylko krańcowe grupy, otrzymamy, z jednéj strony, dla powiatu Bracławskiego 58,5%, Kaniowskiego 58,1%, Wasylkowskiego 55,4%, Kowelskiego 53,1%, Krzemienieckiego 52,9%, i Staro-Konstantynowskiego 52,3%,—z drugiéj zaś dla Rówieńskiego tylko 25,0%.

Ważną z kolei kwestyą jest rozmiar poszczególnych osad włościańskich. W następującéj tablicy podajemy cyfry, wskazujące przeciętny rozmiar nadanych gruntów, obliczony na osadę włościańską, na „rewizską i na istotną duszę", pokutującą jeszcze w terminologii statystycznéj (1).

	Włościanie b. obywatelscy.			Włościanie byli skarbowi.		
	Na osadę.	Na „rewizską duszę"	Na „istotną duszę"	Na osadę.	Na „rewizską duszę"	Na „istotną duszę".
Wołyń	11,8	3,9	3,0	15,1	5,5	4,1
Gub. Kijowska . .	6,6	2,6	2,0	9,7	3,9	3,2
Podole	6,2	2,4	1,9	9,0	3,7	3,0

(1) Otrzymaliśmy pomieszczone w tablicy cyfry za pomocą podzielenia ilości dziesięcin ziemi włościańskiéj przez ilość: 1) osad, 2) ludności wiejskiéj płci męzkiéj, obliczonéj podczas ostatniego spisu ludności (10-ta rewizya) „rewizskie dusze" i 3) przez ilość męzkiéj ludności wiejskiéj, obliczonéj przez komitet centralny—„istotne dusze".

Uposażenia włościan dawniéj skarbowych, jak-to łatwo dostrzedz można, przy każdym z powyższych sposobów obliczania,—czy-to na osadę, czy na „rewiżską“, czy na „istotną duszę“,—zawsze są większe od uposażeń włościan byłych obywatelskich. Różnica ta powtarza się ze szczególną stałością w każdym powiecie. Porównywując przestrzeń gruntów nadanych na osadę z takim-że rozmiarem na „duszę“, możemy utworzyć sobie pojęcie o „gospodarskiéj sile“ osady, tj. porównanie to pokaże nam ilość mężczyzn, robotników, stanowiących osadę, gospodarczą jednostkę włościańską. Najsilniejsze osady znajdziemy na Wołyniu,—najmniéj silne w gub. Kijowskiéj,—co znowu każe nam wnosić, że proces drobienia się własności włościańskiéj, prowadzący do tak nazwanego „rozpylenia“ gruntu danego osadzie i do tworzenia się, koniec końców, proletaryatu rolnego, silniejszym jest w gub. Kijowskiéj,—słabszym zaś na Wołyniu.

Zestawiając następnie rozmiar uposażenia na *„duszę rewizską“* z przestrzenią ziemi wypadającą na *„duszę istotną“*, nabierzemy pojęcia o przyroście ludności wiejskiéj za 20 lat (od 1858 do 78 r.). Wysokość tego przyrostu, według „statystyki własn. ziemsk.“ jest następująca:

	Włościan b. obywat.	Włościan b. skarbowych
Dla g. Kijowskiéj. .	28,0	21,7
„ Wołynia . . .	27,0	34,3
„ Podola . . .	19,9%	20,0

Największy więc przyrost ludności wiejskiéj spostrzegamy w gub. Kijowskiéj i na Wołyniu, gdzie rozmiar nadanych gruntów, według wszelkich sposobów obliczenia jest większy. Podole najniżéj stoi pod względem przyrostu ludności wiejskiéj, a także i pod względem obszaru uposażenia. Zależność więc pomiędzy przyrostem ludności a wielkością posiadłości (im większy podział,—tém większy przyrost) jest widoczna. Potwierdza ją nadto i ten fakt, który po części wskazują i wyżéj przytoczone cyfry, że przyrost ludności u włościan b. skarbowych wogóle jest większy, niżeli u włościan b. obywatelskich.

Rozpatrując daléj przyrost ludności wiejskiéj w każdym z trzydziestu sześciu powiatów całéj prowincyi, spotykamy i takie okolice, gdzie ludność zwiększyła się w ciągu 20 lat o 40% z górą (powiaty: Kowelski 41,2% i Czerkaski 40,1%),—ale i takie, gdzie cyfra przyrostu bardzo nizko, wynosi zaledwie, jak w pow. Latyczowskim, 2.3%.

Co do podziału *włościan* według rozmiaru uposażenia, również spotykamy różnicę między włościanami b. obywatelskimi i b. skarbowymi. Mianowicie włościanie dawniéj obywatelscy w głównéj

swojéj masie siedzą, że się tak wyrazimy, na osadach mniejszych, niźli włościanie b. skarbowi.

Tak, w gub. Kijow. w 8-miu pow. (Humańskim, Kaniowskim, Taraszczańskim, Lipowieckim, Berdyczowskim, Skwirskim, Wasylkowskim i Kijowskim) główna masa ludności posiada 2 do 3 dziesięcin na „rewizską duszę“ (wł. b. obywatelscy); dla 2-ch (Zwinogródzkiego i Czerkaskiego) charakterystyczną jest osada od 1 do 2-ch dziesięcin i tylko w jednym powiecie (Radomyskim) większa część włościan b. obywatelskich posiada od 3 do 4-ch dziesięcin na „rewizską duszę“. Dla włościan zaś b. skarowych przeciwnie, we wszystkich prawie powiatach (wyjąwszy Skwirski i Berdyczowski, posiadający od 1 do 2-ch dzies.) charakterystyczną jest osada od 3 do 4 dziesięcin na „rew. d.“

Tak samo na Wołyniu główna masa włościan b. obywatelskich w 4-ch powiatach (Staro-Konstantynowskim, Zasławskim, Krzemienieckim i Ostrogskim) posiada od 2 do 3 dz. na „r. d.“; włościan zaś b. skarbowych,—od 3 do 4 dz. W pozostałych 8-iu powiatach, główna masa ludności włościan obywatelskich posiada 3 do 4 dzies. a włościan b. skarbowych 4 do 5 dz. na „r. d.“

Podole przedstawia toż samo zjawisko. Dla większości jego powiatów (Winnicki, Lityński, Proskurowski, Mohylowski, Jampolski, Bracławski, Hajsyński i Olhopolski) 2 do 3 dziesięcin na „r. d.“ przedstawia charakterystyczną przestrzeń osady u włościan b. obywatelskich,—dla skarbowych zaś panujące uposażenie wynosi 3 do 4 dzies. na „r. d.“ W powiatach Kamienieckim, Latyczowskim i Uszyckim pierwsi posiadają 1—2 dzies. na „r. d.“, drudzy zaś 2 — 3 dziesięcin.

Słowem, wszędzie spotykamy to zjawisko, ze włościanie byli skarbowi są suciéj obdarzeni ziemią.

Dla dopełnienia charakterystyki własności włościańskiéj zatrzymamy się jeszcze chwilkę na mikroskopijnych osadach włościan b. obywatelskich. Do takich zaliczamy osady, nie przenoszące 1 dziesięciny na „r. duszę.“ Takich włościan jest w całéj prowincyi bardzo mało. Tylko w powiatach: Czerkaskim (3,3), Krzemienieckim (2,5) i Żytomierskim (2,1) ilość ich przenosi 2% ogólnéj ilości włościan, w wielu zaś powiatach (13-tu) niema ich wcale.

3. **Własność prywatna (indywidualna).**

Pod względem stosunkowéj przestrzeni własności prywatnéj trzy gubernie, mogą być ułożone w następującym porządku. Na 100 dziesięcin ogólnéj przestrzeni własności ziemskiéj:

Wołyń . . .	49,7	proc.
gub. Kijowska	45,6	„
Podole . . .	42,2	„

Około połowy więc ogólnéj przestrzeni zajęta jest przez własność prywatną. Stosując i tutaj tęż samę metodę, któréj trzymaliśmy się przy własności państwowéj i włościańskiéj, dla łatwiejszego oryentowania się w cyfrach, podzielimy wszystkie powiaty prowincyi według procentowego w nich stosunku własności prywatnéj na cztery grupy.

Do grupy pierwszéj wejdą powiaty, zawierające z górą 50 proc. własności prywatnéj. Większa ich część skupiona w miejscu, gdzie się stykają z sobą Wołyń, Podole i gub. Kijowska, zajmuje środek prowincyi. Grupę tę składają powiaty: Rówieński (68,6), Żytomierski (60,8), Lipowiecki (55,6), Kamieniecki (55,5), Radomyski (55,2), Berdyczowski (55,1), Łucki (53,4), Skwirski (52,6), Zwiahelski (51,4), Dubieński (51,2), Winnicki (50,9), Lityński (50,6) i Mohylowski (50,6).

Grupa druga, do któréj zaliczamy powiaty, posiadające od 40 do 50% własności prywatnéj, mniéj zajmuje przestrzeni, chociaż liczy więcéj powiatów. Do niéj należą dwa zachodnie (Proskurowski 49,5 i Uszycki 47,0) i cztery południowe (Olhopolski 47,0, Jampolski 46,2, Bałcki 42,2 i Hajsyński 40,4) powiaty Podola; południowe (Czerkaski 45,2, Taraszczański 43,4, Czehryński 42,0 i Zwinogródzki 40,3) i jeden wschodni (Kijowski 41,2) powiaty gub. Kijowskiéj— i nakoniec jeden północny (Owrucki 47,1) i cztery południowe, czarnoziemne (Ostrogski 48,2, Zasławski 46,3, Staro-Konstantynowski 43,3 i Krzemieniecki 42,6) powiaty Wołynia.

Do grupy trzeciéj, najwięcéj rozproszonéj, liczącéj własności prywatnéj od 30% do 40%, należą powiaty: Włodzimierski (38,8), Humański (38,6), Latyczowski 38,5), Kaniowski (36,6), Wasylkowski (33,5) i Bracławski (33,2).

Nakoniec, do grupy czwartéj, liczącéj własności prywatnéj od 20 do 30% należy jeden tylko powiat—Kowelski (27,5), ten właśnie, w którym najsilniejszą jest własność włościańska.

Jeśli rozpatrzymy powyższe grupy, to zauważymy, że najcharakterystyczniejszą dla Wołynia jest grupa pierwsza; dla Podola—druga, a gub. Kijowska zajmuje miejsce pośrednie, dzieląc się mniéj więcéj jednakowo pomiędzy grupami: pierwszą, drugą i trzecią.

Taką jest statyka własności prywatnéj w stosunku do ogólnéj ilości własności ziemskiéj. Dynamika jéj, niestety, na podstawie tych źródeł, jakiemi rozporządzamy, ocenioną być nie może.

Przechodzimy obecnie do pytania: w jaki sposób dzieli się własność ziemska prywatna pomiędzy stanami: szlacheckim, kupieckim i włościańskim.

Podział własności ziemskiéj według stanów nie utracił jeszcze u nas swego znaczenia ekonomicznego, jak to ma miejsce na zachodzie Europy. Szlachta, kupcy i włościanie, jako właściciele ziemscy, różnią się pomiędzy sobą i pod względem opodatkowania ich ziemi i co do formy kredytu, z jakiego korzystają, i nakoniec sposobem gospodarowania. Oznaczenie więc obszaru ziemi, znajdującéj się w rękach każdego stanu, ważnem jest dla charakterystyki własności ziemskiéj. Stosunkowe cyfry, wskazujące udział każdego z tych stanów w téj własności są następujące. Na 100 dzies. własności prywatnéj przypada na własność:

	szlachty	kupców	włościan
na Podolu. . . .	94,8	2,6	0,5
w gub. Kijowskiéj. .	92,6	3,5	0,1
na Wołyniu	89,0	3,2	0,6

Własność prywatna szlachecka jest więc panującą; własność kupców — nieznaczną; własność prywatna włościańska mikroskopijną.

Przechodząc do powiatów, zatrzymamy się najprzód na własności szlacheckiéj i stosując używaną już metodę, utworzymy z nich dwie grupy. Do pierwszéj zaliczymy powiaty, posiadające wyżéj 90% własności szlacheckiéj, do drugiéj zaś liczące jéj od 80% do 90%. Do pierwszéj grupy wejdą powiaty: Zwinogródzki (99,6), Wasylkowski (99,2), Kamieniecki (98,2), Olhopolski (98,1), Jampolski (97,7), Proskurowski (97,5), Uszycki (97,5), Bracławski (96,2), Latyczowski (96,2), Taraszczański (96,1), Czerkaski (96,0), Czehryński (95,7), Równeński (95,6), Mohylowski (95,2), Włodzimierski (94,1), Berdyczowski (94,1), Skwirski (93,8), Lityński (93,7), Lipowiecki (93,6), Łucki (93,6), Winnicki (93,6), Kaniowski (93,4), Staro - Konstantynowski (93,1), Kowelski (93,0) i Hajsyński (90,8). Do drugiéj zaś: Bałcki (89,4), Krzemieniecki (89,3), Ostrogski (89,1), Kijowski (87,7), Radomyski (86,9), Zwiahelski (85,6), Dubieński (83,3), Owrucki (83,3) i Żytomierski (80,0). Pierwsza grupa więc zajmuje całe prawie Podole, około dwóch trzecich g. Kijowskiéj i znaczną część Wołynia.

Stosunkowa ilość własności prywatnéj kupieckiéj znaczniejszą jest w powiatach: Kijowskim (9,5), Ostrogskim (9,3), Krzemienieckim (9,1), Dubieńskim (8,5), Bałckim (7,3), Hajsyńskim (5,3) i Radomyskim (5,1).

Nakoniec własność prywatna włościan tylko w powiecie Bracławskim przewyższa 2% własności prywatnéj wogóle, w pozostałych zaś powiatach jest bardzo nieznaczną.

Zajmując jednak tak nieznaczną przestrzeń, własność prywatna włościan posiada silną tendencyą do rozszerzania się. Tendencya

ta otrzymała nowy impuls przez założenie banku włościańskiego, który w badanych przez nas guberniach czynnym jest od 1883 roku i wywarł już wpływ odpowiedni. Do 1-go marca r. 1886, to jest w ciągu trzech lat swojéj działalności bank ten, jak głoszą jego sprawozdania, pomógł do przejścia w ręce włościan w gubernii Kijowskiéj 71,3% poprzedniéj ich własności prywatnéj, na Wołyniu 59,8%, a na Podolu 58,0%.

Przejdźmy teraz do podziału własności ziemskiéj prywatnéj, według rozmiarów pojedynczéj majętności. Rozpatrzymy mianowicie procent majętności wielkich, średnich i drobnych, zaliczając do pierwszych posiadające więcéj nad 1000 dzies. ziemi, do drugich — od 100 do 1000 dzies., a do trzecich — mniéj 100 dziesięcin.

Podział ten wyrażą następujące cyfry. Na 100 dzies. własności prywatnéj przypada:

	wielkiéj	średniéj	drobnéj	
w gub. Kijowskiéj. .	78,2	19,9	1,9	proc.
na Podolu	73,5	24,0	2,5	„
na Wołyniu	73,3	20,5	6,2	„

Wszędzie więc ilość własności prywatnéj, skupionéj we własności wielkiéj, dochodzi, a w gub. Kijowskiéj przechodzi 75 proc. wszystkich majętności.

Powiaty dość znacznie różnią się między sobą pod tym względem. Tak wyżéj 90 proc. własność wielka posiada w powiatach: Olhopolskim (94,3), Wasylkowskim (91,6) i Równieńskim (91,5); od 80 do 90% w powiatach: Czerkaskim (87,8), Bałckim (85,8), Radomyskim (84,3), Hajsyńskim (82,8), Zwinogródzkim (82,6) i Kijowskim (82,5); od 70% do 80% w Owruckim (77,5), Zasławskim (77,1), Zwiahelskim (76,4), Skwirskim (75,5), Humańskim (74,9), Łuckim (73,9), Kowelskim (73,1), Czerkaskim (71,6) i Uszyckim (71.4); od 50 do 70% w szesnastu powiatach, wyliczać których już nie będziemy, i nakoniec powiat Starokonstantynowski posiada tylko 38,1% własności wielkiéj, jest więc najmniéj arystokratyczny.

Własność średnia najwyżéj stoi w tymże powiecie Starokonstantynowskim (56,6%); następnie pow. Proskurowski posiada jéj 41,6%; od 20% do 30% znajdujemy w pow. Krzemienieckim (38,0), Lityńskim (36,8), Kamienieckim (35,0), Latyczowskim (34,2), Ostrogskim (31,4), Berdyczowskim (31,2), Lipowieckim (31,1), Kaniowskim (29,4), Jampolskim (29,3), Taraszczańskim (29,2), Mohylowskim (28,7). Włodzimirskim (28,4), Bracławskim (28,3), Uszyckim (27,1), Dubieńskim (25,1), Humańskim (24,1), Skwirskim (23,2), Kowelskim (22,8) i Żytomierskim (21,9). W pozostałych powiatach procent średniéj własności prywatnéj nie dochodzi 20 proc.

Nakoniec własność prywatna drobna gra najmniejszą rolę w całéj prowincyi. Tylko dwa powiaty Owrucki i Żytomierski posiadają jéj około 10 proc.

Przeciętny rozmiar własności prywatnéj wogóle wyrażają następujące cyfry: dla Wołynia 207 dziesięcin, dla Podola 306 dzies., a dla gub. Kijowskiéj 488 dzies. Powiaty tu przedstawiają znaczne różnice. Tak, w pięciu z nich znajdujemy przeciętny rozmiar własności prywatnéj wyżéj 500 dzies., przyczém maximum przypada na powiat Rówieński (1234 dz.), a minimum na pow. Owrucki (73 dz.).

Rozmiar majętności szlachty i kupców wynosi:

na Wołyniu. . .	862 dzies.	—	1721 dzies.
na Podolu . . .	746 „	—	659 „
w gub. Kijowskiéj	1136 „	—	957 „

Dla włościan zaś we wszystkich trzech guberniach możemy przyjąć od 5 do 11 dziesięcin.

Na zakończenie niech nam wolno będzie powtórzyć te wnioski ogólne, do których przyszliśmy w obecnym artykule.

1. Własność państwowa (skarbowa) wogóle gra nieznaczną rolę pośród innych kategoryi własności ziemskiéj, dochodząc do znaczniejszych rozmiarów tylko na wschodzie i północny prowincyi. Przestrzeń jéj zmniejszyła się w ciągu ostatnich lat 20-stu.

2. Własność włościańska (nadana przy uwłaszczeniu) zajmuje mniéj, niżli połowę ogólnéj własności ziemskiéj w prowincyi. Najbiedniejsze pod tym względem są powiaty północne — nie czarnoziemne; najbogatsze, powiaty południowe — czarnoziemne. Przeciętny rozmiar osady włościan b. obywatelskich zawsze i wszędzie mniejszy jest od osady włościan b. skarbowych. Rozmiar tego uposażenia wywiera znaczny wpływ na przyrost ludności wiejskiéj, działając tu w stosunku prostym.

3. Własność prywatna (indywidualna) zajmuje największą stosunkową przestrzeń prowincyi. Może ona być nazwaną szlachecką, ponieważ szlachta stanowi przeważający element pomiędzy właścicielami ziemskimi. Własność prywatna włościańska jak dotąd jest bardzo nieznaczną, ale coraz rozszerza swoję przestrzeń, w czém jéj skutecznie pomaga bank włościański. Rozszerzaniu się własności prywatnéj włościańskiéj musi, rzecz naturalna, towarzyszyć odpowiednie zmniejszanie się własności szlacheckiéj, a także zwiększanie własności drobnéj, która, jak wiadomo, jest charakterystyczną formą własności włościańskiéj.

B. Niedziałkowski.



PRZEGLĄD LITERATURY.

1. Clark Murray. Psychologia. Podręcznik. Przełożyli z upoważnienia autora Henryk Wernic i J. Wł. Dawid. Warszawa 1887, str. VI + 450. — 2. Kondyllak. Traktat o Wrażeniach Zmysłowych. Przełożył z francuzkiego Antoni Lange pod redakcyą H. Struvego, Warszawa 1887, str. XXXIV + 220. — 3. Logika przez Ludwika Liard'a, przekład z francuzkiego. Bezpłatny dodatek do „Prawdy“ Warszawa 1886—87, str. 224. — 4. W. Stanley Jevons. Logika objaśniona figurami i pytaniami, przełożył z angielskiego Henryk Wernic. Warszawa 1887, str. 158. — 5. Dzieje filozofii w zarysie napisał Dr. Maurycy Straszewski, profes. filozofii w uniwersytecie Jagiellońskim. Zeszyt 1. Kraków 1887, str. 64.

1. Mając przejrzéć wymienione powyżéj książki, zacznijmy od psychologii; należy się jéj to pierwszeństwo głównie dlatego, że ze wszystkich gałęzi filozofii psychologia cieszy się obecnie największym mirem wśród uczonych, a poniekąd i u publiczności. Wprawdzie ta sfera życia wewnętrznego, umysłowego do dziś dnia pomimo prac bardzo poważnych i gruntownych, mieści wiele zagadek, wiele punktów ciemnych; wprawdzie czytając dzieła psychologii poświęcone, nasuwa się nieraz bajka, jak to mądry rozprawiał o naturze ducha, jak głupi go słuchał, a gdy ustał, mądry się zdumiał, że go głupi nie rozumiał: jednak nie można powiedzieć, żebyśmy dzisiaj cokolwiek więcéj nie rozumieli natury czynności umysłowych, niż przed pół wiekiem. Do lepszego rozumienia zjawisk psychologicznych przyczyniła się w znacznéj mierze fizyologia, patologia umysłu, etnografia, nareszcie wciągnięcie do badań psychologicznych, objawów spotykanych w świecie istot niższych od człowieka. Pod tym względem znane są prace takich uczonych jak Maudsley Charlton Bastian, Wundt, Adolf Bastian, Romanes, nie mówiąc o tych, którzy *ex professo* wykładali psychologią. Kto dzisiaj pisze psychologią, powinien się liczyć z rezultatami osiągnionemi przez tych i wielu innych autorów. Nie można powiedzieć, ażeby Murray w swoim podręczniku brał w rachubę te rezultaty. Ale nie uprzedzajmy ostatecznego zdania i przyjrzyjmy się bliżéj jego książce.

Autor poświęciwszy we wstępie kilka kartek na definicyą i metodę psychologii, rozłożył cały materyał psychologiczny na dwie księgi, z których jedna obejmuje psychologią ogólną, druga szczególną. Psychologia ogólna traktuje o pierwiastkach życia umysłowego, a więc o wrażeniach zmysłowych, przyczém po szczególe opisuje zmysły, oraz o procesach umysłowych, do których zalicza kojarzenie i porównanie. Psychologia szczególna (lepiéj, szczegółowa) rozważa trzy główne działy życia umysłowego, wyrażające się poznaniem, uczuciem i wolą. Taki jest kościec książki, do którego są przyczepione niby mięśnie, mniejsze poddziały zawierające postrzeżenia szczegółowych zmysłów, uogólnianie, rozumowanie, idealizacyą, złudzenia, objaśnienie pojęć takich jak czas, przestrzeń, substancya, przyczyna: wszystko to razem wzięte stanowi sferę poznania. Następuje potém wykład i klasyfikacya uczuć, po którym idzie część ostatnia, nieproporcyonalnie do innych krótka, obejmująca naukę o woli,

Definicya psychologii, podana przez autora, nie pozostawia nic do życzenia; jest to nauka „badająca zjawiska umysłowe"; umysł zaś bierze autor za to samo co dusza lub duch. Mówiąc o metodzie, jakiéj psychologia trzymać się powinna, Murray powiada, że ją wskazuje sama natura zjawisk umysłowych, a do natury ich zalicza tę okoliczność, że im zawsze „towarzyszy świadomość" (5); otóż jest to zbyteczne ścieśnienie zakresu psychologii, albowiem bywają czynności umysłowe automatyczne, nieświadome, jako np. gdy ktoś gra, jak mówimy mechanicznie, myśląc o czém innéni, niż grany ustęp, lub rozmawiając z drugą osobą. Prócz tego bywają stany umysłu trudne do wyjaśnienia, jak np. gdy się biedzimy z rozwiązaniem pewnego zagadnienia matematycznego na jawie, a rozwiązujemy je po śnie pokrzepiającym. Zdawałoby się, że umysł pracuje we śnie, wtedy gdy jesteśmy pozbawieni świadomości. Nareszcie, stany umysłu, gdy się budzimy ze snu, nie są związane ze świadomością całkowitą, a jednak nie możemy ich zaliczyć do czystych funkcyi cielesnych. Wogóle cała ta sfera zjawisk leżących na granicy między nieświadomością a świadomością zupełną nie może być w psychologii pomijana. W książce podręcznéj trudno się wdawać w dyskusyą téj niejasnéj jeszcze sprawy, ale uwagę na nią zwrócić należy. Spór z Millem o znaczenie świadomości (300—307) nie zastąpi tego braku.

Przy wykładzie części fizyologicznéj, mianowicie nauki o szczegółowych zmysłach, trzebaby koniecznie, nawet w podręczniku, dać kilkanaście rysunków ułatwiających rozumienie działania narządów zmysłowych; odsyłanie ucznia do oddzielnéj fizyologii najczęściéj nie odnosi skutku. Autor nie uczynił tego ułatwienia i opisuje zmy-

sły po kolei, nieraz drobiazgowo aż do znużenia czytelnika. Nie na wiele się przyda uczniowi wiadomość, nie wiem czy pewna, że osoby, które długo zażywały tabakę nieraz tracą właściwy zmysł powonienia, a pomimo tego czują miłą ostrość swego ulubionego narkotyku (41).

Mówiąc o procesach umysłowych, a między tymi, o abstrakcyi, spotykamy niezrozumiałe wyrażenie, mianowicie utożsamienie jéj z „nieprzytomnością umysłu" (200). Wprawdzie czyniąc abstrakcyą, czyli uogólniając rzeczy i ich własności, niektóre z tych własności pomijamy, stają się one chwilowo nieobecne dla umysłu, ale nie jest to równoznaczne z nieprzytomnością umysłu. Tak samo trudno się zgodzić z autorem na twierdzenie, że wiedza czyli poznanie „nie może się rozpoczynać od rzeczy pojedynczych" (205); rozumiejąc przecież, że nie może się rozpoczynać od „klas", autor ratuje się z kłopotu zapewnieniem, że się musi rozpoczynać „od czegoś nieokreślonego" (206). Tem nieokreślonem są wrażenia. Jeżeli tak, to oczywiście poznanie rozpoczyna się od pojedyńczych wrażeń, z których powstają wyobrażenia, sądy i rozumowania.

W rozdziale zatytułowanym „Idealizacya" znajduje się sporo mętnych definicyi. I tak, ideałem estetycznym ma być „bezwzględne (?) czyste zadowolenie" (239), ideałem ducha religijnego jest „umysł powszechny (?), w którym urzeczywistniają się wszystkie ideały ludzkiéj świadomości: spekulacyjny, praktyczny i estetyczny" (255).

Jużeśmy poprzednio zauważyli, że bardzo ważny dział psychologii Murray'a, mianowicie nauka o woli, jest najpobieżniéj i najsłabiéj wyłożony; pomimo téj szczupłości, znalazł się tu niezbędny rozdział o wolności woli. Sporna ta dla niektórych umysłów kwestya gmatwa dotychczas pojęcia ludzkie i pokutuje we wszystkich psychologicznych dziełach. Autor krytykując i determinizm i pospolite mniemania, jakoby wola działała bez pobudek, i była niezależną od praw natury (libertaryanizm), sam zawisł w powietrzu: nie wiemy na pewno, jakiego jest w téj materyi zdania.

Polski przekład podręcznika psychologii Murray'a można wogóle nazwać dobrym, jednak nie bez usterków, których łatwo można było uniknąć. I tak, bez potrzeby używają tłómacze następującego zwrotu: „ponieważ nie wszystkie obecne stany umysłowe jednakowo kojarzą się z bezpośrednio po nich następującemi, *to* powstaje pytanie". Tutaj, jak i w setnych innych wypadkach owo *to* jest zupełnie zbyteczne i przypomina niemczyznę. Niefortunne jest przetłómaczenie przymiotnika *volitional* za pomocą polskiego *chceniowy* (117); wrażenia, które dają się jasno odróżniać i utożsamiać... po-

siadają własność reprodukowania innych i reprodukowania się *samym* (119); działać *nad* całościami (243); albowiem *podczas kiedy* (327). Są tu dwa grzyby bardzo często tak w niniejszém tłómaczeniu, jak i wogóle u nas, natrafiane; jeden z nich byłby dostateczny. W *rażący* sposób potwierdza to itd. zamiast *uderzający* lub uderzająco (344); nuta, jaką *wydaje* świeży wietrzyk (346); uczucia jako stany jedynie *przedmiotowego* pobudzenia, zapewne miało być *podmiotowego* (349); angielskie *relativity* lepiéj byłoby tłómaczyć przez *paralelizm*, aniżeli przez *względność*. Dodać w końcu winniśmy, że przy wielkim braku w literaturze naszéj iletyle znośnéj psychologii, podręcznik Murray'a zapełnia poniekąd tę szczerbę, lubo tylko w zakresie elementarnym.

2. Skorośmy weszli na psychologią, załatwijmy się odrazu z inną książką wprawdzie nie młodą, bo jeszcze zeszłowieczną, ale świeżo przetłomaczoną na język polski. Jest to traktat (*Traité*) Kondyllaka *O wrażeniach zmysłowych*. Wiadomo powszechnie, lub przynajmniéj krajowym filozofom, że z Kasy pomocy imienia Mianowskiego uczeni nasi wydają dzieła poważnéj treści, a między témi nie zapomniano i o filozofii. Redakcyą tego działu prowadzi p. Struve, a tłómaczami są młodzi adepci filozofii. Dotychczas wydano dwie książeczki: *Obronę Sokratesa* z Platona i Kartezyusza *Rozmyślania nad zasadami filozofii*; obecny *Traktat* Kondyllaka, jest trzecią książeczką z cyklu filozoficznego. Mieszczą się w niéj trzy przedmowy i wykład rzeczy. W pierwszéj przedmowie ubolewa p. Struve nad powolnym ruchem *Biblioteki filozoficznéj*, a za przyczyny żółwiego jéj pochodu uważa nasze ubóstwo materyalne i umysłowe, które daje początek powierzchownéj niby krytyce. Gdyby czytano przynajmniéj celniejsze dzieła filozofów, pewnieby nie wydawano tak powierzchownych sądów o *Bibliotece filozoficznéj*; chociaż zdaje nam się, że niepoczytność wydanych w niéj dziełek nie płynie z samego lenistwa umysłowego. A już zupełnie wątpimy, żeby „tylko studyum Kondyllaka było zdolne rozjaśnić chaos w głowach nowoczesnych dogmatyków empiryzmu“ (VIII). Jeżeli bowiem p. redaktor utrzymuje, że umysł nasz posiada samoistne uzdolnienia „niezależne od wrażeń zmysłowych“, to widocznie studyum Kondyllaka nie ma téj cudownéj siły, rozpędzającéj mgły metafizyczne.

Druga przedmowa, a raczéj wstęp tłómacza, zawiera krótki życiorys Kondyllaka i ocenę jego stanowiska filozoficznego. Cały ten wstęp jest z małemi wyjątkami, streszczeniem artykułu o Kondyllaku z *Dykcyonarza nauk filozoficznych* Ad. Francka, przyczém popełniono błąd nazywając Mably'ego opatem, gdyż doszedł zaledwie subdyakonatu, jak tenże Franck opowiada. Sam Kondyllak mógłby

po naszemu nosić imię Stefana, a jeszcze lepiéj Szczepana; że go tłómacz nazywa Etienne, nie myślimy poczytywać mu tego za kryminał. Nie można się przecież zgodzić ani z redaktorem, ani z tłómaczem, ażeby Kondyllak był „typowym przedstawicielem sensualizmu" (XIV); ale prawdą jest, że był gładkim francuskim kopistą Hobbesa i Locke'a. Czy traktat jego o wrażeniach zmysłowych jest *arcydziełem* pod względem literackim (XXV), o tém mogliby słuszniéj wyrokować Francuzi; to jednak mamy za pewne, że polska szata niebardzo gładko na nim leży. Wogóle, o wstępie możemy powiedziéć, że gdyby tłómacz dołączył był ocenę Kondyllaka z jakiéjś lepszéj *Historyi filozofii*, zastrzegając swoję zgodę lub niezgodę, moglibyśmy się gruntowniéj zapoznać z tłómaczonym autorem, a tłómacz nie byłby napisał że „*Traktat o wrażeniach zmysłowych*" jest dziełem zupełnie samodzielném (XX). Tyle o wstępie p. Langego; o tłómaczeniu tekstu francuskiego jeszcze pomówimy.

W trzeciéj przedmowie zwraca się do nas nieboszczyk autor, właściwie jednak ani do nas, ani do zeszłowiecznych czytelników, lecz do hrabiny de Vassé. Była to przyjaciółka panny Ferrand, przyjaciółki Kondyllaka. Autor z pokorą wyznaje, że co najlepsze w jego książce, to pochodziło z natchnienia panny Ferrand; jest-to francuski komplement dla nieboszczki, a pośrednio i dla żywéj hrabiny de Vassé. Może to wreszcie i szczera prawda; jeżeli bowiem i A. Comte i J. S. Mill najlepsze swoje natchnienia czerpali z obcowania z paniami, czemużby Kondyllak nie miał czerpać z podobnego źródła? W takim razie dlaczego tłómacz nazywa jego *Traktat* zupełnie samodzielném dziełem?

Ocenienie filozoficznéj treści, zawartéj w książeczce Kondyllaka, nie może być zadaniem niniejszego sprawozdania dlatego głównie, że czynności téj dokonano już dawno i dobrze. Wystarczy, gdy powiemy, że analiza wrażeń zmysłowych, pomijając niezdarność pomysłu osoby obdarzanéj kolejno zmysłami, jest tylko słowna, niczego nie objaśniająca; że dzisiaj przy pomocy fizyologii daleko lepiéj rozumiemy mechanizm zmysłów i nerwów, a témsamém i naturę wrażeń zmysłowych; że jeżeli chodzi o pożytek czytelnika, więcéj się nauczy z innéj książeczki, także traktującéj o *wrażeniach zmysłowych*, a napisanéj przez p. Nussbauma, aniżeli z *Traktatu* Kondyllaka. Nie znaczy to jednak, żeby z Kondyllaka nie można się niczego nauczyć, bo jak mówi poeta, wszędzie się znajdzie rozum, byle tylko szukać.

Wspomnieliśmy, że tłómaczenie chroma; nie jest ono złe, ale mogłoby być znacznie lepsze. Wyliczać wszystkich błędów nie widzimy potrzeby, należy jednak usprawiedliwić zarzut. Więc oto

koleją stronnic błędy językowe: *pod* nazwiskiem tém rozumie się...; Kondyllak nie przyznaje *za* refleksyą znaczenia samodzielnego; czynności, jakie w *nas* spostrzegamy; zdania, od których *odstępywałam*; sprawiedliwość, jaką oddaję, nie byłbym śmiał jéj (pannie Ferrand) oddać; chętnie zajmowała się tą myślą, chciała jednak *zeń* wyrwać obraz boleści; podczas gdy druga...; dotknięta *żywością* rozkoszy (lepiéj żywą rozkoszą); wyrwać cierpieniu; za każdą razą (przecież *raz* nie *raza*); nieskończoną liczbę razy powtórzono zaimek *on*, *ona*, bez żadnéj potrzeby, tylko wskutek dosłownego tłómaczenia francuskiego *lui*, *elle*. Idźmy daléj: ponieważ bowiem...; *na tyle* się tém wspomnieniem nie przejęła; jakkolwiek zadziwiającemi byłyby skutki wyobraźni, aby o nich nie wątpić, dość rozważyć (niezrozumiałe); doświadczałaby (owa fikcyjna osoba) *je*, to jest stany bytu (?) po trzeci lub czwarty raz nie będąc w stanie *je* rozpoznać. Wiązeczka ta zebrana została z pary stronnic wstępu i z 20 stronnic tekstu. Reszta nie jest gorsza, ale i nie lepsza.

3. Logika nie cieszy się w literaturze naszéj gorliwszą uprawą od innych gałęzi filozofii; mamy jednak do zaznaczenia parę książeczek, wprawdzie tylko elementarnych i z obcego tłómaczonych, o których krótką wiadomość podajemy.

Pierwszą jest *Logika* przez Ludwika Liarda, rektora akademii w Caen, tłómaczona z francuskiego. Autor znany jest ile tyle u nas, gdyż *Ateneum* podawało z dawniejszych jego prac filozoficznych sprawozdanie *(Les Logiciens Anglais contemporains—La Science et la Metaphysique)*. Obecna jego *Logika* zawiera logikę formalną, metody nauk i wykład sofizmatów. Wiadomo, że logika formalna obejmuje naukę o pojęciach, sądach i rozumowaniu sylogistyczném; Liard zastosował się do utartego zwyczaju i te same przedmioty traktuje w pierwszéj księdze, do któréj wciągnął naukę o klasyfikacyi i indukcyi. Ta część logiki jest zwykle najkrócéj traktowana, jako mniéj ważna, stara, dawno obrobiona i okrutnie nudna; niegdyś łączono ją z gramatyką i dyalektyką. Autor poświęcił jéj księgę niewielką, bo tylko z 65 stronnic złożoną, ale i tego na dziełko elementarne jest zawiele; dedukcyi nie można lekceważyć, błędy rozumowania trzeba znać, ale reguły sylogizmu nie uchronią nas od błędu, jeżeli prawdziwych premis nie zdołamy osiągnąć: premissy zaś zdobywają się doświadczeniem, uważaném w najobszerniejszém znaczeniu.

Gdy to zrozumiano, logika formalna, dedukcyjna zaczęła tracić kredyt; w książkach podręcznych dość na nią kilku kartek. Nie jest to ani ciekawe, ani nauczające, gdy czytamy poprawny sylogizm taki: wszyscy ludzie są śmiertelni, Paweł jest człowiekiem,

więc jest śmiertelnym. Tu wniosek tkwił już w premisie i niczego nowego nas nie nauczył. Nie bawi nas też sylogizm podstępny taki: Czegoś nie stracił, to masz; rogów nie straciłeś—więc.... Przykłady te nie są wzięte z książki Liarda; chodziło tylko o napomknienie, że chociaż każde rozumowanie daje się do sylogizmu sprowadzić, jednak długo o sylogizmach i ich figurach mówić nie warto. Przecież sam autor zapewnia, że logika formalna nie zajmuje się realném istnieniem rzeczy (23).

Więcéj zajęcia dla umysłu czytelnika mieści księga druga, traktująca o metodach rozmaitych nauk, jak matematyka, nauki przyrodnicze, moralne: tutaj umysł nie działa, że tak powiem w próżni, lecz prawa myślenia stosuje do świata rzeczywistego. Jest to logika nowa, pobudzająca ucznia do myślenia i słusznie wykładana obszerniéj od formalnéj. Tu się spotykamy z rozumowaniem indukcyjném, z klasyfikacyą, analogią, hipotezami; tu się uczymy jak umiejętnie patrzéć na świat otaczający, jak obserwować zjawiska, jak je poddawać doświadczeniu, ażeby uniknąć błędu. Więc też nowsi logicy, oceniając wartość takiéj logiki, jéj głównie w wykładach swoich lwią część poświęcają. Tak postąpili J. S. Mill, Bain, Fowler, Wundt. Dobrze zatém, że i elementarna logika dopasowywa się do tych wymagań nauki. Liard nie przeoczył tych wymagań; wolelibyśmy jednak nie spotykać jego polemiki z Millem o zasadę indukcyi, polemiki nie bardzo zasadnéj, wyrażającéj się w pytaniu: „któż ostatecznie może zapewnić nas, że jutro porządek natury nie zostanie wywrócony?“ (155). Wielka prawda. Nieznajomość jednakże końca świata wcale nam nie przeszkadza opierać naszego myślenia i postępowania na stwierdzonym powszechnie jednostajnym porządku natury. Tém mniéj rozumiemy, dlaczego autor gdzieindziéj jeszcze chce szukać oparcia dla myśli ludzkiéj, niż w tym porządku praw przyrodzonych, nie chybiających przynajmniéj na naszéj planecie.

Logika Liarda byłaby dla nas pożyteczniejszą książeczką, gdyby była staranniéj przetłómaczona; spotkaliśmy w ciągu jéj czytania mnóstwo błędów językowych i niebardzo trafnych neologizmów, z których cząstkę tylko notujemy: pojęcia mają *do* siebie stosunki; każde zdanie wyraża zawieranie się.... predykatu; wnioskować *od* całości *do* części; wyłożyć treściowo; ukrotnienie predykatu; eksperyent; warunek żywnościowy; antecypować (użyte kilka razy); warunek powodny, zamiast powodujący; francuskie *encephale* przetłómaczono *organ czaszkowy*; rdzeń kręgowy nazwano szpikiem, czaszkę zrobiono czarą kościstą; *na tyle* jednak określoną; ekonomia polityczna poszukuje praw.... rozkładnia, zamiast podziału. Nie wie-

my, co znaczy frazes: czy zjawiska moralne nie mają jakichś środkowości...“ (170); metody, *jakichy* użyć należało; nauka polityczna zmierzać powinna do wywiązania (?) społecznych i dziejowych praw faktów...; sprężyny, które puszczają w ruch działalność ludźmi; znajdźmy dwa narody podobne sobie we wszystkich rodzajach korzyści i niekorzyści (?) naturalnych; uczucia wrażebne; istotowe prawidła; język jest wielkim podżegaczem sofizmatów. Poprawiwszy starannie tłómaczenie logiki Liarda, możnaby ją zalecić młodzieży do studyowania jako przewodnik dla początkujących. Obfity zbiór przykładów w załączonym dodatku kończy książkę a témsamém i nasze o niéj sprawozdanie.

4. Elementarną również i mniejszą od poprzedniéj jest *Logika* S. Jevons'a, przeznaczona dla początkujących. Jevons należy do znakomitszych spółczesnych pisarzów angielskich: pracuje głównie w zakresie logiki i ekonomii politycznéj. Wytrwały z początku zwolennik J. St. Milla, późniéj tak się do niego uprzedził, iż twierdził, że „niemasz w logice żadnego przedmiotu, któregoby Mill nie dotknął, a do każdego, którego się dotknął wprowadził zamieszanie“. Spór ten nie może nas tu dłużéj zajmować, toczył się bowiem przed 10 laty (patrz *Mind* z 1878).

Jevons jest u nas cokolwiek znany, gdyż mamy jego malutką *Ekonomią* tłómaczoną po polsku; Liard pisząc o spółczesnych logikach angielskich rozbiera wszystkie jego dzieła z zakresu logiki, nazywając je klasycznemi: stosuje się to głównie do podręczników. Takim króciutkim podręcznikiem jest i *Logika* obecnie na nasz język przełożona. Treść jéj prawie taka sama jak *Logiki* Liarda; chociaż rozkład materyału nieco różny. Logika podług niego „powinna nas nauczyć dwóch rzeczy, mianowicie, jak odkryć prawa natury i jak je zastosować“ (6). Tak rozumiejąc zadanie logiki, autor zaczyna nie od pojęć, lecz od terminów, jakiemi nazywamy rzeczy; terminy łączą się w sądy, a z sądów powstaje rozumowanie. Logikę formalną odprawia Jevons krótko; za to więcéj miejsca i przykładów poświęca indukcyi: „logika indukcyjna bada, przy pomocy jakiego sposobu rozumowania możemy z faktów obserwowanych zjawisk odkrywać prawa natury“ (83). Jest-to cechą lepszych pisarzów angielskich, że im więcéj chodzi o odkrycie praw natury, niż o łamańce sylogistyczne. Tłómaczenie polskie jest wogóle dobre; mniejszych usterków, jak np. „rozumiéć *pod* kościołem, pod domem, pod wyrazem statki“—nie wyliczamy.

5. Na ostatnie danie tej wcale nie Lukullusowéj uczty filozoficznéj zostawiliśmy *Dzieje Filozofii* w zarysie pana Straszewskiego, dzieło oryginalne, ptak rzadki u nas w te czasy, *nigroque simillima*

cygno. Mamy wprawdzie dopiero zeszyt pierwszy, z którego o całości zakrojonéj na 2 tomy sądzić nie można, ale pojawienie się początku zaznaczyć należy. P. Straszewski już w rozprawie swojéj o *Powstaniu i rozwoju pessymizmu w Indyach* (Kraków 1884) zapowiedział tak w łacińskiéj dedykacyi uniwersytetowi edynburskiemu, jak i w polskiéj przedmowie, iż od „dłuższego (*sic*) czasu" zajmuje się napisaniem *Historyi Filozofii*; obecnie zaczął się uiszczać z téj obietnicy.

W ogłoszonym pierwszym zeszycie zapoznajemy się z poglądami autora na filozofią, jéj dzieje i podział materyału, oraz z bibliografią przedmiotu. Zaznaczymy więc niektóre punkta więcéj charakterystyczne, pozwalające ocenić, jeżeli nie całe dzieło będące w robocie, to przynajmniéj jego filozoficzne stanowisko.

Filozofia jest, według p. S., „dążeniem do wiedzy, ale nie do wiedzy szczegółowéj, drobiazgowéj i praktycznéj, ale do wiedzy jak można najwszechstronniejszéj, jak najdaléj w poznaniu prawdy sięgającéj—do wiedzy, która obejmuje całość świata, a skupia w sobie najogólniejsze zasady i najgłówniejsze pierwiastki tego wszystkiego, co tylko może być treścią i przedmiotem naszych myśli" (4). Definicya to zadługa, zarozwlekła; byłoby może lepiéj powiedziéć, że filozofia jest uogólnieniem prawd zdobytych przez odrębne nauki Ale poprawka taka nie przystawałaby, jak to niżéj zobaczymy, do poglądu autora na filozofią. Mówiąc o wydzieleniu materyału, który powinien stanowić zakres dziejów filozofii, rozważa co do nich wciągnąć, a co pominąć trzeba. Tak np. autor nie godzi się z tymi, co do filozofii zaliczają tylko takie rozmyślania nad całością świata, które zachowały zupełną od pojęć religijnych niezależność (9). Więc znowu rozważając w jakim stosunku znajduje się filozofia do dziejów powszechnych, do rozmaitych nauk i sztuk, utrzymuje, że dziejopis filozofii nie może pomijać Dantego i Zygmunta Krasińskiego (13). Zapewne; wzmianka o nich jak i o setce innych nazwisk znaleźć się może; coby jednak za prawdy dwaj ci poeci do skarbca filozofii wnieśli, nie wiemy. Jeżeli historyk filozofii będzie wyszukiwał prawd naukowych w *Boskiéj komedyi* lub *Irydyonie*, czém się zajmie historyk literatury?

Odkąd zaczynać dzieje filozofii? Przeważna część autorów rozpoczyna je od Greków; p. Straszewski jest innego zdania, motywując je tém, że gdziekolwiek umysł ludzki zmierzał do objęcia całości istnienia, tam mamy już do czynienia z filozofią—a więc u narodów wschodnich, w ich mytologii mamy początek filozofii. „Z pojęcia filozofii nie wynika wcale, aby musiała opierać się na zupełnie samoistnych, a od religii niezależnych podstawach. Nie było bo-

wiem nigdy takiéj filozofii, którąby była potrafiła wyswobodzić się całkowicie z pod wpływu rozpowszechnionych wśród społeczeństwa wyobrażeń religijnych" (17). Co na to odpowie Holbach i *Système de la Nature*?

Jak podzielić cały wątek dziejów filozofii? Okresy zaprowadzone po książkach i zastosowane mniéj więcéj do podziału dziejów powszechnych nie podobają się autorowi; dopatrzył on w rozwoju myśli filozoficznéj trzy typy: europejski, chiński i indyjski (22), a zatém według nich postanowił ugrupować materyał dziejowy. Już we wspomnianéj rozprawie o pesymizmie w Indyach, wyraził p. S. takie samo zapatrywanie na owe typy. Że fantazya Chińczyka, Indusa lub Europejczyka może tworzyć poetyczne obrazy odmiennego kolorytu, że témsamém można poniekąd upatrywać jakby typy w poezyach tych ludów, łatwo się zgodzić; trudniéj przypuścić, ażeby rozumowanie i wnioskowanie jednakowo i gruntownie ukształconych ludzi mogło być innego typu w Indyach, niż w Krakowie. Nie uprzedzajmy jednak wykonania całego dzieła; zobaczymy jak je autor przeprowadzi, a wtedy może zmienimy nasz sąd zarówno o téj części jak i innych rozdziałach jego pracy.

Język polski trąci jeszcze u p. Straszewskiego galicyanizmem, znać jednak postęp w porównaniu z dawniejszémi utworami tegoż autora; w pierwszym zeszycie *Dziejów Filozofii*, pisanych zresztą dość poprawnie ze swadą retoryczną, spotkaliśmy niewiele dziwolągów, które notujemy dlatego, by poważne dzieło poważnie w dalszym ciągu wyglądało. I tak, pisze autor: *pierwiej* zgromadzić; *punkty* widzenia; nie możemy uwzględniać *jedne* kierunki; *odpowiedny* podział; wielu *zadowolało* się twierdzeniem; *najpierwsi* chrześcianie (byłoby dość pierwsi); Orygines, zamiast Orygenes; Grzegorz z *Nazianz*, zamiast utartego z Nazyanzu lub nazyanzeński; najlepszym *na to* dowodem jest Dante; potrzeba historyi filozofii z każdym rokiem (*mit jedem Jahre*) staje się bardziéj *piekącą*. Nie jest to całkowity wykaz galicyjskiego żargonu, ale jak na 64 stronnic i tego starczy.

Należy przeprosić czytelnika i autorów za te litanie błędów językowych; musimy się wzajem pilnować, gdyż corok prawie gorzéj się dzieje: nietylko nie mamy o czém, ale i nie umiemy pisać porządnie.

Kr.





NASZ KREDYT ZIEMSKI.

J. Kirszrot-Prawnicki: Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w Królestwie Polskiém. Warszawa, 1887, nakł. Lewentala.

Największy nawet optymista w poglądzie na stosunki nasze przyznać musi, że oryginalnych prac naukowych, z prawdziwą znajomością rzeczy napisanych, przemyślanych i przetrawionych gruntownie, pojawia się u nas obecnie bardzo mało. Najszczęśliwsze jeszcze w tym względzie są nauki matematyczne i przyrodnicze, najbardziéj zaś, zdaje się, upośledzone—społeczne. Wprawdzie domorosłych, a więcéj jeszcze może wiatrami, z kierunkiem biegu słońca zgodnymi, nawianych ekonomistów i socyologów mamy tak wielu, że co krok niemal trafiasz na społecznika, ale barłóg pseudonaukowy, obficie przez tych rycerzy „nowych idej" produkowany, przynosi piśmiennictwu i społeczeństwu naszemu raczéj szkodę, aniżeli pożytek. I nie może być inaczéj wobec tego, że panowie ci nie mają najczęściéj najelementarniejszego pojęcia o téj nauce, w imieniu któréj hałaśliwie i buńczucznie szermują, ani o tych kwestyach, które jedném cięciem śmiałego frazesu rozstrzygają.

Wobec takich stosunków, każda praca na gruntownych studyach oparta i pożyteczną, obywatelską myślą natchniona, na tém większe zasługuje uznanie, im rzadszém jest zjawiskiem, a na recenzentów wkłada obowiązek gorącego i dokładnego jéj zarekomendowania ogółowi. Obowiązek ten pragniemy jak najszczerzéj, o ile nam siły i miejsce pozwolą, wypełnić względem książki p. J. Kirszrota-Prawnickiego, wymienionéj w nagłówku. Autor występuje przed forum czytającéj publiczności nie po raz pierwszy i cieszy się już oddawna dość powszechném uznaniem jako pracownik sumienny i pożyteczny. Ostatni jego utwór słuszność tego uznania w zupełności potwierdza. Rozpada się on na dwie nierówne czę-

ści, z których pierwsza, mniejsza, poświęcona jest wykładowi ogólnych pojęć i zasad teoryi kredytu, jego znaczenia, podziału i organizacyi, oraz szczegółowszemu rozbiorowi kredytu rolnego, który podzielony został na trzy główne kategorye: 1) *kredyt ziemski*, zabezpieczony na kapitale stałym (ziemi i budowlach); 2) *kredyt rolniczy rzeczowy*, oparty na kapitale ruchomym, według nomenklatury Supińskiego—miejscowym (inwentarz roboczy żywy i martwy), oraz 3) *kredyt rolniczy osobisty*, opierający swe bezpieczeństwo podobnie jak kredyt kupiecki na ogólnym majątku dłużnika. Część druga dzieła, znacznie obszerniejsza od pierwszéj, zajmuje się przedstawieniem i krytyką organizacyi naszego Towarzystwa kredytowego ziemskiego z uwzględnieniem porównawczém innych tego rodzaju instytucyi zagranicznych i rosyjskich.

Ogólna część teoretyczna ma na celu przygotowanie nieobeznanych z rzeczą czytelników do zrozumienia części drugiéj. Stosownie téż do tego założenia autor stara się tu być o ile możności jasnym i dostępnym, trzyma się dróg utartych i poglądów powszechnie przyjętych, unikając kwestyi spornych i poprzestając na daniu najniezbędniejszych tylko elementarnych pojęć o tych rzeczach, które nie mają bezpośredniego ścisłego związku z przedmiotem głównym dzieła. Z tego powodu nie będziemy się wdawali z p. K. Prawnickim w teoretyczne spory, chociażbyśmy się na niektóre jego poglądy w zupełności nie pisali. Owszem zaznaczamy chętnie, że wogóle starania jego uwieńczone zostały pożądanym skutkiem, dzięki czemu każdy przeciętnie wykształcony człowiek może jego książkę przeczytać ze zrozumieniem i niewątpliwą korzyścią. Uważamy jednak za potrzebne zwrócić uwagę na jednę usterkę w nietrafnym wyborze przykładu i jednę kwestyą niewyjaśnioną, która musi uderzyć każdego myślącego czytelnika. Autor zbija „rozpowszechnione mniemanie, jakoby kredyt tworzył kapitały i jakoby z powiększeniem się środków kredytowych powiększała się jednocześnie masa kapitałów.“ Na dowód błędności tego mniemania przytacza przykład z czasów wielkiéj rewolucyi francuskiéj. Zgromadzenie ustawodawcze, mianowicie dla przyjścia w pomoc zrujnowanemu skarbowi, postanowiło zabrać i sprzedać na rzecz państwa dobra duchowne. „Sprzedaż jednak tych dóbr odbywała się nader leniwo, już to z powodu braku kapitałów, już téż z obawy, aby przewidywana kontr-rewolucya nie uchyliła powyższego postanowienia i nie zwróciła duchowieństwu skonfiskowanych majątków.“ Dla szybszego przeto zebrania potrzebnych funduszów zadekretowano natychmiastową emisyą papierów, zwanych asygnatami i reprezentujących wartość dóbr poduchownych. Papiery te miały być

przyjmowane za gotówkę przy nabywaniu owych dóbr. „Ponieważ jednak mało było chętnych do zakupywania dóbr poduchownych, przeto i asygnaty nie miały powodzenia“ i kurs ich spadł do tego stopnia, że za parę butów płacono 20,000 liwrów w asygnatach. Przykład ten musi nasunąć czytelnikowi wniosek, iż gdyby się nie obawiano kontr-rewolucyi i dobra poduchowne znajdowały chętnych nabywców, a asygnaty skutkiem tego osiągnęły kurs dobry, to „masa kapitałów w społeczeństwie“ zostałaby powiększona, czyli przykład przywiedziony przez autora obaliłby jego twierdzenie. Nie wyjaśnił nam też p. K. P., jak godzi swoje zapatrywanie na bezsilność kredytu w tworzeniu kapitałów z tym faktem, że banki biletowe, wypuszczając banknoty, potrzebują trzymać w kasie na ich pokrycie w gotowiźnie metalicznéj tylko część ich sumy, znajdującéj się w obiegu. Boć dowiedziawszy się naprzykład, że Niemiecki Bank Państwa, mając w kasie 100 milionów marek w złocie, może wypuścić 300 milionów marek w banknotach, obiegających *al pari*, musi czytelnik dojść do przekonania, że bank ten powiększa tym sposobem masę kapitałów w społeczeństwie o 200 mil. marek?

Z ogólnéj części teoretycznéj winniśmy tu jeszcze podnieść słuszne wystąpienie autora przeciwko cieszącemu się u nas szerokim obiegiem, a błędnemu na wskróś mniemaniu, powtórzonemu nawet w konkursowéj rozprawie p. Gustawa Plewaki na temat: *Jak prowadzić gospodarstwa*, że „gdzie nie ma kredytu, opartego na podstawie pożytecznéj i umiarkowanéj, tam niema potrzeby dbać o jego zachowanie przez regularność w wypłatach, bo czy tak, czy owak lichwy uniknąć nie można.“ Twierdzenie to należałoby właściwie odwrócić i powiedziéć, że gdzie się nie dba o zdobycie zaufania wierzycieli przez regularność w wypłatach, tam nie może być kredytu, na warunkach dogodnych i umiarkowanych, tam musi panować lichwa. Słusznie też autor mówi: „Nieregularność wypłat ze strony dłużnika, która wedle powyższéj teoryi jest dozwolona jako *skutek* złego kredytu, stanie się *przyczyną* jego utrwalenia i uwiecznienia; lichwy nie usuwa się przez zatracenie jednego z najważniejszych warunków zdolności kredytowéj, jakim jest uczciwość, ale się ją przez to potęguje.“ Smutna rzecz, że takich oklepanych prawd ekonomicznych bronić dziś jeszcze u nas potrzeba!

Szczegółowiéj opracowany dział kredytu rolnego mieści wiele cennych dla ziemian naszych wskazówek, o jakie reformy w prawodawstwie i procedurze sądowéj starać by się winni dla wzmocnienia swojéj zdolności kredytowéj. Przedewszystkiém więc zwraca tu autor uwagę na szkody, jakie wyrządzają rolnikom artykuły 520, 521 i 524 kodeksu Napoleona. Mocą tych artykułów, wszystkie

prawie ruchomości gospodarstwa wiejskiego zostały sztucznie przykute do gruntu, przez co uniemożliwiony został prawie zupełnie kredyt rolniczy, oparty, jak już wyżéj powiedzieliśmy, na zastawie ruchomym. Gdyby przynajmniéj wzamian za to wzmocniony został kredyt ziemski, gdyby inwentarze, zbiory i t. p., nie mogąc być oddane w zastaw ruchomy, stały się przedmiotem hipoteki, wzmiankowana szkoda zostałaby wynagrodzona. Tak jednakże nie jest, bo prawo ludzkie nie może zmienić natury rzeczy. Cokolwiekbądź-by opiewały postanowienia kodeksu, do księgi hipotecznéj, będącéj kontrolą praw nieruchomych, nie można wnieść zboża, które jutro wywiezione będzie z granic nieruchomości, a tém mniéj konia, którego, jak mówi p. K., nawet wyprowadzać nie potrzeba, bo sam zbiedz może. Skutkiem takiego stanu rzeczy, cała wartość ruchomego majątku gospodarczego, jako podstawa kredytu, dla rolnika ginie, gdyż nie może być przedmiotem ani zastawu, ani hipoteki, nie może służyć za bezpieczeństwo ani dla kredytu ziemskiego, ani rolniczego. Prawodawca naturalnie krzywdy téj rolnictwu wyrządzić nie chciał, przeciwnie, miał właśnie na celu jego dobro. Szło mu mianowicie o to, aby nie pozwolić na pozbawienie rolnika środków i narzędzi produkcyi, aby w razie poszukiwania sądowego nie mogły one być aresztowane, zajmowane i z gruntu uprowadzone jako ruchomości. Opieka ta wszakże w wielu wypadkach okazuje się szkodliwą, gdyż jakkolwiek wprawdzie broni ziemianina od utraty na rzecz wierzycieli posiadanych przez niego środków gospodarczych, to z drugiéj strony utrudnia mu, jeżeli nie uniemożliwia nabycie ich w razie braku gotówki. Do reszty wreszcie zabija u nas kredyt rolniczy prawo o zastawie, stanowiące, że „przywiléj na zastawie ruchomym służy tylko o tyle, o ile zastaw *był i pozostawał w ręku wierzyciela*, lub osoby trzeciéj, na którą strony się zgodziły.“ (Art. 2076 kod. cyw. franc.). Artykuł ten wywołała dbałość o interes wierzyciela, a mianowicie obawa, ażeby przedmiot zastawu, pozostając w ręku dłużnika, nie został powtórnie zastawiony, sprzedany, lub w jakikolwiek inny sposób usunięty. Tym sposobem wszakże pożyczki na zastaw zostały rolnikom niejako wzbronione, gdyż ziemianin dla uzyskania takiéj pożyczki musiałby się pozbawić środków lub narzędzi produkcyi, bez których w gospodarstwie obejść się nie może. W celu usunięcia téj zawady należałoby dozwolić na pozostawianie zastawu w rękach dłużnika *(gage à domicile)*, dla zapobieżenia zaś wzmiankowanym wyżéj nadużyciom z jego strony naznaczyć za nie surowe kary kryminalne i ustanowić dozór nad zastawionemi przedmiotami! Najskuteczniejszym jednakże środkiem zabezpieczenia wierzyciela byłoby, zdaniem autora,

urządzenie kontrol na wzór ksiąg hipotecznych, do których-by zapisywano wszelkie przywileje, uzyskiwane na ruchomościach. „Takie kontrole, umieszczone, czy to w dzisiejszych archiwach hipotecznych, czy téż w sądach pokoju, lub urzędach gminnych, uczyniłyby zastawy jawnemi dla osób trzecich, wchodzących w stosunki z zastawnikiem.“

Dla wzmocnienia i rozszerzenia osobistego, a zwłaszcza wekslowego kredytu ziemian radzi autor zawiązywanie *spółek kredytowych rolniczych*, mających na celu wzajemne poręczanie za siebie stowarzyszonych i solidarną ich odpowiedzialność w granicach sumy dla każdego z członków przez spółkę z góry oznaczonéj. Jako wzór do organizacyi podobnych kółek kredytowych poleca p. K. istniejącą od r. 1879 spółkę obywateli powiatu Janowskiego. Zadaniem jéj jest pośredniczenie pomiędzy stowarzyszonymi właścicielami ziemskimi i dzierżawcami, a Warszawskiém Towarzystwem Wzajemnego Kredytu, które udziela im pożyczek do oznaczonéj wysokości za solidarném poręczeniem spółki. Z postępem czasu przez połączenie takich kółek mogłaby się wytworzyć niezależna instytucya centralna, która, zamiast pośredniczenia tylko pomiędzy wierzycielami i dłużnikami, zaopatrzyłaby się, czy to za pomocą akcyi, czy na zasadzie wzajemności, we własny kapitał na potrzeby rolnictwa.

Powiedzieliśmy już, że większą część swéj pracy poświęcił autor Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu. W obrazie téj instytucyi wszakże zwraca p. Kirszrot głównie uwagę na przedstawienie i rozbiór zasad, jakiemi się ona kieruje, stawiając na dalszym planie, lub pomijając nawet zupełnie środki ich wykonania. Jest to ważny brak dzieła. Nie można jednakże robić z tego zarzutu autorowi, gdyż nie będąc członkiem T-stwa, nie mógł się on dostatecznie oznajomić z jego machanizmem, by go dokładnie przedstawić i krytycznie ocenić. W takich razach człowiek sumienny woli zawsze rzeczy nie dotykać, aniżeli ją spaczyć. Dobrze więc zrobił autor, że postąpił w myśl téj zasady, jakkolwiek pomimo to brak nie przestaje być brakiem, i dlatego byłoby rzeczą bardzo pożądaną i pożyteczną, zwłaszcza wobec głośnéj obecnie sprawy dewastacyi dóbr na sprzedaż przymusową wystawianych i zarzutów czynionych z tego powodu bezradności władz Towarzystwa, ażeby ktoś bliżéj z jego działalnością oznajomiony rozpatrzył szczegółowo pominiętą przez p. Kirszrota jéj stronę w osobnéj pracy.

Rzecz swoję o Towarzystwie podzielił autor na 12 rozdziałów. W pierwszym z nich kreśli dzieje powstania i rozwoju instytucyi; w drugim przedstawia zasady, określające prawo uczestniczenia

w niéj, i faktyczny udział własności większéj, średniéj i drobnéj, oraz dóbr narodowych, korporacyi i spółek; w trzecim zajmuje się wysokością przyznawanych pożyczek, sposobami jéj ustanawiania i środkami zabezpieczenia należności T-stwa. Rozdział czwarty traktuje o listach zastawnych, o ich kursie, o walucie, w jakiéj są płatne, o projekcie ich metalizacyi i środkach zabezpieczenia właścicieli listów od wypadkowéj ich utraty. Rozdziały V, VI i VII poświęcone są sprawie umarzania pożyczek, wycofywania z obiegu listów zastawnych i odpowiedzialności stowarzyszonych i Towarzystwa. Rozdział VIII opowiada o pomocy rządu i kredycie Banku Polskiego, udzielonym T-stwu w chwilach dla niego krytycznych. Daléj mówi autor o oszczędnościach i funduszu rozerwowym T-stwa o jego administracyi i przywilejach, wreszcie w rozdziale ostatnim podaje wiadomości statystyczne o operacyach T-stwa, o wartości i dochodach zastawionych dóbr itp. Jak widzimy z tego krótkiego spisu, treść dzieła p. K.-P. jest bardzo bogata i pouczająca, zwłaszcza, że wszędzie przetyka ją autor swojemi uwagami i radami, zaczerpniętemi z doświadczenia innych tego rodzaju instytucyi zachodnio-europejskich i rosyjskich. Nie możemy tutaj podnieść wszystkich tych spostrzeżeń autora, które na zaznaczenie zasługują, gdyż brak nam na to miejsca. Ograniczymy się więc tylko do ważniejszych i najbardziéj do przekonania nam trafiających, lub przeciwnie—spornych.

Do tych ostatnich zaliczamy obronę zasady solidarnéj odpowiedzialności właścicieli oddzielnych części dóbr rozparcelowanych za spłatę ciążącego na tych dobrach długu Towarzystwa kredytowego. Władze T-stwa odrzucają tę zasadę z uwagi na to, że w razie niewypłacalności jednego z takich solidarnych nabywców cząstkowych, potrzeba egzekwować wszystkich jego wspólników, którzy w niczém nie zawinili. Że obawa takich wypadków jest usprawiedliwiona, dowodzi praktyka rosyjskiego Banku włościańskiego, o czém sumienny autor sam wzmiankuje. A wszakże wśród ludu rosyjskiego dzięki „obszczynie“ i „artelom“ poczucie solidarności daleko głębsze zapuściło korzenie, aniżeli u nas, gdzie stosunki gospodarcze rozwinęły w ludzie w wysokim stopniu ducha indywidualizmu. Czyby więc nie lepiéj było, zamiast dokonywać prób zawodnych i rujnujących niewinnie, w razie niepomyślnym, ludzi pracowitych i oszczędnych, zmienić przepisy ustawy T-stwa tak, ażeby rozdział jego należności, ciążącéj na dobrach parcelowanych, mógł być dokonywany przed ich sprzedażą? Podzielamy natomiast w zupełności ujemne zdanie autora o przepisach, zamieszczonych w projektach nowéj ustawy z r. 1882 i 1885, a stanowiących, że dobra,

które na mocy zasad taksacyjnych nie będą mogły otrzymać pożyczki w ilości przynajmniéj 500 rubli, do korzystania z kredytu Towarzystwa dopuszczone nie będą. Postanowienie to pozbawiłoby taniego kredytu wszystkie posiadłości ziemskie, mające mniéj niż 1000 rs. wartości, czyli, według cen taryfowych, zamieszczonych w przepisach taksacyjnych, obejmujące mniéj niż 15 do 20 morgów gruntu. Byłby to nieuzasadniony niczém, a szkodliwy dla ruchu parcelacyjnego i drobnéj własności wogóle krok wstecz od przepisów obowiązujących obecnie, które dopuszczają do uczestnictwa w towarzystwie wszystkie dobra, byleby na nie mogła być udzielona pożyczka w sumie rs. 100, tj. w kwocie najmniejszéj, na jaką list zastawny wystawiony być może.

W sprawie szacowania dóbr na podstawie mnożnika z podatku gruntowego, lub szczegółowéj taksy, zajmuje autor stanowisko pośrednie i jakkolwiek systematowi drugiemu przyznaje teoretycznie wyższość, nad każdym innym, to jednakże ze względów praktycznych, a mianowicie dla uniknienia znacznych kosztów, jakie taka dokładna ocena wartości majątku za sobą pociąga, robi pewne ustępstwo na rzecz mnożnika. Ponieważ przeciwko szacunkowi podatkowemu przemawia z jednéj obawa, ażeby właściciel przez umyślne powiększenie podatku nie uzyskał pożyczki za wysokiéj w stosunku do rzeczywistéj wartości swego majątku i swojéj zdolności kredytowéj, z drugiéj strony niedokładność oceny, wynikająca z różnicy zasad, jakiemi kieruje się rząd przy stanowieniu podatku i jakie przewodniczyć winny Towarzystwu przy udzielaniu kredytu, gdyż kiedy pierwszy uwzględnia tylko grunt, ziemię, drugie, udzielając pożyczkę, musi obok ziemi brać zarazem w rachubę jéj kulturę: stan inwentarza, budowle, położenie dóbr, komunikacye, sąsiedztwo miast itp.; więc w razach kiedy właściciel majątku pragnie dotrzeć do ostatecznych granic kredytu, jaki mu przysługiwać może, domaga się autor koniecznie szacowania na podstawie szczegółowéj taksy i przyjęcia jéj za jedyną normę przy ustanawianiu wysokości pożyczki, na którą już w takim razie regulator z mnożnika podatku, jako mniéj dokładny, żadnego wpływu wywierać nie powinien. Za to w wypadkach, kiedy właściciel dóbr poprzestaje na pożyczce stosunkowo nie wysokiéj, która w przybliżeniu może mu być przyznaną z wszelkiém dla instytucyi bezpieczeństwem, nie widzi p. K. żadnéj potrzeby narażania go na koszta sporządzania szczegółowéj taksy, jak tego żądają projekty nowéj ustawy Towarzystwa z r. 1882 i 1885, lecz idąc za wzorem Towarzystwa Szląskiego, zaleca w takich razach, zdaniem naszém słusznie, ograniczać się na szacunku podatkowym.

Mówiąc o zabezpieczeniu pożyczek, udzielanych przez T-stwo, zwraca autor uwagę na jedną z krętych ścieżek, przez którą niesumienni dłużnicy mogą usunąć część zastawu z pod rękojmi hypotecznéj. Ścieżkę tę otworzył art. 12 prawa o uwłaszczeniu z r. 1864, stanowiący, iż służebności włościańskie mogą być uchylone na mocy zobopólnéj ugody właściciela dóbr z włościanami. Umowy te ulegają zatwierdzeniu władz włościańskich, ale wyjęte są z pod kontroli zwierzchności hypotecznych. O ile umowy takie odbywają się uczciwie wierzyciele hypoteczni nie ponoszą żadnéj straty, gdyż o ile oddana włościanom wzamian za służebności część gruntu dworskiego zmniejsza wartość dóbr, o tyle za to podnosi ją zwolnienie pozostałéj przestrzeni od uciążliwych i krępujących gospodarstwo zobowiązań. Inaczéj jednakże mają się rzeczy w tych wypadkach, kiedy z wolności powyższéj korzystają ludzie złéj wiary dla odprzedania miejscowym włościanom części dóbr pod pozorem wymiany służebności, a rzeczywiście za tajemném otrzymaniem od nich szacunku sprzedażnego. Dla zapobieżenia tego rodzaju nadużyciom, umowy o zniesienie służebności powinnyby być rozpatrywane przez Towarzystwo kredytowe z prawem ich odrzucenia, lub zatwierdzenia. „Właściciel wierzytelności hypotecznéj, mówi autor, na sumę przeszło stu milionów rubli, jakim jest Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, ma bez zaprzeczenia prawo interweniowania w sprawach, całość jego zastawu obchodzących. Wierzyciel ten, wiedzący aż nadto dobrze, o ile korzystnie wpływa na stan rolnictwa, a tém samém na wartość zastawionych mu dóbr, usunięcie ciążących na nich służebności, daje dostateczną rękojmię, że nie będzie tamował umów, mających na celu istotną zamianę służebności, a kłaść będzie swoje *veto* tylko w wypadkach rzeczywistéj obrazy prawa i słuszności.“

Nie mniéj słuszne i rozumne są uwagi autora o projekcie metalizacyi listów zastawnych, podniesionym przez pewne koło uczestników Towarzystwa przed kilkoma laty i mającym podobno do dziś dnia, pomimo tak fatalnego zawodu dla ich wiary w podniesienie się kursu rubli kredytowych, wytrwałych zwolenników. Ponieważ jednak i „Ateneum“, przez usta d-ra Milewskiego (1), i autor recenzyi niniejszéj (w Gazecie Polskiéj) wypowiedzieli już zdanie swoje o téj kwestyi w tym samym duchu, co p. Kirszrot, przeto argumentów jego powtarzać tu nie będziemy.

Pomijając wiele innych drobniejszych kwestyi, podniesionych przez szanownego autora, przechodzimy do najważniejszego z jego

(1) Patrz „Ateneum“ r. 1885, t. I. 169—181.

projektów, a mianowicie: zamiany obecnych listów zastawnych, których umorzenie musi się odbyć w określonym z góry terminie, na listy zastawne beztermionowe. Projekt ten ma na celu uchronienie uczestników Towarzystwa kredytowego od ponoszenia znacznych kosztów konwersyi listów zast. jednéj seryi na drugą, przy odnawianiu pożyczek. Ustawa bowiem T-stwa kred. ziems. dozwala jego uczestnikom, po spłaceniu $^1/_{10}$ części pożyczki, żądać jéj odnowienia do wysokości sumy umorzonéj. Otóż nowacya taka nastręcza przy listach terminowych jednę ważną trudność. Jak to czytelnikom zapewne wiadomo, 5% listy zastawne Towarzystwa kred. ziems. winny być umorzone, według obecnéj ustawy, w ciągu lat 36½ od daty ich wystawienia. Dla zadość uczynienia temu wymaganiu dłużnik przez cały okres amortyzacyi opłaca co pół roku po 3 rs. za każde 100 rs. pobranéj pożyczki. Z tych 3 rs. w pierwszéj racie przypada na procent 2 rs. 50 kop., na umorzenie zaś kapitału 50 kop. W każdéj jednak następnéj racie kwota idąca na opłacenie procentu zmniejsza się, dzięki zmniejszaniu się dłużnego kapitału przez poprzednią ratę amortyzacyjną, kwota zaś przypadająca na umorzenie reszty długu skutkiem tego odpowiednio wzrasta. Kiedy więc dłużnik, który zaciągnął np. 100.000 rs. pożyczki, spłaciwszy po latach dziewięciu 10.500 rs., chce tę sumę pobrać napowrót, zjawia się przed nim alternatywa wyboru: albo pożyczkę nową uważać za dług oddzielny i spłacać go osobnemi ratami po 315 rs. półrocznie przez lat 36½, skutkiem czego do czasu zupełnego umorzenia pożyczki pierwotnéj, czyli przez lat 27½ będzie musiał płacić po 3.315 rs., na co mu środków może nie starczyć, albo też zlać pożyczkę nową z nieumorzoną resztą dawnéj (10.500 + 89.500 = 100.000) i wnosić na ich spłatę po 3000 rs. przez dalsze 73 półrocza. Występuje tu wszakże ta trudność, że jak powiedzieliśmy, kwoty przypadające na amortyzacyą kapitału w ratach pierwszych są mniejsze, aniżeli w dalszych, T-stwo więc otrzymywałoby po odnowieniu pożyczki na amortyzacyą długu mniej, aniżeliby wydawać musiało dla umorzenia reszty pożyczki pierwotnéj (89.500 rs.) w czasie oznaczonym, czyli w ciągu lat 27½. Dla wyjścia z téj trudności niema przy listach terminowych innéj drogi nad t. zw. *konwersyą* długu, dokonywaną w ten sposób, że Towarzystwo wykupuje najprzód na koszt dłużnika pozostałą od umorzenia sumę (w rozpatrywanym przez nas wypadku—89.500 rs.) listów zastawnych téj seryi, w któréj była udzielona pierwotna pożyczka, a następnie puszcza w obieg takąż samę sumę listów seryi nowéj, w któréj wydaje dłużnikowi pożyczkę odnowioną. Ponieważ zaś listy zastawne ostatniéj seryi, stoją zawsze w kursie niżéj o 1 do 2 i 3% od seryi dawniejszych, więc od-

nawiający pożyczkę ponosi na téj operacyi bardzo znaczną stratę już bowiem przy różnicy kursów tylko o 1% za konwersyą 89,500 rs. musi zapłacić 895 rs., czyli około 9% od nowéj pożyczki. Przy różnicy zaś kursów o 3% traci tym sposobem aż 27% pożyczki odnowionéj!

Strat tych mogliby dłużnicy uniknąć, gdyby Towarzystwo, jak to czyni wiele tego rodzaju instytucyi zagranicznych, wydawało listy bezterminowe, to jest gdyby się nie zobowiązywało do wykupienia swych obligacyi w terminie ściśle oznaczonym, lecz jedynie do wykupywania ich w miarę i w stosunku wpływu kwot na amortyzacyą, przypadających z rat, opłacanych przez dłużników. Przy takiém urządzeniu dłużnik, odnawiający spłaconą część pożyczki, nie potrzebowałby konwertować nieumorzonéj reszty pierwotnego długu, gdyż Towarzystwo miałoby prawo przedłużyć odpowiednio termin spłaty listów, w których wydało mu owę pierwotną pożyczkę. Chodzi tylko o to, czy listy bezterminowe cieszyłyby się równie dobrym kursem jak obecne? Na pytanie to daje p. Kirszrot odpowiedź stanowczo twierdzącą, a argumenty jego trafiają nam w zupełności do przekonania. „List zastawny—mówi on—nie jest papierem spekulacyjnym, lecz lokacyą dla kapitałów, szukających bezpieczeństwa przy umiarkowanym procencie. Gdzie pożyczka publiczna połączona jest ze znaczną wygraną, tam widoki losowania odgrywają ważną rolę i wpływają znacznie na kurs; gdzie zaś losowanie papieru ma jedynie na celu wypłatę kapitału *al pari*, tam widoki losowania na kurs wpływu nie wywierają. Co najwyżéj wpływ ten czuć się daje przy końcu okresu amortyzacyjnego, kiedy w obiegu znajduje się już niewielka ilość listów i jest znaczna szansa wylosowania; na początku zaś okresu i w jego biegu nadzieja zyskania w ciągu kilkudziesięciu lat kilku procentów nie wpływa bynajmniéj na chęć kupna, a właśnie chwila rozpoczęcia się okresu, kiedy listy realizowane są przez stowarzyszonych, jest pod względem kursu najważniejsza tak dla Towarzystwa, jak i jego uczestników. Gdyby kupujący list zastawny nie miał innego widoku zrealizowania go nad losowanie, gdyby zmuszony był czekać przez lat czterdzieści na szczęśliwy traf wyjścia jego numeru z koła, toby nikt listu zastawnego do ręki nie brał; powodem, dla którego list zastawny jest pokupny, nie jest bliższy lub dalszy termin jego amortyzacyi, ale obok bezpieczeństwa lokacyi, możność zrealizowania go każdéj chwili na giełdzie, codzienne jego notowanie na cedule giełdowéj.“

Winniśmy zaznaczyć, że Towarzystwo nasze ma widocznie zamiar przejść do listów bezterminowych, gdyż w projekcie nowéj ustawy z r. 1885 zamieściło artykuł, otwierający mu możność wstą-

pienia na tę drogę. Artykuł ten opiewa: „Listy zastawne wypuszczane będą seryami z określonym terminem trwania, *albo bez określenia tego terminu.*"

W sprawie odpowiedzialności Towarzystwa i jego uczestników rzuca autor również wiele cennych uwag i wskazówek. Według ustawy obecnéj, za opłaty przypadające T-stwu z danych dóbr odpowiadają same tylko dobra. Na całym majątku dłużnika wszelkiego rodzaju wtedy tylko T-stwo poszukiwać może swojéj należności, jeżeli zastawiony majątek zrujnowany został skutkiem *złéj woli* dłużnika, w każdym zaś innym wypadku, choćby nawet dłużnik zawinił w deprecyacyi swych dóbr, przez niedbalstwo, lekkomyślność, marnotrawstwo i t. p. straty, wynikłe ztąd dla T-stwa przy subhastacyi dóbr, pokryć musi samo T-stwo. Otóż p. Kirszrot słusznie gani ten porządek rzeczy, domagając się odpowiedzialności dłużnika z całego jego majątku osobistego w każdym takim wypadku, gdzie powodem zrujnowania dóbr nie są wady w nich samych tkwiące, lub siła wyższa, ale wina dłużnika bez względu na to, czy w niéj zła wola udział brała, czy nie. „Dlaczego dłużnik — zapytuje autor — który przez swoje błędy zmarnował majątek do tego stopnia, że Towarzystwo pożyczki swojéj nie odzyskało, gdy następnie przez spadek lub los zbogaci się, nie ma Towarzystwu zwrócić tego, co inni stowarzyszeni za niego zapłacić musieli?"

Odpowiedzialność Towarzystwa naszego, wziętego jako całość, wobec wierzycieli opiera się na jego funduszu rezerwowym, daléj na wszelkiéj ruchoméj i nieruchoméj własności T-stwa i wreszcie na ogólnéj odpowiedzialności wszystkich stowarzyszonych dóbr. *Ogólna* ta *odpowiedzialność* wszakże nie jest, według p. K., dość dokładnie ustawą określona, a co ważniejsza — o ile jest iluzoryjna odnośnie do dóbr wysoce obdłużonych, o tyle znów niebezpieczna i groźna dla uczestników zamożniejszych. Gdyby bowiem T-stwo stało się niewypłacalném, to niedobór musiałby zostać pokryty przez stowarzyszonych. Ponieważ zaś ci z nich, których dobra byłyby bardzo wysoko obdłużone, nie mogliby uczynić zadość przyjętéj na siebie odpowiedzialności, przeto stosownie do artykułu 62 prawa z r. 1869, który stanowi, że zaciągający pożyczkę na dobra poddaje je odpowiedzialności ogólnéj za *wszystkie* zobowiązania Towarzystwa, stowarzyszeni wypłacalni musieliby pokryć cały niedobór, co wielu z nich doprowadziłoby do ruiny zupełnéj, a wszystkich naraziło na podjęcie na siebie bez żadnéj winy nadmiernych i niesprawiedliwych ciężarów. Z drugiéj znów strony, pomimo téj tak groźnéj dla dłużników wypłacalnych i pięknie brzmiącéj „odpowiedzialności ogólnéj", dzięki artykułowi 67 obowiązującéj ustawy i prawa

wierzycieli nie są dostatecznie zabezpieczone. Artykuł ten bowiem opiewa, że odpowiedzialność wszystkich dóbr rozkłada się *pro rata parte* nie w stosunku całej pierwotnie zaciągniętej pożyczki, lecz tylko w stosunku tej jej części, jaka okaże się nieumorzoną w dacie pociągnięcia dóbr do odpowiedzialności. Tym sposobem przezorniejsi i zamożniejsi uczestnicy T-stwa w razie złego stanu jego interesów mogliby spłacić przed terminem swoje pożyczki i od odpowiedzialności ogólnéj się uchylić, co o ile jeszcze bardziéj powiększyłoby ciężar téj odpowiedzialności dla pozostałych uczestników wypłacalnych, o tyle by znów zmniejszyło bezpieczeństwo praw wierzycieli. Dla usunięcia tych złych stron obecnego porządku ogólnéj odpowiedzialności dłużników, radzi ją autor uregulować w ten sposób, jak to uczyniło Towarzystwo kredytowe Nowo-Brandeburskie. Stanowi ono mianowicie, że w wypadkach potrzeby realizowania ogólnéj odpowiedzialności, Towarzystwo ma prawo przypadające z tego tytułu od stowarzyszonych należności ściągać z funduszu amortyzacyjnego i umarzanie pożyczek, jak również losowanie listów zastawnych wstrzymać tak długo, dopóki należności powyższe zupełnie pokryte nie zostaną. Ażeby jednak odpowiedzialność ogólna mogła być w taki sposób realizowana, potrzeba na to dwóch warunków: 1) Wyjednania w drodze prawodawczéj postanowienia, że do wysokości wpisu, na rzecz Towarzystwa do księgi hipotecznéj wniesionego, służy T-stwu prawo i przywiléj z tytułu wszelkich należności, z jakiegokolwiek źródła przypadać mu mogących, a to aż do czasu zupełnego umorzenia pożyczki i bez względu na to, jaka jéj część umorzona już została. 2) Wprowadzenia na miejsce dzisiejszych listów zastawnych, listów zastawnych bezterminowych, gdyż inaczéj nie mogłoby T-stwo odraczać terminu ich wylosowania, a więc i realizować odpowiedzialności ogólnéj z funduszu amortyzacyjnego. Listy więc bezterminowe oddałyby jeszcze jednę przysługę stowarzyszonym oprócz uchronienia ich od potrzeby konwersyi przy odnawianiu pożyczek.

Za najlepszy wszakże i najdogodniejszy dla Towarzystwa sposób zabezpieczenia praw wierzycieli uważa p. Kirszrot powiększenie funduszu rezerwowego do $1/10$ części sumy wszystkich pożyczek i zniesienie natomiast odpowiedzialności ogólnéj. Niestety w tym względzie nie możemy się zgodzić z szanownym autorem, gdyż obawiamy się, że usunięcie téj odpowiedzialności mogłoby zachęcić T-stwo do zbytniego ryzyka w udzielaniu kredytu i uczynić je mniéj ostrożném przy określaniu wysokości przyznawanych pożyczek. Odpowiedzialność ogólna uregulowana w ten sposób, jak to proponuje autor, nie będzie zbyt groźna dla stowarzyszonych, bo rozdzieli się

rzeczywiście na wszystkich *pro rata parte*, a będzie dla Towarzystwa doskonałym hamulcem, jakim była dotąd przeciwko nadmiernéj śmiałości w operacyach.

Wszystko, cośmy wyżéj powiedzieli o treści dzieła p. Kirszrota, przekonało zapewne czytelników, że wyróżniając je z pośród zwykłych płodów naszéj literatury ekonomicznéj, nie mieliśmy na celu czczych pochwał, lecz oddanie zasłużonego uznania prawdziwie sumiennéj pracy i gruntownéj wiedzy szanownego autora. Żałujemy bardzo, że nie możemy się równie pochlebnie wyrazić o formie stylistycznéj, w jaką p. K. swe myśli przyoblekł. Pod względem jasności wprawdzie styl jego nie wiele pozostawia do życzenia, ale za to poprawność, dźwięczność i czystość wysłowienia chroma zbyt często. Niewłaściwego użycia przypadków moglibyśmy przytoczyć kilkadziesiąt, a niepotrzebnego powtarzania jednego i tego samego wyrazu lub zwrotu w jednym okresie — bodaj kilkaset przykładów. Nadmiernie też lubuje się autor w używaniu wyrazów obcych, nie cofając się nawet przed takimi, jak *subrogować się* (str. 190). Gdyby książka p. K. doczekała się drugiego wydania, czego się spodziewać należy, to pożądaném by było, ażeby autor postarał się o usunięcie tych jéj usterek. Nie powinny one wszakże zrażać czytelników, gdyż pouczająca treść dzieła sowicie wzmiankowane wady jego formy wynagradza.

W. Wścieklica.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Encyklopedya Rolnicza i Rolniczo-Przemysłowa.—A. Strzeleckiego i H. Kotłubaja.—Zeszyt I. Lit. A. B.—Zeszyt II. Lit. C. D.—Warszawa, 1887.

Z pewną dumą nazywamy się „krajem rolniczym“, a prócz tego poszanowania, słabnącego wprawdzie, jakie przywiązujemy do tradycyi rolnictwa i jego kierowników, tkwi w nas wrodzone zamiłowanie zawodu, słusznie uważanego za podstawową pracę ludzką.

Czy jednak w parze z tém instynktowém zamiłowaniem przedsiębiorstwa, idzie jego znajomość naukowa, będąca głównym warunkiem powodzenia—to inne pytanie. Nie tu miejsce zastanawiać się nad przyczynami braku wiedzy rolniczéj u nas, nad niewątpliwie stwierdzonym faktem, że kraj, z rolnictwa czerpiący główne środki swego bytu, powierza kierunek jego szeregom dyletantów, lub ludzi skąd inąd wykształconych, ale na miano *agronomów* zupełnie nie zasługujących. Przyczyny téj ujemności tkwią bardzo głęboko; związane z wieloma brakami naszych systemów wychowawczych i połączone z wrodzoną lekkomyślnością, z jaką rzucamy się z motyką na słońce, wymagają odrębnéj i gruntownéj oceny, któréj dać tu nie możemy, mówiąc o wydawnictwie dzieła, traktującego encyklopedyczne wiadomości z dziedziny rolnictwa.

Nie ulega jednak zaprzeczeniu, że każde wydawnictwo popularyzujące wiedzę tak słabo u nas rozwiniętą, zasługuje na szczególniejsze poparcie i ścisłą ocenę.

Po pierwszych latach wielkiego przewrotu ekonomicznego i społecznego, jaki kraj nasz przechodził, rolnictwo znalazło się wobec zmienionych zupełnie stosunków, a zwłaszcza poziom ówczesnego wykształcenia nie odpowiadał zupełnie wymaganiom chwili.

Chcąc wiedzę rolniczą podnieść, należało wszystkiemi drogami ułatwić jéj krzewienie i rozpowszechniać wiadomości, których brak kardynalną był wadą rolników. Wtedy to grono ludzi dobréj woli, zbiorowemi siłami, wydało pierwszą u nas Encyklopedyą Rolnictwa. Dzieło to, przyjęte przez ogół nader życzliwie, wkrótce wyczerpaném zostało, a pomimo wielu niedokładności w układzie, stanowiło do téj pory jedyne źródło, mniéj więcéj całkowicie obejmujące wszystkie nauki z dziedziny rolnictwa i przemysłów związek z niém mających.

Encyklopedya ta jednak tak ze względu znacznego kosztu, jakiego nabycie jéj wymaga, jak i pewnych poglądów—które w epoce jéj wyjścia były zgodne z ówczesnemi pojęciami nauki, lecz dziś wobec ciągłego postępu wiedzy potrzebują wielu sprostowań, nie odpowiada już zadaniom chwili.

PP. Kotłubaj i Strzelecki, jak to w prospekcie zapowiedzieli, chcąc uzupełnić braki w tym kierunku naszéj literatury rolniczéj, zamierzyli wydać nową Encyklopedyą Rolniczą, któréj pierwsze dwa zeszyty mamy przed sobą. Encyklopedya ta różni się od poprzedniéj, nietylko ceną, lecz zupełnie odmiennym układem. Jest to dzieło sposobem słownikowym ułożone, treściwe i popularne.

Już sam charakter wydawnictwa wskazuje krytyce, w jaki sposób ocenę jéj należy prowadzić. Podczas gdy od encyklopedyi przedmiotowéj wymagamy rozwinięcia wyczerpującego pojedynczych działów wiedzy rolniczéj, krytycznéj oceny systematów, określenia historycznego ich przebiegu, a po części i samodzielnego poglądu na kierunki i przyszłość rolnictwa,—słownikowa o wiele skromniejsze ma zadanie. Streścić ona winna ostatnie wyniki nauki, przedstawić je w sposób zrozumiały dla każdego i, nie zapuszczając się w głębokie dociekania lub hypotezy, stanowić podręcznik niezbędny tak dla agronoma, jak i dla średnio wykształconego rolnika. Pierwsza—o ważniejszych kwestyach pisać może obszerne nawet traktaty, druga w kilkudziesięciu niekiedy wierszach winna streścić poglądy, którym uczeni całe tomy poświęcali.

Czy Encyklopedya Rolnictwa pp. Kotłubaja i Strzeleckiego odpowiada powyższemu zadaniu—zobaczymy.

Pierwszy zeszyt, rozpoczyniając się od litery A (Abies), dochodzi do części litery C (Cegielnia).

Niektóre wyrazy tego zeszytu opracowane są doskonale.

Do takich między innemi zaliczamy: *Analizę chemiczną gruntów*, gdzie w sposób przystępny wykazano, że analiza taka nie jest w stanie oznaczyć sama przez się wypłodności ziemi i jedynie dać nam może charakteryzacyą gruntu. Wobec błędnych przekonań

niektórych rolników sądzących, że analiza ich gruntu, wykonana w laboratorium chemiczném, wskaże im ściśle stan zasobności przyswajalnych związków chemicznych, potrzebném było zaznaczenie, że analiza chemiczna nie jest wstanie oznaczyć ich rozpuszczalności i rozdzielenia w ziemi.

W ogóle, wszystkie wyrazy z dziedziny do chemii i fizyologii roślinnéj i zwierzęcéj opracowane są w sposób bardzo przystępny i praktyczny; jest to zasługą niemałą autorów, wiadomo bowiem, że rolnicy nasi wogóle o naukach przyrodniczych bardzo słabe mają pojęcia, pomimo olbrzymiego znaczenia ich w obecnym stanie rolnictwa.

Na szczególniejsze jednak wyróżnienie zasługuje obrobienie działu hodowli i weterynaryi. Znać że artykuły te kreśliła ręka kompetentna. Pod wyrazem *Bydło* drobiazgowo mamy wyliczone wszystkie rasy tych zwierząt, wraz z opisem ich przymiotów, oddawanych usług i wskazaniem, w jakich warunkach klimatu i kultury mogłyby niektóre z nich u nas być hodowane. W czasach, w których hodowla na pierwszy plan występuje, takie opracowanie jéj wyczerpujące, niemałą jest zasługą wydawnictwa.

Z dziedziny weterynaryi *Akuszeryjna pomoc* wyłożona jest w sposób tak przystępny i objaśniona tyloma drzeworytami, iż bardzo chyba pierwotny umysł nie zdoła odnośnych wskazówek zrozumiéć i zastosować.

Z innych wyrazów I-go zeszytu wyróżnić należy: *Absorbcya, Akcyjne gospodarstwo*, które choć jako rzecz zbyt idealna w naszych czasach zastosować się da, zawsze jednak jako postulat gospodarstw przyszłości na wzmiankę zasługiwało, *Amoniak, Antiseptyczne środki, Browar, Budowle, Burak.*

Przeglądając z prawdziwém zainteresowaniem pierwszy ten zeszyt, wobec całości bardzo dobréj, dostrzegliśmy jednak pewne usterki, których w dalszych zeszytach unikać by należało.

Tak np. rolnictwo zagraniczne bardzo pobieżnie jest traktowane. Anglia, nasz główny odbiorca a po części wzór racyonalności i postępu gospodarczego, opisana jest za zbyt pobieżnie. O Austro-Węgrach „Encyklopedya“ mówi nam w *jedenastu* wierszach, o Australii żadnéj wzmianki niema. Za zbyt interesuje nas stan gospodarstw zagranicznych, a głównie siła ich wytwórczości i przyszłość, byśmy nie mieli wymagać bardziéj gruntownego przedstawienia rolnictwa tych krajów, które albo są naszemi konkurentami w produkcyi, lub téż otwierają swe rynki dla owoców naszéj pracy.

Z innych usterek, zarzucamy „Encyklopedyi Rolnictwa“ traktowanie po łebkach tak ważnéj kwestyi jak *asymilacya roślin*, któ-

réj rozbiór skrócono chyba dla rzeczy o *bloku*, przyrządu bardzo rzadko w rolnictwie stosowanego, a pomimo to przedstawionego z gruntownością, jakiejby się techniczne pismo nie powstydziło. Pod wyrazem: *Bezpłodność gruntu* spotykamy takie zdanie: „przy systemie gospodarczym, przeważnie produkującym zboża i ziarno wyprzedającym na zewnątrz, z dodatkiem produktów zwierzęcych i samych zwierząt wybrakowanych, w zwykłych stosunkach, bez dokupna nawozów sztucznych obejść się nie można, a szczególniéj nawozów azotowych i fosforowyeh.“ Jest to zdanie zbyt bezwzględne, które dzisiejsza nauka znacznie modyfikuje.

Na ostatek, niepotrzebnie podano opis *Buraczarki* i wspomniano o „powszechném uznaniu“, bo narzędzie to u nas zupełnie nie jest używane, a gdyby wreszcie grunt obsiany burakami znajdował się w stanie takiego zeskorupiania—co w średniéj nawet kulturze rzadko się trafia—że aż siłą mechaniczną trzeba by go było wzruszać, zamiast kosztownéj „buraczarki“, łatwiéj, prędzéj i taniéj wypełni zadanie pierwszy lepszy kultywator.

Usterki, które powyżéj wykazaliśmy, nie ujmują wartości dzieła, tembardziéj, że i do najświetniéj opracowanych podręczników naukowych wkradają się zawsze pomyłki, których, zwłaszcza przy encyklopedycznym wykładzie, uniknąć nie sposób. Wreszcie pośpiech, z jakim pierwszy zeszyt „Encyklopedyi Rolnictwa“ ukazał się w obiegu księgarskim, tłómaczy pewne niedokładności, których w drugim zeszycie nie spostrzegamy.

Zeszyt ten obejmuje literę *C* i początek litery *D*. Z większych artykułów na wyróżnienie zasługują: *Cena, chleb, chmiel, choroby, chów, cięcie drzew owocowych, cukier i cukrownictwo, dąb, destylacya, dezinfekcya, dołowanie paszy, dom*.

Opracowania tych wyrazów nie dla tego tylko nazywamy wyróżniającém, że poświęcono im więcéj miejsca, lecz ze względu nadzwyczaj jasnego wykładu, jaki cechować zawsze winien popularne wydawnictwo encyklopedyczne. Tak np. definicye *ceny, wahanie się cen, ceny ziemi* i *zwierząt,* określone są w sposób dostępny dla każdego. U nas wogóle nauka ekonomii tak mało ma uczniów i tak słabo jest rozpowszechniona, że zasługę wyświadcza dzieło, które zasady téj tyle ważnéj wiedzy uprzystępnia. Nie zgodzilibyśmy się tylko na poglądy, które pod rubryką: *ceny wełny* wskazują na przebieg obrotów handlowych tym produktem. Autor, który w początku tłómaczy dla czego cena wełny nie może upaść niżéj kosztów jéj produkcyi, ku końcowi mówi o spadku cen wełny, wywołanym konkurencyą Ameryki i Australii. Przedewszystkiém należało porachowawszy się z istotą rzeczy przyznać, że w chwili, gdy wełny

sukiennicze coraz więcéj są poszukiwane, nie może dla nich—jako dla produktu kultury intensywniejszéj, być niebezpieczną taka np. wełna australska, należąca do kategoryi towaru pośledniego; następnie, rzut oka na obroty i ceny rynków wełnianych z lat ostatnich najwyraźniéj wskazuje, że produkt ten poszukiwany i doskonale płacony, dla wielu gospodarstw wielce zyskownem jest źródłem dochodu. Sam wreszcie autor przyznaje, że w okresie 40 letnim ceny wełny na rynkach niemieckich były prawie stałe, a odnośnie do naszych stosunków fakt ten jeszcze wybitniéj występuje, zwłaszcza od chwili, gdy dewaluacya naszéj monety tak wielki wpływ wywarła na ceny produktow rolnictwa.

Zwracamy uwagę hodowców na artykuł „Encyklopedyi" mówiący o *chowie zwierząt domowych.* Pomimo znacznego ożywienia, jakie w kierunku podniesienia krajowéj hodowli panuje obecnie, występuje jeszcze taki zamęt pojęć w téj dziedzinie wiedzy rolniczéj, iż wiele niepowodzeń i rozczarowań jemu głównie przypisać należy. Między chowem oryginalnym, a chowem pełnéj krwi np. większość nie widzi żadnéj różnicy, podczas gdy pierwszy jest łączeniem zwierząt jednéj rasy sprowadzonych z kraju, w którym ją wyhodowano, zaś chowem pełnéj krwi nazywa się łączenie zwierząt jednéj rasy i jednego kierunku, wymagającym wielkiéj umiejętności i inteligencyi hodowcy. Chów oryginalny można podtrzymywać ciągłem sprowadzaniem reproduktorów, co będzie zasługą nie hodowcy, lecz jego kieszeni, przy chowie zaś pełnéj krwi najlepiéj wypchana kieszeń niczém będzie bez dokładnéj oceny własności materyału rozpłodowego, to jest bez umiejętności w doborze rozpłodników, w utrzymaniu przymiotów rodziców a usunięciu możliwych ich błędów. Te subtelne nieraz granice są jednak rzeczą pierwszorzędnego znaczenia i dla tego z uznaniem wspominamy o wykładzie, który ważny ten przedmiot doskonale wyjaśnia,

Równie treściwie a dokładnie zeszyt II-gi Encyklopedyi mówi o *cukrze* i *cukrowarstwie*, choć przedmiot to bezpośrednio nie obchodzący ogółu rolników. Za to *dezinfekcya*, któréj stosowanie w rolnictwie należy do rzadkich objawów rozsądku i przezorności gospodarzy, opracowana wzorowo, szczegółowo wskazuje rolnikom jak postępować należy w czasie trwania chorób zaraźliwych i po ustaniu takowych.

Budownictwo wiejskie pod wyrazem *dom* daje szczegółowe plany i opis domów mieszkalnych dla większych właścicieli, włościan i robotników. Patrząc na rysunki tych tanich, estetycznych i praktycznych budowli, żałować trzeba, że stosowanie ich w praktyce tak jeszcze rzadko się zdarza, przez co wsi nasze nie mogą się

pozbyć cechy biednych, niezdrowych, częstokroć na pół-barbarzyńskich siedzib ludzkich. Między rozmaitemi planami budynków, zwracamy uwagę na plan czworaku dla czeladzi dworskiéj posiadający cztery odrębne wejścia i sienie. U nas, po większéj części nie zwraca się uwagi na istotę potrzeb robotnika, w czém najlepszém świadectwem jest mieszkanie jego brudne, ciemne i krępujące swobodę indywidualną. Jedno wejście, jedna sień prowadzi do czterech izb, a takie łączenie rodzin i tamowanie ich swobody i poczucia samodzielności, najfatalniejszy wpływ moralny wywiera.

W pomienionym zeszycie możemy tylko zarzucić autorom, że niekiedy starają się być za zbyt treściwymi i niektóre wyrazy ważniejsze zamykają zaledwie w kilku wierszach. Tąk np. wyraz *chwast*, pobieżnie jest traktowany. Wiadomo jąk wielkim nieprzyjacielem rolnika są chwasty i ile środków zwalczania ich podawąć mu trzeba. To samo powiedziéć można, o wyrazach *czas kiełkowania roślin, czystość ziarna, dochód*, których określenie rozszerzyć było można bezpiecznie kosztem zbyt obszernego artykułu *cięcie drzew owocowych*. Artykuł o „dochodzie“ nie wyjaśnia dostatecznie czém jest renta gruntowa, nie wykazuje jéj znaczenia w ogólnym obrocie kapitałów w przedsiębiorstwo włożonych. Spodziewać się należy, że dalsze zeszyty „Encyklopedyi“ uzupełnią te brąki i nauczą, co rolnik nazywać powinien dochodem swéj pracy i dochodem swego kapitału.

W końcu zaznaczyć winniśmy obfitość dobrych bardzo drzeworytów, na każdéj prawie stronnicy wydawnictwa podanych. Rzecz to kosztowna, a Encyklopedya tania, więc inaczéj jak dobrą wolą wydawców nie możemy tłómaczyć dostarczenia licznych drzeworytów, które znacznie ułatwiają wykład. Metoda poglądowa nietylko dla dzieci jest dobrą, skorzysta z niéj i starszy, bo go „obrazek“ zajmie, a nadewszystko, unaoczni przedmiot, którego poznanie jest mu potrzebném.

Wrażenie dodatnie, jąkie odnosimy z przeczytania pierwszych dwóch zeszytów „Encyklopedyi Rolnictwa,“ każe się spodziewać, iż całość tego dzieła z równą starannością opracowana, wzbogaci naszą literaturę rolniczą podręcznikiem prawdziwie pożytecznym. Słownikowy układ robi ją wydawnictwem popularném, taniość dostępném i jeśli dalsze zeszyty odznaczać będzie ta sąma jasność wykładu i gruntowność poglądów, „Encyklepedyą Rolnictwa“ pp. Kotłubaja i Strzeleckiego śmiało polecić będziemy mogli rolnikom.

C. Reklewski.

———————

= Zaczęła wychodzić nakładem Ferdynanda Schöningha (w Paderbornie i Monasterze) w miesięcznych poszytach *Historya walki kulturowéj* („*Geschichte des Culturkampfes*") przez ks. d-ra Majunke'go, byłego redaktora naczelnego „Germanii", głównego organu niemieckich katolików. Dotąd wyszły dzieła tego dwa poszyty (ma ich wyjść ogółem ośm, wszystkiego mniéj więcéj 32 arkusze druku). Autor jest szlązakiem-Niemcem, przez kilka peryodów legislatoryjnych był posłem do parlamentu i do izby pruskiéj, gdzie gorąco zawsze występował w obronie praw ludu górnoszląskiego i gorliwym był przyjacielem Koła polskiego. Z krzeseł poselskich ustąpił na żądanie biskupa wrocławskiego, który zasiadłszy na stolicy biskupiéj, wycofał księży dyecezyi swojéj, z wyjątkiem dwóch, z areny parlamentarnéj. Dotąd podaje autor w pracy swéj przedhistoryą właściwéj walki kulturnéj. Rozpocząwszy rzecz od nadania Prusom konstytucyi, wymienia i rozbiera powody, które kulturową walkę wywołały, podnosi ówczesne plany i zamiary rządu wobec kościoła katolickiego, rozwodzi się wogólności nad stosunkami kościelnemi przed rozpoczęciem walki, wprowadza na scenę Bismarka i dobiega (w drugim poszycie) czasu założenia nowego cesarstwa niemieckiego. Osobistość i przeszłość autora pozwalają się spodziewać, że wyczerpie on gruntownie i wszechstronnie przedmiot, do którego się zabrał, a to tém więcéj, że osobiście walczył w pierwszéj linii bojowników słowem w parlamentach i piórem w łamach organu katolików; zna więc tak pole walki, jak wszelką broń przeciwnika, zna dobrze pozycye, o które walczono, zna taktykę przeciwnéj strony, odgadł tajne i poznał głośne i jawne jéj zamiary. — Inną kwestyą jest to, czy — podczas gdy jeszcze tlą się zgliszcza na pobojowisku, gdy jeszcze z niejednéj rany sączy krew, nie jedna skarga, a raczéj dużo skarg uszu dolatuje, gdy jeszcze umysły bojowaniem poruszone—będzie mógł historyk z całą obiektywnością (a skreślenie każdéj historyi tego wymaga) przedstawić to, co się działo i jak się działo? — Co się tyczy formy początku historyi walki kulturnéj d-ra Majunke'go, to — jeżeli wolno z dwóch pierwszych poszytów (128 stron) wnioskować — mniéj snać chodzi autorowi o organiczne ujęcie nader obfitego materyału w systematyczną całość, jak raczéj o mnogość ważnych odnośnych momentów i o uwydatnienie ich jak najjaśniejsze. Tém się też może da wytłómaczyć częste w toku opowiadania powoływanie się na rzeczy, zajścia i okoliczności już opowiedziane lub nastąpić jeszcze mające. Zarzucono też już autorowi z przychylnéj strony, żeby się można z nim posprzeczać o większą lub mniejszą ważność niektórych poszczególnych zajść, które pod-

nosi. Wszakże—jeszcze raz mówimy—nie chcemy z dwóch poszytów stanowczo przesądzać o całości;—to przecież pewna, że w sumiennych rękach znajduje się historya walki kulturowéj i że z niemałym pożytkiem dla późniejszych dziejopisów z pod nich wyjdzie.

S. J.

= **Dr. Wojciech Kętrzyński: Katalog rękopisów biblioteki zakładu narod. im. Ossolińskich.** *Tom II. Lwów, 1886.*—Katalogu tego, zakrojonego na wielką skalę, wyszedł obecnie zeszyt 4, który razem z poprzednim, wydanym przed trzema laty zeszytem 3, tworzy tom drugi zakładowego wydawnictwa. Zeszyt ten obejmuje rękopisy od 317 do 561 włącznie, z tych należą: 3 do XIV wieku, 12 do XV w., 15 do XVI w., 47 do XVII w., 111 do XVIII w., 56 do XIX w.—razem 244 rękopisów. Już z tego widać, że najobficiéj zaopatrzony tu wiek 18, i rzeczywiście znajdujemy tu ogromny materyał do dziejów obu Sasów, elekcyi Poniatowskiego, konfederacyi barskiéj, do dziejów trzech rozbiorów itd,; z 19 w. materyały historyczne odnoszą się prawie wyłącznie do wojen Napoleońskich i dziejów księstwa Warszawskiego, z dawniejszych nie zasługuje nic na szczególniejszą uwagę, nawet wiek 17 dosyć słabo zastąpiony. Wogóle zbiory rękopiśmienne zakładu Ossolińskich posiadają olbrzymi materyał w pierwszym rzędzie dla wieku XVIII, choć i dla poprzedniego wieku wcale nie jest on skąpy. Rękopisy te tworzą jednak rzadko organiczną całość, są one przeważnie t. z. *silva rerum, collectanea, miscellanea* itp.; każdy pojmie, jak wobec tego nadzwyczaj pożądaném musi być skatalogizowanie zawartości tych tomów, z których jeden obejmuje często kilka a nawet kilkanaście set najrozmaitszych kawałków, z różnych czasów i do różnych odnoszących się spraw. Katalogi takie, ułatwiające poszukiwanie i oryentowanie się zarówno na polu historyi jak literatury, wielką posiadają ważność i znaczenie i dlatego z radością powitano przed kilku laty rozpoczęcie powyższego katalogu, w którym sumienność i skrupulatność, dwie główne cnoty d-ra Kętrzyńskiego, posunięte są niemal do ideału. Ale właśnie one są przyczyną, że ściągają na katalog zarzut obciążania go niepotrzebnym balastem słów, które do zrozumienia treści zupełnie się nie przyczyniają, a dla korzystającego z katalogu nie tylko zbyteczne, ale nawet wprost są uciążliwe. Na cóż bowiem zda się umieszczać w katalogu dosłownie jaknajskrupulatniéj wszystkie sążniste nieraz napisy na rękopisach i łokciowe czasami, bo kilka i kilkanaście wierszy obejmujące, tytuły pojedyńczych artykułów, kiedy kilka najważniejszych słów wystarczyłoby dla podania treści. Te długie napisy, przeładowane nic nie mówiącemi słowami w wybujałym stylu makaroniczno-panegirycznéj epoki, na to są tylko chy-

ba, żeby miejsca wiele niepotrzebnie zajmować. Ale dr. Kętrzyński założył sobie z góry podawać każdy tytuł dosłownie i konsekwentnie się tego trzyma, i dlatego treść jednego rękopisu potrzebuje w katalogu tym zwykle kilkanaście stronic, a są i takie, na które wychodzi przeszło dwadzieścia, a nawet trzydzieści stron (np. 233). Następstwem tego jest, że oba tomy katalogu, które dotychczas wyszły, a z których każdy ma około 800 stronic, obejmują zaledwie 561 rękopisów. A ponieważ liczba wszystkich rękopisów biblioteki Ossolińskich, (nie licząc autografów ani dokumentów) wynosi obecnie 3115, więc całość katalogu będzie obejmowała *jedenaście* olbrzymich tomów i to oczywiście tylko w tym wypadku, jeżeli przyjmiemy, że liczba ta nie będzie już wzrastać. Czy to, mimo indeksów bardzo dokładnych, jak obecny, ułożony wzorowo przez p. Frenkla będzie bardzo wygodne, nie chcę rozstrzygać. Można by się jednak zgodzić na to, gdyby ta zbytnia skrupulatność w podawaniu treści rękopisów, nie rozciągała wydawnictwa także i pod względem czasu co oczywiście przy obecnéj metodzie wcale nie zadziwia ponieważ w zbiorach znajdzie się niezmierne i nieocenione bogactwo materyałów dziejowych, każdy pragnąłby widzieć katalog jak najprędzéj ukończonym. Tymczasem, jeśli zważymy, że pierwszy zeszyt katalogu wyszedł w pierwszéj połowie r. 1880, trzy dalsze zeszyty w sześciu następnych latach, t. z. że oba tomy potrzebowały ośmiu lat pracy, to za pomocą prostego rachunku zobaczymy, że na ukończenie jego będziemy musieli czekać *jeszcze trzydzieści sześć lat* (oczywista, jeśli liczba rękopisów się nie zwiększy). Że to niezbyt pocieszające, nie potrzeba dowodzić. A choćbyśmy chętnie poświęcili cokolwiek téj dokładności w podawaniu treści, gdybyśmy tylko całość mieć mogli, będziemy musieli pogodzić się z myślą, że już nie my, lecz przyszłe pokolenie XX wieku ujrzy skończony katalog biblioteki Ossolińskich. *F. Bostel.*

= **Recepta na to, abyśmy się długo w oyczystey ziemi osiedzieli. A. 1682**. *Dokument historyczny do dziejów polskich wieku XVII wydał J. K. Plebański. Warszawa, 1887, 8⁰, stron 22.* — Ogłosił p. Plebański *Receptę* z manuskryptu, znalezionego w bibliotece Braci czeskich, w Lesznie, nie wiedząc, że była drukowaną. Estreicher w *Bibliografii* swojéj zanotował ją pod r. 1597, w istocie jednak wyszła w stuleciu XVII (Bez m. i r. 4⁰, kart nlb. 12), czego dowodzi treść. Piękny téj rzadkiéj broszury egzemplarz odnalazł w bibliotece ordynacyi Krasińskich pilny nad rzeczami polskiemi pracownik, p. Zygmunt Wolski. Rękopis, którego użył p. Plebańskl, niezupełnie odpowiada tekstowi wydania pierwotnego, w wielu razach oddaje rzecz mylnie. Zamiast: „ciężkiéj od Boga nie odniesiecie kary (za) ten

nieużyty wasz umysł",—powinno być: „cięźkiéj nie odniesie od Boga kary ten wasz nieużyty i nieporuszony umysł". Zam. „Przodkowie wasi nie chcieli na się oburzać Turczyna, aleście od niego kilką prowincyey i wielkiemi krajami byli zasłonieni", — powinno być: „Przodkowie wasi nie chcieli obruszać na się Turczyna, ale się od niego kilką prowincyi i wielkimi krajami zasłonili". Zam. „Pierwszy skutek: Niemiłość ojczyzny"... powinno być: „Pierwszy skutek niemiłości ojczyzny"... Zam. „zakamiałych", „zakamieją", „ledajako",—czytamy w pierwotném wydaniu: „zakamieniałych... zakamienieją... ladajako"... Na karcie tytułowéj nie ma wyrażonego r. 1682, ani przy mowach Karnkowskiego i Zamojskiego r. 1597.—Ogłoszenie zapomnianéj prawie, a ciekawéj wielce broszury poczytać należy p. Plebańskiemu za istotną zasługę, tém więcéj, że zaopatrzył tekst w odpowiedni komentarz. Szkoda, że nie wiedząc o wydaniu pierwotném, nie był wstanie ustrzedz się błędów rękopiśmiennéj kopii.

Sm.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Kilka słów na czasie. —
Czém się różnią lekkie profesye od innych. — Upał kuźni i upał szkoły. — Powszechność wiary w przyjście Mesyasza. — Pożytek z zaludnienia miejsc kąpielowych. — Deputacya francuska i warszawska inteligencya. — Wpływ życia w zacieśnionych kółkach na publicystykę. — Potrzeba znajomości kraju dla Warszawy i wpływu Warszawy na kraj. — Jak to osiągnąć?

Stronnictwa i hasła ich zużywają się jak wszystko na świecie; co było popularném, modném, czém się ludzie szczycili, za co stawiano im pomniki: gdy nastąpi zmiana wyobrażeń i warunków zewnętrznych, wszystko to idzie między stare rupiecie. Ewolucya taka dziwi tylko tych, którzy mniemają, że hasła i dążenia strącających się warstw społecznych i pokoleń muszą być skamieniałe jak ich mózgi. Żyjemy w porze rodzącéj prawie codzień nowe hasła i stronnictwa, chociaż dawniejsze jeszcze się nie wyczerpały i nie przyniosły wszystkich owoców, jakieby przy wytrwałości wydać mogły. Żyjemy prędzéj niż nasi przodkowie; krew i myśl zdają się w spółczesném pokoleniu prędzéj krążyć, niż u nich. Mówiąc to, mamy na myśli nie Zachód europejski, gdzie wielkie interesa ekonomiczne i polityczne ważą się i ścierają wśród warstw społecznych i konkurencyi międzynarodowéj, lecz ubogi, zaspany nasz zakątek.

Każdego musiała uderzyć nasza gorączka w poszukiwaniu nowych haseł, w głoszeniu coraz nowych programatów, których organami stają się najczęściéj nowe dzienniki i pisma peryodyczne. Mieliśmy pracę organiczną, pragnienia ugodowe, walkę klasową, dźwiganie ludu; jesteśmy jak nagi w pokrzywach: jakkolwiek się obróci, zawsze się sparzy. Narzekamy na brak ideałów pośród młodzieży, na zardzewienie umysłów, na spopielenie serc i zmateryalizowanie dążności, na brak wszelkiego ruchu i stagnacyą życia. Pytają jedni drugich, co robić? poszukują idei mogącéj zespolić umysły i podnieść serca, słowem, chcą się ruszać.

Położenie nasze obecne objaśnia w pewnéj mierze ten chaos dążności i haseł, ale go nie usprawiedliwia; tak, że nasuwa się pytanie, czy pokolenie nasze tak już podupadło, że nie umié sobie zdać sprawy z istniejącego stanu rzeczy? Organa prasy złorzeczą sobie, stając w obronie to tradycyi, to postępu; jedne plwają na przeszłość, drugie ją apoteozują; jedne kadzą szlachcie, drugie pospólstwu; raz nienawiść ich zwraca się przeciw Żydom, Niemcom i pozytywistom, to znów innych przeciw ultramontanom, klerykałom i ciemnogrodzianom; dla jednych patryotyzm i patryotniki są tarczą do strzałów, dla drugich prawomyślność wszelkiego stempla stanowi kryteryum wartości człowieka. W téj babelskiéj kapeli jedni widzą objawy życia, bo przecież się ruszamy, — drudzy biorą je za symptomata marazmu: tak, czy inaczéj sądzić je będziemy, objawy te świadczą, że życie nasze społeczne nie funkcyonuje normalnie.

Czy stan podobny jest wynikiem braku idei lub hasła mogącego skupić umysły? Czy, pomijając inne, jako niepraktyczne lub niedorzeczne, idea pracy organicznéj, jako hasła mogącego skupić rozstrzelone aspiracye, już się przeżyła, czy już wydała owoce? Nie sądzimy. Bo i cóż w sobie mieści hasło: praca organiczna? Oto pracę około chleba i oświaty: z tego dwojga płynie reszta. Mamyż więc chleba pod dostatkiem? Bynajmniéj.

Ciężkie warunki ekonomiczne, na które się złożyły częścią okoliczności od nas niezależne, a głównie nasze marnotrawstwo, lekkomyślność, ciemnota sprawiły, że coraz więcéj tracimy ziemi na kresach wschodnich i zachodnich, że więksi właściciele muszą teraz sprzedawać dobra rycerskie Niemcom, chłopi galicyjscy Żydom, że coraz więcéj przybywa proletaryatu, to jest gąb do jedzenia, dla których nie odkryto żadnego źródła, zkądby je nakarmić można. Jak tu myśléć o sztuce lub nauce, gdy wiatr przez opończę dmucha, a jutro ciemniejsze od dzisiaj?

Nie tak dawno jeszcze setki i tysiące ludzi znajdowały skromne utrzymanie w rozmaitych gałęziach administracyi; dzisiaj czasy się zmieniły. Przekształcenie stosunków rolniczych wyrzuciło sporo ludu szlacheckiego na bruk miejski i należy przewidywać, że takich wykolejonych, a nic oprócz konsumowania nie umiejących, coraz więcéj będzie. Wpłynie zaś na to obecne przesilenie ekonomiczne i przemysłowe, pod którém stękają bardzo zamożne i ruchliwe społeczeństwa zachodniéj Europy i północnéj Ameryki. Ze sfer zatém rolniczych i przemysłowych napływa coraz więcéj proletaryatu: świadczą o tém tysiące próśb o wakującą gdziekolwiek najlichszą posadę; dają się słyszéć niezliczone głosy, wołające już nie o ideały,

lecz o chléb powszedni. Zkąd go wziąć? możnaż go stworzyć kamiennym frazesem nienawiści, głoszonym przez panów kamiennych, wskrzeszających tradycye epoki kamiennéj? O chléb coraz trudniéj—taka jest zwrotka obecnéj chwili. Jak dostać chleba, żeby się takie mnóstwo najadło? Gdzie i około czego zatrudnić tyle rąk próżnujących? Czyż dla tych, co rozumieją znaczenie pracy organicznéj, co się chcą ruszać, a mają po temu środki i odpowiednie uzdolnienie, mało pola do ruszania się, do wyścigów, ażeby powoli cały naród nie poszedł na dziady? Zubożałe społeczeństwo stanowi słabszy opór w walce o byt, niż bogate; doświadcza tego każdy na sobie. Nędza odhartowywa wolę, nadgryza charaktery, prowadzi do spodlenia się i upadku.

Wszystko to zdaje nam się być tak dotykalném i jasném, że chyba niema nikogo wśród oświeceńszych, któryby potrzebował innych dowodów nad te bezpośrednio odczuwane objawy wielkiego zubożenia naszego. Ile morgów ziemi, ile domów po miastach, ile przedsiębierstw i fabryk przeszło i przechodzi w obce ręce? Miasto i wieś, starzy i nowi obywatele zarówno stękają już nie z przyzwyczajenia, lecz pod grozą najboleśniejszéj rzeczywistości.

O chlebie tedy trzeba pamiętać, jest on bowiem najistotniejszą podstawą życia społecznego; hasło zalecające budowanie téj podwaliny wcale się nie wyczerpało; przeciwnie, dużo jest w tym kierunku do roboty i zamiast poszukiwać nowych programatów, idei, zamiast uczyć papieża jak ma rządzić kościołem, a Bismarcka, jak ma rządzić Niemcami; zamiast sypać ludziom w oczy piasek chłopomański czy ultramontański, byłoby może pożyteczniéj rozprawiać, jak dostać chleba i jak zdobyty szanować.

— Jużeśmy te morały nieraz słyszeli — powie niejeden z gorąco-krwistych, — dobre to dla spróchniałych mózgów i serc wystygłych; ale dla tych, co pragną nowéj ziemi i nowych obłoków, taka ośpiewana piosnka nie do wysłuchania.

Ci, co jedli trochę nadgniłych owoców z drzewa wiadomości, a nie kosztowali owoców z drzewa żywota — zwykle tak mówią; w balon własnéj fantazyi chcieliby porwać tych, co się ziemi trzymają. Wiemy, że dziennikarskiemi artykułami nie można ani fabryk, ani przemysłu, ani znośniejszych warunków bytu wytworzyć; z tém wszystkiém przypomnienia o tém, co znaczy praca organiczna, nie uważamy za zbyteczne, zwłaszcza, gdy nowi ludzie nowych dróg poszukują.

Niemniéj druga podwalina bytu społecznego, oświata, nie została położona; pod tym względem stoimy na tak słabych nogach, że lada wiatr nami pomiata. Pesymiści przypuszczają, że poziom naszego oświecenia znacznie się obniżył w porównaniu z tym, na

jakim ono stało przed ćwiercią wieku. Liczby umiejących czytać i pisać nie znamy, a ztąd nie możemy napewno twierdzić, o ile procent ich od ćwierci wieku podrósł; ale choćbyśmy mieli ścisłą statystykę, jeszcze samo czytanie i pisanie oświecenia nie stanowi. Trzebaby znać nadto poziom moralny; otóż ten, już nie według pesymistów, znacznie się podobno obniżył. Jest koło czego pracować.

Ruch umysłowy, szczególniéj w kierunku gruntownych badań naukowych jest obecnie w Królestwie tak nikły, że prawie o nim mówić nie można. Maleje coraz bardziéj liczba dzieł naukowych, piśmiennictwo utonęło w dziennikarstwie, beletrystyce i polemice. Samo znów dziennikarstwo robi bokami: po szumnych zapowiedziach postępowych, ćwierć- i całokonserwatywnych, cała ta wegetacya papierowa zaczyna schnąć suchotami kieszeni a często i głowy. Kuchmistrze dziennikarscy podlewają swoje potrawy rozmaitemi sosami, jeden bezbożnym, drugi pobożnym, ale podniebienia już zobojętniały i nie smakują ani w radykalnych, ani w konserwatywnych przyprawach. Gdy umysłom brak porządnéj kultury, mogą chwilowo łapać się na hasła postępowe, czy demokratyczne, wsteczne czy arystokratyczne: wszystko to jednak trwa niedługo; na tym piasku nic zbudować nie można. Tymczasem społeczeństwa, zwłaszcza rozbite, nie mogą się dźwigać powieścią, odpustową gawędą lub zgorzkniałą polemiką. Trzeba się zatém uczyć gruntownie i wytrwale, trzeba kłaść fundamenta pod życie umysłowe. Chléb i światło—oto nasze hasło! Nie wyłącza ono wyższych pragnień czyli tak zwanych ideałów w kierunku sztuki, nauki i życia publicznego na szerszą skalę; ale to zdaje się być jasném, że póki fundamenta nie są położone, o dachu myśleć nie można.

Jeżeli dostęp do szeregów urzędniczych jest ograniczony, musi się młode pokolenie rzucić do szeregów rzemieślniczych, handlowych i rolniczych, nie chcąc się zdemoralizować i głodną śmiercią wymrzéć. Jeżeli rzemiosło dotychczas nie nęci jako brudne i zaniedbane, to czyby nie można, zamiast tworzyć lichych uczonych i wydawać liche tłómaczenia, użyć tego funduszu na wysłanie corok za granicę kilku młodzieńców, żeby się wyrobili na porządnych rzemieślników, a gdy wrócą, dopomódz im do założenia wzorowych warsztatów. Czyby właściciele ziemscy nie lepiéj zrobili dzieląc fortunę na mniejsze cząstki i osadzając na nich synów, zamiast sposobić ich z wielkim trudem na inżenierów, prawników i literatów? Przecież byt niezależny od klamki pańskiéj, od protekcyi i służalstwa jest pożądańszy, niż to wysługiwanie się obcym bogom na dalekim Wschodzie lub Zachodzie! Nie mogąc zdobywać obcych krajów, moglibyśmy tysiące nieuprawnych morgów w własnym kraju

zdobyć na błotach, moczarach i piaskach. Ludność nasza jest tak rzadka w stosunku do ziemi, że na długo jeszcze starczy pracy około roli i chleba nie zabraknie, byle nie zabrakło ochoty i wytrwałości, byle się pozbyć pańskich narowów: używania bez pracy. Jeżeli nas rozum do téj pracy powolnéj, mrówczéj, niepokaźnéj, ale jedynie twórczéj nie zmusi; jeżeli i ziemię i pole umysłowe zapuścimy odłogiem, nie uratuje nas żadne rozprawianie o ideałach, wołanie o nowe hasła, piorunowanie na szlachetczyznę i tradycyą. Co przeszłość przeoczyła, teraźniejszość zmudną, przez całe pokolenia trwającą pracą musi naprawić.

Nie zrażać się niczém i wytrwale pracować na każdem stanowisku—oto, co rodzice dzieciom wpajać, co sami sobie bezustanku powtarzać winniśmy. §§

Tak zwane lekkie profesye mają to do siebie, że wyczerpują siły człowieka dotkliwiéj i prędzéj, niż inne, nie mające tego epitetu. Do fizyologów należy się zwrócić o wytłómaczenie zjawiska, a od słownikarzy żądać wypada usunięcia niewłaściwego miana; my zaznaczamy jedynie sam fakt, aby następnie wysnuć zeń, jako skutek, inny objaw, a mianowicie gromadne opuszczanie stolicy na czas letnich miesięcy przez inteligentne klasy, a więc i przez literatów.

Kowal rok cały może piec się przy ogniu i ciało jego nabiera wciąż większego hartu, mięśnie tężeją; zapewne, wyjechał by on sobie chętnie na letnie mieszkanie i na wypoczynek po ciężkiéj pracy, gdyby miał środki, ale to dlań niezbędne nie jest i nieustanne zajęcie znosić może bez widocznéj szkody. Nerwy nauczyciela, dziennikarza, adwokata nie wytrzymałyby ciągłéj pracy dłużéj nad jakie trzy, cztery lata. Trzeba widzićć przedstawicieli pierwszego np. z tych zawodów, w jakim stanie przepędzają ostatnie chwile roku szkolnego. Blask oczu przygasa, głos słabnie, cała postać się pochyla. Wyobraźnia robi położenie jego przykre jeszcze nieznośniejszém, nasuwając nieustanne obrazy otwartego i czystego powietrza na wybrzeżu morskiém, rozległych łanów dojrzewającego zboża, aksamitnéj murawy, na któréj rozciągnąwszy się, można będzie zapomnieć o zgryzotach i znużeniu, o ciężkiéj doli własnéj i jeszcze cięższym losie całego otoczenia. Nabierze się sił do pracy nowéj, wśród któréj znowu marzyć się będzie o przyszłych wakacyach, a po za niemi o téj jakiéjś złotéj erze w życiu ludzkości, która ma wszystko odmienić: złość utraci swą moc, łzy gorycz, a przyszłość dzieci nie samo tylko drżenie i trwogę wywoływać

będzie. Kto to o téj erze nie roi. Spodziewali się jéj prapradziady, spodziewają się prawnuki. Żydzi czekali mesyasza, spodziewając się odeń powszechnego wymiaru sprawiedliwości, wynagrodzenia za krzywdy, pocieszenia cierpiących. Ta wiara, to przeświadczenie, że kiedyś przecie nadejdzie dzień sądu, gości zwykle w piersiach uciśnionego. To téż kiedy niedola przebierze miarę, kiedy ból znieść trudno, kiedy bezsilność miesza zmysły, wtedy jeszcze strapione serce szemrze z cicha groźbę wszystkim złym duchom świata: przyszłość was ukarze! Wiara w przyszłość to pierwszy warunek zachowania bytu, kto ją utraci, ten, jak Anteusz, oderwany od ziemi, zginąć musi w walce z przeciwnościami. Gdy człowiek żyje myślą głównie, gdy nią łączy i obejmuje wszelkie przejawy odbywających się przemian, to mu tę wiarę tak trudno zachować, jak trudno płucom wytrzymać w zatrutém powietrzu: wszystko się składa, aby ją zniszczyć, ze złego wszystko się stacza w gorsze, a złość ludzka głośno się przechwala, że jéj daleko do końca. Pożytecznem więc bywa—wyrwać się z tego odmętu, zdala od zgiełku świata odetchnąć spokojnie, zapomnieć o tém co dławi i nuży przez rok cały, nawet znieczulić się na czas jakiś, aż siły wrócą, aby znowu wziąć się do pracy, bez któréj i wiara nie wystarczy.

Nie tylko więc jest konieczne, ale i pożyteczne, że ludzie, żyjący głównie umysłem i nerwami, odrywają się od swych zajęć i w odmiennym trybie bytu i innem otoczeniu szukają wytchnienia. Tém nie mniéj jednak wskutek tego warsztat pracy społecznéj w wielu kierunkach ustaje, działalność, któréj nigdy za dużo być nie może, słabnie. Ożywiają się miejsca kąpielowe, stacye lecznicze, w wielu z nich kwitnie gra, w innych rozwielmożnia się rozpusta. Czy potrzeba odpoczynku rodzi konieczność marnowania czasu? Ani gry ani rozpusty nie podsycają gorliwym udziałem chorzy, którzy wyjechali rzeczywiście się leczyć. Komu potrzebne jedynie powietrze świeże i zmiana warunków życia, mógłby spędzić czas o wiele pożyteczniéj.

Deputowani francuscy i innych krajów, równie potrzebują wakacyi i rozjeżdżają się téż na letnie miesiące po kraju. Wszyscy ci, na których zaufanie narodu nie pomyliło się, odrywając się od nużących zajęć, nie przestają pomimo to spełniać swych obywatelskich obowiązków. Korzystają oni z czasu, aby zaznajomić swych wyborców z biegiem spraw krajowych, wytłómaczyć swoje postępowanie, usiłują poznać myśli, pragnienia i usposobienia ludności, która swe losy im w ręce złożyła. Łatwo spostrzedz, że pomiędzy deputowanym, zajmującym krzesło w radzie kraju z wyborów, a człowiekiem, mającym stanowisko uprzywilejowane wskutek jakichkolwiek bądź

okoliczności, zachodzi pewna analogia. Inteligencya jest też pewnego rodzaju deputacyą; na wyżywienie jéj, na otoczenie warunkami uprzyjemniającemi byt, zadawalniającemi najwyższe potrzeby, pracuje naród cały, zlecając jednocześnie głowom jéj załatwianie różnych potrzeb ogólnych. Aby spełnić należycie swe obowiązki, inteligencya powinna znać doskonale kraj, usposobienie i potrzeby jego mieszkańców; do tego zaś nie wystarczy odczytanie jakichś korespondencyi w gazetach, wspomnienia dzieciństwa, spędzonego w miasteczku, lub na wsi, i od czasu do czasu luźna gawęda z przyjeżdżającym z prowincyi na wystawę dawnym kolegą szkolnym.

Najwyższa inteligencya kraju, przebywająca w stolicy, tworzy wskutek potrzeb umysłowych, towarzyskich i zawodowych rodzaj zamkniętego koła, dzielącego się na kółka, z których każde żyje życiem odrębném, właściwém całéj sferze społecznéj. Nie mówiąc już o masach ludu, odległość wytworzyła się wielka pomiędzy nią i średniemi warstwami, księżmi, inteligencyą małych miasteczek, inteligencyą wiejską.

Najjaskrawiéj takie wyodrębnianie się znać na publicystach i ich działalności. Z wyjątkiem gieniuszów każdy człek powszedni jest krótkowidzem, otoczenie go pochłania i po za nie okiem sięgnąć nie może. Opinie i potrzeby jego kółka wydają mu się powszechnemi na cały kraj; zjawiska, zachodzące koło niego, przedstawiają mu się jako najważniejsze, najdoskonalsze lub najgroźniejsze. Jakże może człowiek, ulegający podobnym złudzeniom, miéć sąd trafny? Ileż to razy zdarza się, że dziennikarz jakiś pisze swe artykuły wprost dla szczupłego kółka znajomych: temat urodził się podczas dysputy, zbijane są twierdzenia, spotkane w prywatnym sporze, ogół nic o tém nie wié, nie interesuje go to i dziwi się nieraz, wysiłkom i sile argumentów, użytych na obalenie jakiegoś zarzutu, którego nikt nigdzie jako żywo publicznie nie stawiał. Bywa nawet tak, że piszący niby to dla ogółu literat używa przytém mizernéj satysfakcyi kłócia jakiegoś nieprzyjaciela osobistego, którego wymienić mu nie wypada. Ogół, czytając nieraz frazes zwykły na pozór, ani się domyśla, że tkwi w nim zatruta strzała Parta, na którą przedmiot pocisku, jeżeli naturalnie zauważy, odpowié w innéin piśmie w sposób podobny. Nawet programy, stronnictwa nie są bynajmniéj wynikiem rozwoju i potrzeb szerokich kół społecznych, rodzą się one wewnątrz sfer inteligentnych Warszawy i w nich głównie mają swoję racyą bytu. Artykuły o młodym konserwatyzmie, o chłopskiéj cywilizacyi itd. zupełnie inaczéj brzmią w stołecznéj cukierni, a inaczéj gdy je czyta prenumerator, o dwie chociażby tylko stacye odległy od warszawsko-wiedeńskiego dworca.

Wszystko to jest nieuniknioném następstwem wyodrębnienia się, które chociaż téż jest pewnego rodzaju koniecznością, ale skutki jego w znacznéj mierze dałyby się osłabić, gdyby potrzeba tego została zrozumianą. Czas letnich wakacyi byłby do tego najodpowiedniejszą porą i bardzo nadającą się sposobnością. Wyjazd do znajomych na wieś, lub osiedlenie się w małém jakiém miasteczku, dałoby wytchnienie równie może skuteczne, jak pobyt w zgiełkliwéj Ostendzie, a z drugiéj strony przyniosłoby niemałą korzyść.

Nie łudzimy się wcale, żeby głos nasz wywarł jaki skutek; niestety, rzadko jeszcze względy ogólnéj natury przemagają nad osobistemi pobudkami i racyami, ale ponieważ niejedna już myśl słuszna tuła się jako *pium desiderium*, oczekując wciąż na wcielenie, niech do ich liczby przybędzie jeszcze jedna, a może téż i na nią kolej kiedy przyjdzie.

Korzyści kilkomiesięcznego rozpłynięcia się inteligencyi stołecznéj po kraju całym byłyby wielorakie i obustronne. Ludzie przeważnie myśli i słowa usposobieni są do lekceważenia wszelkiéj pracy, która nie nosi wyraźnéj barwy, hasła, tytułu; odwrotnie człowiek cichego, a nieustannego czynu, każdą ogólną zasadę gotów traktować jak pusty dźwięk. Starcie się tych dwu pierwiastków nauczyłoby obu wzajemnego szacunku, jeden uświadamiał by sobie częściéj prawdę, że w abstrakcyjnéj myśli ludzkiéj tkwi siła, drugi ujrzałby, że ze skromnych czynów człowieka, uchylającego się nieraz tam, gdzieby może głowę podnieść należało, wykwita niejeden pożywny owoc. Nieraz może dla umysłu, utrudzonego w nieustanném szamotaniu i pracy, skuteczniejszą niż morska byłaby kąpiel w jędrnéj atmosferze pozioméj, ale twardéj działalności praktycznéj, która wysoko nie sięga, celów dalekich nie zakreśla, ale z dzisiejszego usiłowania jutro otrzymuje rezultat. Ujrzałby z pociechą, że choć tam w górze rwie się, pęka, tu z dołu nowe komórki powstają, nowa budowa narasta.

Wpływ wyższego, wyćwiczonego nieustanną działalnością umysłu, na śniedziejących w zakątkach, pochłoniętych codziennemi zabiegami ludzi byłby niewątpliwie bardzo dodatni, ale dodatniejszym jeszcze byłby wpływ uczuć. Opinia parafii bardzo delikatna i czujna, gdy chodzi o wykroczenie towarzyskie, o dziwactwo w ubiorze, o szczególny akcent mowy i t. d. jest bardzo miernie czuła na rzeczy ważniejsze, jak np. na ustępstwa językowe na korzyść.... dajmy na to francuszczyzny, albo na lekceważenie pewnych względów przy wychowaniu dzieci i zapominanie, że powinny one z domu wynieść niemały zapas wiedzy i uczucia. Wynika to z utknięcia w powszednich troskach, ze słabych i rzadkich stosunków z żywszemi prą-

dami myśli. Teoretykowi szczególniéj przy jakiém takiém zbiorowém życiu łatwo wytrwać na właściwém stanowisku, łatwo być nieprzejednanym nawet, — praktyczna działalność wymaga nieustannych ustępstw, godzenia się z koniecznością, a na pochyłości każdéj zawsze grozi niebezpieczeństwo zsunięcia się za daleko. Zamilknięcie pewnych nut w głosie opinii nie wynika wcale z braku odpowiednch klawiszów i strun; nie, one istnieją, pozostają w bezczynności, gdyż nikt ich nie tyka, wydadzą jednak tony pełne i czyste, skoro w nie uderzy umiejętna ręka. Martwe wiersze gazety nie są w stanie przemódz nabytéj bezwładności, są one jak fale, kiedy, poczęte na głębinie jeziora, sięgają krańców jego osłabłym już ruchem, musną zaledwie piasek nadbrzeżny, ale go z miejsca poruszyć nie zdołają. Tak było np. ze składkami na bank ziemski. W Warszawie zawrzało silnie: czytanie miejscowych gazet, rozmowy. postanowienia podtrzymywały zapał. Zanim ten jednak dostał się na prowincyą, tak osłabł, że wywołał jedynie kiwanie głowami, i jakieś wyrzekania. Warszawa posłała pieniądze na kilkanaście akcyi, miasta, miasteczka, osady, wsie nie stawiły się do apelu zupełnie, chociaż znaczne i bardzo znaczne sumy zebrano w nich w swoim czasie na pogorzelców Siedlec. Wiele należy odliczyć na inne warunki, które byłyby nie pozwoliły równéj energii wydać równych owoców, ale zawsze coś byłoby się ujawniło; tymczasem nie dało się zauważyć ruchu żadnego.

Potrzeba wpływu słowa żywego, żywego przykładu, potrzeba aby ściślejsze węzły zespoliły umysły i serca, aby się wytworzyła żywsza i bezpośredniejsza wymiana myśli, aby wytworzył się wspólny rytm duchowy.

Odzywamy się z tém wszystkiém teraz, kiedy już jedni zbiegowie wrócili na zimowe leże, inni tęsknią do zapylonéj Warszawy, do zajęć, tak uciążliwych przed kilkoma miesiącami, do własnych kątów i mebli, do knajpy tak dusznéj w Maju i Czerwcu, do towarzystwa. Może więc kazanie spóźnione. Nam się wydaje ta właśnie chwila najwłaściwszą do zwrócenia uwagi. Każdy, przesycony lub nasycony przynajmniéj letnim wypoczynkiem, skłonny jest w téj chwili więcéj niż kiedykolwiek do krytycznéj oceny spędzonego czasu, do żałowania chwil straconych, teraz łatwiéj, niż kiedy indziéj skrystalizuje się nowy projekt, zanim stępieją wspomnienia, zanim nastąpi nowe zmęczenie, przebudzą się nowe marzenia, zanim nałogi do swych praw wrócą.

Ludwik Straszewicz.



NEKROLOGIA.

† **Jan Hanusz** urodzony w Kołodziejówce pod Stanisławowem w Galicyi r. 1858, nauki gimnazyalne pobierał w Stanisławowie; od r. 1877 przez lat cztery studyował filologią klasyczną i słowiańską pod kierunkiem Brandowskiego, Iskrzyckiego, Morawskiego, Tarnowskiego, Malinowskiego w uniwersytecie krakowskim, następnie od r. 1881 lat trzy przepędził w uniwersytetach lipskim, berlińskim i wiedeńskiem, oddając się z nadzwyczajném zamiłowaniem nauce sanskrytu i gramatyki porównawczéj wogóle. W Lipsku się doktoryzował, napisawszy rozprawę „Ueber die Betonung der Substantiva im Kleinrussischen", w Wiedniu zaś habilitował się na docenta na podstawie rozprawy „Ueber das allmälige Umsichgreifen der n-Declination im Altindischen" r. 1885. Wakacye r. 1885 przepędził na Pokuciu, badając dyalekty ormiańskie, tam istniejące. W r. 1886 wydział filozoficzny uniwersytetu krakowskiego chciał go mieć u siebie profesorem nadzwyczajnym sanskrytu i gramatyki porównawczéj i w téj myśli wystosował do ministeryum podanie; zanim jednak przeszło ono drogę właściwą, Hanusz, dostawszy stypendyum imienia Gałęzowskiego, wybrał się do Włoch i w Kalabryi studyował dyalekty albańskie, a potém do Paryża dla studyów celtyckich. Tu umarł 24 lipca. Pisma jego w języku polskim, niemieckim i czeskim są bardzo liczne; mieszczą się one w wydawnictwach Akademii Umiejętności Krakowskiéj i Wiedeńskiéj, w „Pracach filologicznych", „Przeglądzie polskim", „Bibliotece Warszawskiéj" i w naszém „Ateneum".

† **Zygmunt Węclewski** urodzony 1 maja 1824 r. w Międzyrzeczu w W. Ks. Poznańskiém, odbył nauki gimnazyalne tamże, studyował następnie filologią klasyczną pod przewodnictwem Haasego; był nauczycielem w gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu, a dawszy się poznać światu naukowemu szeregiem rozpraw z zakresu filologii greckiéj, oraz przekładami z greckiego na polski, powołany został do Szkoły Głównéj, gdzie wykłady prowadził aż do przemiany jéj na uniwersytet; w roku 1871 wezwany do Lwowa, spełniał obowiązki profesora łaciny i greczyzny aż do zgonu, który nastąpił 19 sierpnia roku bieżącego. Z licznych prac jego najważniejsze są: „Słownik łacińsko-polski" (2 wydania), „Słownik grecko-polski", „Historya literatury greckiéj" (Warsz., 1867, tom I-szy, dalsze nie wyszły), przekłady całkowite tragedyi Eschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa, rozprawa o życiu i poezyach Klemensa Janickiego, Andrzeja Krzyckiego, o Szlązakach-poetach, o E. G. Grodku. Jego wykłady autorów w Szkole Głównéj należały do najgruntowniejszych i najstaranniéj zarówno pod względem treści jak i języka polskiego wypracowanych. Tracimy w nim jednę z najcenniejszych sił filologicznych, zarówno w zakresie ściśle zawodowym, jak i w zastosowaniu do badań nad literaturą i nauką ojczystą.

† **Leon Rzeczniowski**, urodzony 1818 r. w Łaszczowie, w Lubelskiém, kształcił się w Szczebrzeszynie i Lublinie; następnie słuchał w Moskwie nauk filologicznych. Od 1844 do 1850 był nauczycielem

w Rawie; po ośmioletniéj przymusowéj przerwie powrócił do ulubionych zajęć, wykładając w Łomży i Piotrkowie historyą i języki klasyczne do r. 1884. Z prac jego drukowanych wymieniamy następujące: 1. „Dawna i teraźniejsza Łomża“ (1861); 2. „Opis kościoła farnego w Łomży“ (1861); 3. „Oddrzwia kamienne i otoki od okna w zamku piotrkowskim wraz z krótkim tegoż zamku opisem“ (1864); 4. „Opis grobowca Nikod. Kossakowskiego, starosty łomżyńskiego“ (1864); 5. „Historyczna wiadomość o farze piotrkowskiéj i synodach w niéj złożonych“ (1865); 6. „Opis trybunału piotrkowskiego“ (1866); 7. biografia Juliana Pfeifra, dyrektora teatru krakowskiego; 8. opis statystyczny Piotrkowa z roku 1866; 9. „Zasłużeni Lublinianie pod względem naukowym, literackim i artystycznym“; 10. biografia Zienkowskiego Jana, doktora, agronoma i rektora szkół; 11. opis podróży z Karlsbadu do Gasteinu (1866); 12. „Opis kościoła i kolegium popijarskiego w Piotrkowie“ (1870). Rzeczniowski był nadto czynnym korespondentem do gazet: „Codziennéj“, „Polskiéj“, „Warszawskiéj“, „Dziennika Powszechnego“, „Kuryerów“ i dzienników prowincyonalnych. W rękopisach pozostało po nim kilka prac obszernych. Zmarł 15 sierpnia r. b w Piotrkowie.

† **Mieczysław Bochenek**, dr. praw, profesor ekonomii politycznéj w uniwersytecie Jagiellońskim, urodził się 28 listopada 1838 r. Po ukończeniu gimnazyum, uczęszczał przez dwa lata na wydział filozoficzny, a następnie na wydział prawny. Przez lat 3 pracował w redakcyi „Czasu“, w r. 1867 uzyskał stopień doktora praw, oddał się studyom nad ekonomią polityczną w Heidelbergu i Paryżu. Powróciwszy do rodzinnego miasta, został docentem téj nauki, a od r. 1871 i ustawodawstwa finansowego. Z kolei osięgnął profesurę nadzwyczajną i zwyczajną. Zakończył życie 29 lipca r. b.—Ogłosił drukiem: 1) „Stanowisko państwa wobec kolei żelaznych“; 2) „Kasy pożyczkowe, na wzajemności oparte i zasada stowarzyszeń“; 3) „Wymiana dóbr, jéj mechanizm, jako wstęp do teoryi kredytu“; 4) „Kredyt jako czynnik ekonomicznego, etycznego, społecznego i politycznego rozwoju społeczeństw“; 5) „Podatek gruntowy i system podatków od intrat“; wreszcie liczne rozbiory dzieł rozmaitych, pomieszczane w „Przeglądzie krytycznym“ i w „Czasie.“

† **Ksawery Pasiutewicz** urodzony w 1832 w Szczebrzeszynie, po ukończeniu gimnazyum odbył studya medyczne w uniwersytecie Kijowskim. Od r. 1859 spełniał gorliwie obowiązki lekarza szpitalnego w Puławach. Doktoryzował się w 1863 r. w Warszawie. Pisał w przedmiotach, dotyczących swego zawodu, jak np. „O nosaciznie,“ „O wrzodach na goleni“ i t. d. Zmarł w końcu lipca r. b.

† **Hieronim Krzesiński** zakończył życie w Poznaniu, były nauczyciel gimnazyum M. Magdaleny. Napisał studyum o „Panu Tadeuszu“ i był spółpracownikiem w kilku czasopismach.

Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.

OGŁOSZENIE.

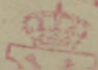
„KRAJ“ w Petersburgu (treść za Lipiec, Nr. 27, 28, 29 i 30)
Artykuł wstępny: Kwestya żydowska w świetle statystyki „Niwy“. Przyczyny niepowodzenia wystawy wileńskiéj. Parlamentyzm w kasie przemysłowców warszawskich. — *Korespondencye*: z Tarnopola przez Iw. Franko, z Witebska p. W F., z Gniezna p. Wiarusa, z Wiednia (dwie) p. Dr. K. i Atanazego, z Warszawy (dwie) p. W. Wołyńskiego.— *Sprawy bieżące*: Przeciwko cudzoziemcom. Następca tronu w Galicyi. — *Dział polityczny*: Z tygodnia: Słowa wstępne. Nieurzeczywistniająca się obrona ziemi Wielkopolskiéj. Polemika z „Niwą“. Reorganizacya wyższego wykształcenia kobiet. Reformy w wychowaniu publiczném. Śmierć Katkowa. Operacya umorzenia biletów kredytowych. — *Ziemie i kol. słowiańskie*: Listy z Krakowa 2, Lwowa, Rusi halickiéj 2, Poznania, Lipska, Paryża 2, Wiednia, Budapesztu i Ameryki 3. — *Z Warszawy.—Z prowincyi*: Listy korespon. z Piotrkowa, Nowéj Aleksandryi, Kalisza, Kieleckiego, Wilna i gub. Wileńskiéj 8, Kowna i gub. Kowieńskiéj 2, Mińska i gub. Mińskiéj 3, z Kamieńca i gub. Podolskiéj 4, z Żytomierza i gub. Wołyńskiéj 3, z Kijowa i gub. Kijowskiéj 4, z Druskienik, z Polesia, Pińska, z Witebska i Kazania. — *Z sądów*: Ukaz grudniowy. Z ziemi jakuckiéj. Zamach na neofitkę. Sprawa adw. Pianowskiego.— *Dział ekonomiczny.—Przegląd literacki*: Roman Czartoryski i Kalinka przez Iw. Franko. H. Taine'a Napoleon Bonaparte przez E. P. Polityka cesarza Mikołaja p. Zdz. M. Odrodzenie Czech, obrazki więzienne p. Maryą Konopnicką. Polska z czasów przedhistorycznych p. D-ra J. Rostafińskiego. Zapomniany poeta przez Br. Bieńkowskiego. Mickiewicz i Puszkin, odczyt Wł. Spasowicza. Listy o literaturach słowiańskich przez Br. Grabowskiego. W beczce Dyogenesa p. J. Vrchlickiego. Słońce przez Merczynga. Zaćmienie słońca ze stanowiska fizycznego, przepowiednie na rok 1887, przez Wł. Żukowskiego. Jak należy obserwować zaćmienie przez J. K. Myty Słowian o słońcu p. Lew. Wykaz stacyi i obserwatów. Sprawozdania lit. Kronika bibliograficzna.

TREŚĆ Nr. 31.

Artykuł wstępny: Uwagi nad pomysłem nowéj formy dzierżawnéj. — *Korespondencye „Kraju“:* z Gniezna, p. Wiarusa. — *Sprawy bieżące:* Przeciwko cudzoziemcom. M. N. Katkow. O żydach. Sprawa Tanti.—*Z sądów.* — *Dział polityczny:* Z politycznego świata. Tydzień polityczny. Ostatnie telegramy. — *Z Tygodnia:* Słowo wstępne. Ziemie i kolonie słowiańskie. Przegląd prasy. Wiadomości bieżące. Kronika petersburska. Z Warszawy. Z prowincyi. Kronika powszechna. Doniesienia. — *Dział ekonomiczny:* Przegląd. Kijowskie Towarzystwo rolnicze. Sprawozdanie giełdowe i rynki towarowe. Tydzień ekonomiczny (rolnictwo, cukrownictwo, gorzelnictwo i piwowarstwo; przemysł i handel; komunikacye; finansowość). — *Ogłoszenia.*

Treść „Przeglądu literackiego“: K. Waliszewski. „Potoccy i Czartoryscy. Walka stronnictw i programów politycznych przed upadkiem Rzeczypospolitéj. 1734—1763“, p. Kaz. Jarochowskiego. — Mickiewicz i Puszkin przed pomnikiem Piotra Wielkiego, odczyt Wł. Spasowicza (d. c.). — Odrodzenie Czech. (Studyum historyczno-polityczne), przez J. Nitowskiego (d. c.). — Stanisław Grudziński. „Nowele“, przez Ama. — Kronika naukowa, literacka i artystyczna. — Nowe książki otrzymane w redakcyi „Kraju.“ — Treść pism. — Bibliografia. — *Odcinek*: We mgle (z mego dziennika) napisał Iwan Vojnović. Tłómaczył z chorwackiego Jan Nitowski.





NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Sierpnia 1887 r.

---

1. **Mechanika** przez *J. Łubieńskiego*, Inżyniera. Warsz. 1887, 8-o, Zeszyt 3-ci tomu I-go, od str. 97 do 144, z drzeworytami w tekście (wydanie Redakcyi „Gazety Rzemieślniczej“).
2. *Adam Szymański.* **Szkice.** Tom I. Petersburg, nakład autora 1887, 8-o, str. 159 (cena rsr. 1).
3. *Gebethner* i *Wolff.* **Katalog dzieł** nakładowych i w większej ilości zakupionych, Kwiecień 1887. Warsz. 8-o. str. 48.
4. **Stanowisko Towarzystwa Kredytowego** Ziemskiego w obec niszczenia dóbr. Przez *Józefa Jeziorańskiego.* (Przedruk ze „Słowa“). Warsz. 1887, 8-o, str. 20.
5. **Rocznik statystyki Galicyi** wydany przez Krajowe biuro statystyczne (Oddział statystyki przemysłu i handlu) pod kierunkiem *D-ra Tadeusza Rutowskiego.* Rok I. 1886. Lwów, 1887, 8-o, kart nlb. 6 + 294.
6. **Hipnotyzm** w paryzkim szpitalu „La Salpêtrière“. Sprawozdanie *D-ra Alexandra Raciborskiego*, docenta filozofii wszechnicy Lwowskiej. (Odbitka z „Kosmosu“). Jako dodatek: **Jak drukuje „Biblioteka Warszawska“** artykuły treści filozoficznej? Lwów 1887, 8-o, str. 72.
7. **Archiwum książąt Lubartowiczów Sanguszków** w Slawucie wydane nakładem właściciela pod kierownictwem *Z. L. Radzimińskiego*, przy współudziale *P. Skobielskiego* i *B. Gorczaka.* Tom I, z trzema tablicami litogr. 1366—1506. We Lwowie, 1887, 4-o, str. XXIX i 202.
8. *A. Strzelecki* i *H. Kotłubaj.* **Encyklopedya rolnicza** i rolniczo-przemysłowa (Wydawnictwo redakcyi „Rolnika i Hodowcy“) Zeszyt II Lit. *C. — D.* Warszawa, 1887, 8-o, od str. 209 do 400 (z drzeworytami w tekście).

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1887 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one donioslością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. **Półrocznie 6. Kwartalnie** (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Włodzimierska, 16.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Августа 1887 г.